

Kolejna powieść bestsellerowego cyklu o kocie Salomonie i jego dzieciach



„Niosąca nadzieję
powieść
o magicznej sile
kocięgo mrużenia
i uzdrawiającej
potędze miłości.”
Amazon

SYN KOTA
SALOMONA

który naprawia życie ludzi

SHEILA JEFFRIES



SYN KOTA
SALOMONA
który naprawia życie ludzi

SHEILA JEFFRIES

Przekład
ALICJA MARCINKOWSKA



Redaktor prowadzący

Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna

Jacek Złotnicki

Korekta

Agnieszka Deja

Magdalena Stachowicz

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© hannadarzy/Shutterstock

Tytuł oryginału

Timba Comes Home

Copyright © Sheila Jeffries, 2015.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5951-2

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

Dla Hayley

Dom był pełen miłości Ellen i śmiechu Johna, a teraz jeszcze moje cudowne kocięta mruczały na piętrze. Bez względu na to, co zrobił Joe, to zawsze będzie dobry dom. Przeżyłem tu dwa życia, był więc także i mój.

Te rozmyślenia sprawiły, że mruczałem coraz głośniej. Szkoda, że Ellen nie mogła mnie zrozumieć, za to ja rozumiałem jej ludzką mowę i to, co powiedziała, zmroziło mnie do szpiku kości.

– Musimy sprzedać nasz dom, Salomonie. Wyjeżdżamy. – Zaczęła płakać. – I nie wiem nawet, czy będziemy mogli cię zatrzymać (...)

Nie chciałem dzielić znienawidzonej kociej klatki z Jessicą. Joe złapał ją za kark, wpakował do środka i zatrzasnął drzwiczki. Odwracała głowę i patrzyła na wszystkich z rozpaczą w pięknych oczach. Usiadłem blisko i całowałem ją przez grube metalowe pręty, żeby ją uspokoić, ale nie udawało mi się to. Była przerażona i miała złamane serce. Poprzedniego dnia jej trzy cudowne kocięta opuściły dom w tej samej klatce – kiedy Joe wrócił do domu, była pusta.

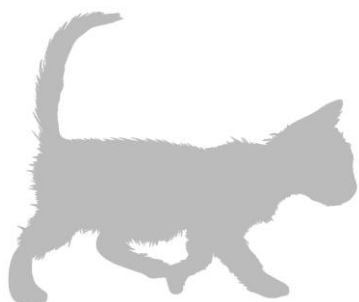
– Zawiozłeś je do schroniska, prawda? – zapytała Ellen.

– Oczywiście, do cholery. Za kogo mnie uważasz? – burknął ze złością Joe.

Patrzyłem na niego sceptycznie. Czułem, że kłamie. Co zrobił z naszymi kociętami?

fragmenty powieści *Salomon – kot, który leczył dusze*

1. Najlepszy z kociaków Salomona



Mam nadzieję, że nie jesteś sam – powiedziała do mnie młoda kobieta z okna czerwonego samochodu. Musiała zauważyć mój czarny pyszczek wyglądający z trawy na poboczu. Wpatrywaliśmy się w siebie i moje smutne serce drgnęło. Byłem porzuconym kociakiem, a ta młoda kobieta z burzą jasnych włosów była tą osobą, z którą chciałem być. A ona potrzebowała mnie. Na jej słodkiej, współczującej twarzy widać było rozterkę, jakby nie miała czasu się zatrzymać, nawet z powodu czarnego, puszystego kotka. – Przykro mi, kotku. Muszę jechać do pracy. Wracaj do swojej kociej mamy.

Skąd mogła wiedzieć, że mojej kociej mamy tu nie było?

– Proszę, zatrzymaj się. Proszę, zabierz mnie. Mam kłopoty – przekazałem jej w myślach, a moje głodne miauknięcie zabrzmiało jak krzyk.

– Angie wróci tu później i sprawdzi, co z tobą, maleństwo – powiedziała. – Jeśli nadal tu będziesz, zabiorę cię do domu... Niech to szlag! – krzyknęła, bo coś było nie tak z samochodem. – Cholerny grat. No, ruszaj. Spóźnię się do pracy. – Zapomniała o mnie, walcząc z samochodem; zwiększyła obroty silnika i z rury wydechowej buchnął czarny dym, od którego zapiekły mnie oczy.

Zawiedziony schowałem się z powrotem w gęstej trawie. Byłem zbyt słaby z głodu, by pójść gdzieś dalej. Położyłem się. Miałem nadzieję, że Angie po mnie wróci. Musiała. Prawda?

Ale już w następnej chwili niedaleko mnie spadł kamień. Podskoczyłem, a potem zadrzałem, słysząc odgłos biegnących drogą stóp. Dysząc ciężko, chłopiec schylił się po kamień. Cisnął nim w chłopców jadących na rowerach. Śmiali się z niego i wyzywali.

– Zostawcie mnie, łobuzy! – krzyknął.

– Leroy to cienias! – skandowali.

Siedziałem skulony, zbyt przerażony, żeby się poruszyć, kiedy rowery zatrzymały się z poślizgiem, a na mnie spadł deszcz błota. Największy chłopak zsiadł z roweru i popchnął Leroya na kolczasty żywopłot. Pchał go raz za razem na

kłujące gałęzie, aż Leroy zaczął płakać. Chłopcy odjechali ze śmiechem, zostawiając Leroya, który ścierał krew z twarzy rękawem, drąc go przy okazji.

– Mama mnie zabije – zawodził, ciągnąc za długą nitkę z przodu swetra. Usiadł w błocie, pociągając nosem, i cały roztrzęsiony zaczął kopać nogami ziemię.

Miauknąłem cichutko, żeby go pocieszyć, ale natychmiast tego pożałowałem.

– Wow! – szepnął zdziwiony.

Przestał płakać i spojrzał na mnie dużymi oczami. Jego szorstka dłoń zacisnęła się na moim chudym, małym brzuszku. Podniósł mnie do twarzy i zobaczyłem, jak gniew w jego oczach ustępuje miejsca zachwytowi.

– Jesteś MOIM kotkiem! – oznajmił i wyciągnął z plecaka biało-czerwoną skarpetę.

Szamotałem się z wrzaskiem, ale wepchnął mnie do środka, do samych palców. Futerko przylegało mi do skóry, miałem powykręcane łapki od wczepiania się pazurkami w materiał, bolał mnie ogon. Modliłem się, żeby Angie mnie uratowała, ale tak się nie stało. Uwięziony w piłkarskiej skarpecie trafiłem do plecaka, w którym nieźle mnie wytrzęsło, kiedy Leroy biegł. Potem usłyszałem dźwięk dzwonka i dziecięce głosy.

Nasłuchiwałem uważnie, czułem, że między dziećmiakami jest Angie, i wreszcie usłyszałem jej pogodny głos.

– Usiądźcie, dzieci, proszę.

– Proszę pani! Leroy McArthur ma w skarpecie schowanego kotka!

– CO?

– Tak, proszę pani. Słyszałem, jak miauczał.

Przerażony kulilem się w biało-czerwonej skarpecie Leroya McArthura, teraz zupełnie bezgłośnie, bo nie miałem już siły miauczeć. Trzy dni bez jedzenia i szok po stracie wszystkiego, co kochałem, zrobiły swoje. Jednak w sercu nadal czułem dumę. Byłem najlepszy z trójki kociaków Salomona, miałem długie, lśniące i miękkie futerko, a moje dziecięce oczka ciągle były jasnoniebieskie.

– Otwórz plecak, Leroy, bardzo cię proszę, i pokaż mi kotka.
NATYCHMIAST.

Dźwięczny głos młodej nauczycielki przywołał wspomnienia ukryte głęboko w mojej podświadomości. W innym życiu byłem jej ukochanym kotem, jej uzdrowicielem, jej prawdziwym przyjacielem.

Poczułem, jak Angie wyciąga skarpetę na światło.

– To może być zdechły szczur, proszę pani.

Angie uwolniła mnie ze skarpety i znalazłem się w kołysce jej dłoni, ozdobionych pierścionkami z kryształkami i czarnym lakierem do paznokci. Powietrze rozświetlały tęczowe aury tłoczących się wokół mnie dzieci.

– Jej! – zawołały na mój widok, a ich pełne miłości współczucie otuliło mnie jak pierzynka. Miauknąłem żałośnie.

– Jak mogłeś zrobić coś takiego, Leroy? Małemu kotu!

– Nic nie zrobiłem, proszę pani. Leżał w trawie.

Chrapliwy głos chłopca sprawił, że spojrzałem na niego. Wpatrywałem się jak sparaliżowany w oczy Leroya McArthura, przypominając sobie coś mrocznego. Dawno temu, w innym życiu, Leroy nienawidził kotów.

– To mój kociak, proszę pani. Ja go znalazłem – powiedział. – I chciałem go wziąć do domu i nakarmić. Moja mama nie będzie miała nic przeciwko, serio, proszę pani.

Nie chciałem być kotem Leroya McArthura. Z jego oczu wyczerała gorycz, która mogła znaleźć ujście w brutalności. Skierowanej przeciwko mnie. Miałem dopiero sześć tygodni i jak dotąd byłem z siebie dumny. Jak moje życie mogło się tak skomplikować?

Wszystko się zaczęło, kiedy my, trzy kocięta, tuliliśmy się do naszej kocięj mamy, Jessiki, w wygodnym koszyku pod łóżkiem Ellen. Do naszego taty, Salomona, przyszła z wizytą pewna piękna pani. Biło od niej takie światło, że każde z nas pragnęło jej dotyku czy choćby jednego słowa z jej ust. Drżąc z podniecenia, siedziałem przy moim bracie, podczas gdy ona skupiła się na naszej słicznej pręgowanej siostrze.

– Jest wyjątkowa – powiedziała czule.

Co w takim razie powie o MNIE? Jestem największy i najlepszy, myślałem z niecierpliwością.

Ale ona zignorowała mnie. Mojego brata też.

Byłem zły.

Kiedy poszła, poczułem ukłucie zazdrości. Warknąłem na siostrzyczkę i buchnąłem ją łapą w pyszczek. Jessica pacnęła mnie z dezaprobatą. To było niesprawiedliwe! Rozzłoszczony, postanowiłem dużo jeść, żeby wyrosnąć na najsilniejszego, najbardziej niezależnego kota na świecie.

Zostałem zignorowany, co było największą obelgą, a widok zawiedzionego pyszczka mojego brata tylko mnie umocnił w moim postanowieniu. Był mniejszy i gładszy ode mnie, z białą plamką na nosie, która nadawała jego pyszczkowi melancholijny wyraz. Był też bardzo wrażliwy i bezbronny. Czuję się za niego odpowiedzialny. Wspólne upokorzenie związało nas na całe życie.

Ocieraliśmy się policzkami i lizaliśmy sobie nawzajem pyszczki. Spaliśmy wtuleni w siebie ze splecionymi łapkami. Czuję gwałtowne bicie serca mojego brata, a on bicie mojego serca. Nasze myśli były identyczne, jakbyśmy byli jednością. A jeśli nikt nie chciał czarnego kota? Mieliśmy siebie nawzajem, byliśmy sobie jeszcze bliżsi niż przedtem. Nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że moglibyśmy zostać rozdzieleni. Na zawsze razem. Dwa czarne kocięta kontra

reszta świata.

Niedługo później nasza rodzina została okrutnie rozdzielona. My, trzy kocięta, wylądowałyśmy pod żywoplotem na poboczu wiejskiej drogi, uważnie obserwowane przez stadko ćwierkających wróbli, kosa i dwie głodne wrony. O zmierzchu nisko nad trawą przeleciała sowa. Cicho wznosiła się i opadała, odwracając głowę, by spojrzeć na mnie złowrogo, kiedy wychyliłem się z naszej kryjówki.

Przetrwaliśmy bez naszej mamy kilka dni i nocy. To ja znalazłem gniazdo z suchej trawy, żeby było nam ciepło, ja zachęcałem brata i siostrę do picia wody z kałuży i próbowania wszystkiego, co tylko znaleźliśmy do jedzenia. To ja byłem przywódcą i byłem z tego dumny.

Strach to potężna siła. Może przemienić chwilę w wieczność, siłę w panikę, a panikę we wściekłość.

Pies był zwalistą labradorką, o czarnej, błyszczącej sierści. Prychałem i syczałem, ale nie zwracała na to uwagi. Mogłem tylko patrzeć z bezradną wściekłością, jak bierze w pysk moją śliczną pręgowaną siostrzyczkę i odbiega z nią w podskokach. Rozedrgani, tuliliśmy się do siebie z bratem, słuchając coraz cichszego kociego płaczu.

Ten płacz był czymś, co mnie prześladowało, bo słyszeliśmy, jak płakała nasza kocia mama, gdy nas od niej zabierano. Jej głośny płacz niósł się echem, jakby Jessica chciała, żeby niebo dowiedziało się o krzywdzie wyrządzonej kociej matce. Joe, mężczyzna, który wsadził nas do transportera i porzucił, kiedyś wziął mnie na rękę i gładził delikatnie dużym, szorstkim palcem. Nie był okrutny, tylko po prostu zdesperowany i pijany.

Mój tata, Salomon, wyjaśnił mi, że życie ludzi jest bardzo skomplikowane. Nie przebacząją sobie tak jak koty, więc ich pomyłki urastają do ogromnych rozmiarów, promieniują destrukcyjną energią przez całe lata, krzywdzą wszystkich, nawet kocięta pełne miłości i radości.

Pocałowałem mojego brata w nos i polizałem po gładkim łebku, żeby dodać mu otuchy. Nasza siostra przepadła, ale mieliśmy siebie. Powiedziałem mu, że znajdziemy sposób, by przetrwać, ale mi nie uwierzył. Nadal byliśmy mali. Nasze pazurki były cienkie, futerko tak delikatne, że ledwo nas grzało, ogonki były małymi, optymistycznymi trójkącikami, a łapki chybotliwe i miękkie. Nie byliśmy gotowi stawić czoła trudnościom, których właśnie doświadczaliśmy.

Przytuleni, nasłuchiwaliliśmy z przerażeniem odgłosu psich kroków na asfalcie. Suka wróciła. Ale nie przyniosła naszej siostry z powrotem. Najwyraźniej zabiła ją jednym kłapnięciem tych wielkich zębów. Zanim zdążyliśmy czmychnąć, suka władowała się do naszej kryjówki.

Moje łapy zamieniły się w stal, a mój pyszczek stał się paszczą smoka. Warcząc i sycząc, rzuciłem się na psią mordę. Uczepiony pazurami miękkiego

pyska suki, z furją kopałem ją tylnymi łapami. Ale suka tylko odsunęła mnie na bok, jakbym nic nie znaczył. Złapała mojego ukochanego brata za kark i ostatnie, co widziałem, to były jego dzikie, przerażone oczy wpatrujące się w moje, kiedy suka niosła go wzdłuż drogi.

Jego wrzaski ucichły i cisza nabrała nowego znaczenia. Kłula mnie jak ciernisty krzew. Była wypełniona bólem i samotnością. Czułem się przytłoczony. Byłem zbyt młody na to wszystko. Smutek. Opuszczenie. Głód. Niebezpieczeństwo. Jak miałem się z tym uporać?

Ale choć byłem mały, nie zamierzałem pozwolić, żeby suka dopadła i mnie. Słyszając, jak wraca truchtem, wczołgałem się głębiej pod żywopłot, gorączkowo szukając jakiegoś rozwiązania. Dziura! Właśnie czegoś takiego potrzebowałem. Dziury tak małej, żeby nie zmieściła się w niej jej głowa.

Pod żywopłotem leżały suche liście i gałązki, rosły splątane ze sobą rośliny i kępy ostrej trawy. Dla niedoświadczonego kociaka było to prawdziwe wyzwanie. Przedzierałem się dalej, uderzając w przeszkody nosem, aż zaczął mnie boleć. Instynkt podpowiadał mi, że aby się ukryć, trzeba zachować ciszę, lecz czułem się tak nieszczęśliwy, że nie mogłem powstrzymać miauczenia.

Spod paproci nasłuchiwałem suki. Ona też się zatrzymała, nasłuchując mnie, zastanawiając się, gdzie jestem. Wiedziałem, że mnie wytropi. Słyszałem, jak węszy, a potem skowyczy z podniecenia, kiedy wyczuła mój zapach. Czołgałem się dalej, między gruzłowatymi korzeniami i gałęziami, a serce biło mi jak szalone. Rozległ się trzask, gdy suka weszła w żywopłot, który cały się zatrząsł; stado wróbli zerwało się z łopotem skrzydeł, a kos wrzeszczał zaalarmowany.

Czułem determinację suki. Zamierzała mnie dopaść.

Cóż, mogłem walczyć. Byłem synem Salomona i Jessiki, dwójki wspaniałych kotów. Odziedziczone po nich mądrość i odwaga z pewnością mi pomogą.

W zagłębieniu pod żywopłotem leżała sterta śmieci. Potłuczone szkło, niebieski plastik, wyszczerbione bryłki betonu. Wdrapałem się tam, rozcinając łapę o szkło. Ze sterty wystawała rura. Stara i brudna, ale idealna! Wpełzłem do środka, głęboko, głęboko w ciemność. W samą porę. Gorący psi oddech wdarł się tuż za mną. Suka szczeknęła, wprawiając rurę wraz ze mną w wibracje. Roztrzęsiony i osłabiony, próbowałem obrócić się w wąskiej rurze. Bolało, ale dałem radę, i teraz siedziałem skulony, wpatrując się gniewnie w sukę.

Wetknęła nos do rury i zobaczyłem jej drgające wąsy i błysk białek jej brązowych oczu. Ale byłem bezpieczny. Nie mogła mnie dosięgnąć. Sfrustrowana, zaczęła wściekle kopać, orząc ziemię ciężkimi łapami. Co za idiotka, pomyślałem. Traci energię na rozgrzebywanie ziemi. W tym momencie zacząłem gardzić całą psią populacją. Czekaście, aż urosnę, pomyślałem. Już nigdy żaden pies mnie nie przestraszy. Przed oczami stanął mi obraz wspaniałego puszystego kota, którym się

stanę. Złotoookiego, lśniącego, pięknego.

Natchniony, podpełzłem ku górze rury i drapnąłem sukę w nos, wiedząc, że tam ją zaboli. Ze ścinającym krew w żyłach miaukiem nastroszyłem się cały, przez co wydawałem się dwa razy większy.

Suka zaskowyczała z bólu, co było dla moich uszu niczym muzyka. Odsunęła się i usiadła, wpatrując się we mnie z rozdrażnieniem. Jej śmierzdzący oddech jeszcze bardziej mnie rozzłościł. Przesłałem jej telepatycznie wiadomość: „Zostaw mnie w spokoju albo wróć tu, jak będę duży, i cię spiorę”.

Skamlała, jakby chciała mi coś wytłumaczyć, ale nie zamierzałem jej słuchać. Zdenerwowany i osamotniony, skupiłem się na wspaniałej myśli, która spłynęła na mnie jak promień światła: moje życie jest warte tego, by o nie walczyć, a ja znalazłem się na tym świecie nie bez powodu.

Pozostałem w rurze jeszcze przez długi czas po odejściu suki. Ciepłe popołudniowe słońce i brzęczenie pszczoł w kwiatach koniczyny podziały na mnie usypiająco. Kiedy obudziłem się z drzemki, byłem tak głodny, że bolał mnie brzuch. Tęskniłem za słodkim mlekiem Jessiki i pragnąłem, żeby tu była, myła mnie i mruzczała.

Próbowałem zamiauczeć, ale z mojego pyszczka nie wydobył się żaden dźwięk. Chciałem wyjść i poszukać jedzenia, ale miałem zbyt słabe łapki. Siły mnie opuściły. Byłem głodny, zagubiony i zupełnie sam.

Moje dziecięce ząbki nie były dość mocne, żebym mógł jeść biedronki czy ślimaki. O zmierzchu zobaczyłem ćmę gramolącą się z trawy i pomyślałem, że może być wystarczająco miękka, abym mógł ją zjeść. Obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem pomarańczowych oczu i odfrunęła, trzepocząc skrzydłami, co brzmiało jak mruczenie kota.

Wszedł księżyc; nie był już blad różowy, tylko w intensywnym kolorze białego złota. Byłem tak słaby, że po prostu leżałem, patrząc na nocne niebo. Moje ciało było całkiem bezużyteczne, ale w moim umyśle coś się działo. Coś jaśniejszego od księżycowego światła budziło mnie, przywołując wspomnienia.

Salomon mówił mi, że koty żyją na Ziemi od tysięcy lat. Mówił też o niewidzialnej sile zwanej miłością.

Więc nasłuchiwałem. Spojrzałem na księżyc, pozwalając, by jego światło wniknęło do mojej samotnej duszy. I zobaczyłem jasność, wspanialszą niż księżyc, pulsującą energią. Usiadłem, zapominając o głodzie. Nie myślałem już o samotności, kiedy czekałem jak zaczarowany na to, co miało się wydarzyć.

Ale to, co wyłoniło się ze światła, krocząc w moją stronę, całkowicie mnie zaskoczyło.

To był lew.

Biały lew z grzywą falującą jak woda, o lśniącym futrze, które wydawało się naładowane elektrycznością. Otaczało go niezemskie światło. Ćmy i inne nocne

stworzenia zamarły w bezruchu. Nie trzaskały gałązki, nie szeleściła trawa, nie pohukiwały sowy, nie bębnił deszcz. Nawet wiatr w zbożu się uciszył za sprawą tej tajemniczej istoty ze świata duchowego.

Myślałem, że umieram. A może mi się to śniło?

Kiedy lew utkwiał we mnie spojrzenie swoich hipnotyzujących oczu, podniosłem się i podszedłem do niego z podniesionym ogonem, by ułożyć się w świetlistym kokonie między jego potężnymi łapami. Był TAKI MIĘKKI.

Mruczeliśmy razem, mały kotek, który mógł być umierający, i Biały Lew, który przybył ze świata duchowego – dla MNIE!

Nie wiedziałem, co będzie dalej ani co zrobię, gdy nadejdzie świt. Resztki energii przeznaczyłem na słuchanie. Uważne słuchanie.

Oczy wspaniałego Białego Lwa płonęły tajemnicą, którą miał mi zdradzić, jeśli tylko znajdę w sobie dość cierpliwości i wiary, żeby go wysłuchać. Dużo czasu minęło, zanim wreszcie popłynęły słowa, unosząc się w powietrzu niczym nasiona dmuchawca.

Słowa, które miałem zapamiętać na zawsze.

2. Kot Leroya McArthura



Bezpański kociak nie ma żadnych praw. Ludzie mogą podejmować za niego fatalne decyzje dotyczące tego, gdzie i z kim będzie mieszkać.

Między młodą nauczycielką Angie i mamą Leroya Janine toczyła się kłótnia.

– To, że coś się znalazło, nie znaczy, że można to zatrzymać, Leroy.

Angie była mała jak na człowieka i przypominała mi wiewiórkę, kiedy jeżyła się ze złości.

– Dla takich jak my znaczy – syknęła Janine. – Nie mamy pieniędzy w banku. Muszę liczyć się z każdym groszem. Leroy nigdy nie dostaje tego, co chce... nigdy.

– Więc jak zamierzacie wyżywić kota? – zapytała Angie.

– Koty nie potrzebują dużo – odparła Janine. – Kiedy byłam mała, mieliśmy koty. Żywiły się resztkami.

RESZTKAMI! Nie podobało mi się to. Nijak się miało do mojego planu zostania największym, najgrubszym, najbardziej niezależnym kotem.

– To malutki kotek – powiedziała Angie. – Stracił mamę i dom i jest osłabiony. Potrzebuje mleka dla kociąt... Kupuje się je w zoologicznym i rozrabia. To najodpowiedniejsze pożywienie dla kociąt odstawionych od matki.

Janine prychnęła.

– Cóż, nie stać mnie na takie luksusy. Zwykłe krowie mleko będzie musiało wystarczyć.

– Z przyjemnością sprezentuję puszkę mleka dla kociąt – powiedziała Angie.

– I kupię karmę w saszetkach.

– Nie, dzięki – nadęła się Janine. – Nie potrzebujemy jałmużny.

– To nie jałmużna. Po prostu zależy mi na dobru tego kotka.

– A mnie to nie? Nie chcę żadnych cholernych datków od takich jak ty. NIC nie wiesz o naszym życiu. – Janine przysunęła się, gotowa odeprzeć atak; miała zmęczoną, ponurą twarz. – Chcę, żeby mój Leroy miał to samo, co jego przyjaciele.

– Ja nie mam przyjaciół, mam – wtrącił Leroy.

– Cicho bądź.

– Ten kotek będzie moim przyjacielem. Prawda, że będziesz? – powiedział Leroy i przycisnął mnie swoimi małymi rączkami do serca z taką siłą, że zapiszczałem przerażony, próbując czołgać się po jego swetrze, żeby uciec.

– Powiedziałam, żebyś się zamknął. JUŻ. I nie pozwól, żeby ci zniszczył szkolny sweter.

– Ale ja go kocham. Naprawdę, mam. – Dwie błyszczące łzy spłynęły po policzkach Leroya, skapując na moje futerko. – Niech jej pani powie.

Angie usiadła przy biurku, aby jej głowa znajdowała się na tej samej wysokości co wyzywające spojrzenie chłopca.

– W takim razie postaraj się go tak nie ścisnąć, Leroy – powiedziała łagodnie. – Jego małe kosteczki są jak zapałki. Daj mi go na chwilę, proszę.

Leroy przycisnął mnie jeszcze bardziej, tak że ledwo mogłem oddychać.

– Oddam ci go – obiecała Angie, patrząc mu prosto w oczy. – Chcę go tylko przytulić na pożegnanie. Jest taki słodki.

Wzięła mnie na ręce i poczułem się jak w niebie. Tuląc się do miękkiej piersi, słuchałem, jak równo i mocno biło jej serce pod plisowaną bluzką. Dom. To był dom. Nie mogłem uwierzyć, że zamierzała mnie ot, tak oddać... Leroyowi McArthurowi! Spojrzałem na nią znacząco i zacząłem dla niej mruścić.

– Chcę być TWOIM kotem – mówiłem jej. – Należę do ciebie.

– On mruży. Posłuchaj.

Leroy przybliżył głowę, a jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– A co z jego imieniem, Leroy? – zapytała Angie. – Wiesz, jak go nazwiesz?

Leroy krążył wzrokiem po klasie, zatrzymując go ostatecznie na plakacie nad biurkiem nauczycielki. Wskazał na niego i spojrzałem w tamtą stronę, ciekaw imienia, jakie zamierzał mi nadać. Nie spodziewałem się zobaczyć głowy Białego Lwa. To było jak magia. Wyciągałem szyję coraz bardziej i bardziej, wpatrując się w poważne oczy lwa. Czy to był MÓJ lew?

Leroy odwrócił się rozpromieniony i krzyknął:

– Timba! – Wyciągnął rękę, żeby mnie pogłaskać – tym razem delikatnie – i patrząc mi w oczy, powiedział: – Cześć, Timba.

– Genialne imię, Leroy – orzekła Angie.

– Timmy wystarczy – powiedziała Janine. – Nie chcę żadnej ekstrawagancji.

– Nie, mam. TIMBA – upierał się Leroy; jego głos był ochryply z przejęcia, a oczy duże i okrągłe. – To na cześć białych lwów z Timbavati. Przybyły, żeby ocalić świat. Pani nam o nich mówiła.

A potem dodał coś zdumiewającego:

– Gdyby miał brata, proszę pani, nazwałbym go Vati.

Pomyślałem o moim bracie. Vati: tak będzie miał na imię. Timba i Vati.

Dwa czarne kocięta kontra reszta świata. Przypomniałem sobie śliczny mały pyszczek Vatiego, jego wrażliwość, to, jak zawsze trzymał się blisko mnie. Tak bardzo chciałem, żeby był tu ze mną.

– Świetny pomysł, Leroy – pochwaliła nauczycielka. – Podoba mi się.

Zasypiałem w kołysce kojących dłoni Angie. Proszę, zatrzymaj mnie, marzyłem. Nie chcę być kotem Leroya McArthura, żywić się resztkami, być ściskany i męczony.

Tych kilka chwil z Angie to było coś niezwykłego. Byłem tylko kociakiem, ale wpatrywałem się w jej oczy z mądrością dorosłego kota, który dzielił z nią wiele żywotów. Zastanawiałem się, czemu potrzebowała mnie teraz. Co powodowało to napięcie? Dlaczego czułem, że ta śliczna, kochająca młoda kobieta nosi w sobie smutek? Widziałem, że przytłacza ją ciężar nadmiernej troski o innych, kradnąc jej szczęście. Angie kochała za bardzo, zapominając o sobie. Zdecydowanie potrzebowała kota. Mnie!

Może gdybym pozostał przytomny, wykombinowałbym jakiś sposób ucieczki, ale byłem potwornie zmęczony i tuż przed zaśnięciem usłyszałem jeszcze słowa Angie:

– Kocięta potrzebują dużo snu, Leroy. Nie możesz go budzić. I musisz mi obiecać, że będziesz dbał o Timbę i dobrze go traktował. Kociak potrzebuje niewielkich, regularnych posiłków, kuwety i spokojnego domu, w którym będzie czuć się bezpiecznie... Słuchasz mnie, Leroy?

– Tak, proszę pani.

– Trzeba go też zabrać do weterynarza na szczepienie przeciwko kociemu katarowi. Podam ci adres strony internetowej poświęconej opiece nad kociętami. To będzie...

– Nie mamy komputera – wtrąciła Janine.

– Aha. – Angie zamyśliła się. Podeszła ze mną do kącika z książkami. – Powinna tu być książka o kotach.

– Kiepski pomysł. On nie umie czytać – powiedziała Janine, a Leroy zwiesił głowę, wyraźnie zawstydzony.

– Ale ty umiesz – odparła Angie, wyciągając cienką książkę z kotem na okładce. – Leroy zresztą też, trzeba tylko trochę mu pomóc.

– Nie mam na to czasu – stwierdziła Janine, odsuwając od siebie książkę. – Nie jestem głupia, okej? Wiem, jak zająć się kotem. W końcu to nie fizyka jądrowa, prawda?

W moim śnie słyszałem, jak Vati wołał mnie raz za razem. Opowiedział mi coś niesamowitego. Ta suka, Harriet, nie skrzywdziła go ani naszej pręgowanej siostry, tylko zaniósła ich do domu miłej starszej pani, która zaopiekowała się nimi i dała im mleka dla kociąt na spodku. Potem on i nasza siostra ułożyli się do snu RAZEM Z SUKĄ! Dzisiaj oboje zostali zawiezieni do schroniska dla kotów, skąd

naszą siostrę zabrała jakaś pani. Vati został sam, tak jak ja, i we śnie nawiązaliśmy telepatyczne porozumienie, żeby pozostać w kontakcie. Zawsze byliśmy blisko i potrzebowaliśmy siebie nawzajem, a teraz, rozdzieleni, potrzebowaliśmy siebie jeszcze bardziej.

Kiedy wreszcie się obudziłem, było późne popołudnie, a ja znajdowałem się w kartonowym pudle z wełnianą czapką Leroya i zniszczonym pluszowym misiem, który śmierdział pleśnią. Zakwiliłem przerażony i nad kartonem ukazała się wesółą twarz Leroya.

– Cześć, Timba.

Odpowiedziałem miauknięciem, a Leroy wyjął mnie z pudełka i postawił przed dwiema miskami. W jednej było mleko, a w drugiej coś białego z pomarańczowymi okruchami. Mleko było dziwne w smaku, jakby kwaśne, ale chleptałem i chleptałem, dopóki mój brzusek nie zrobił się ciężki i ciepły. Potem spróbowałem tego drugiego czegoś.

– Kawalek mojego paluszka rybnego – powiedział Leroy. – Ugniotłem dla ciebie. Smakuje ci, Timba?

Leroyowi, który siedział ze mną na podłodze, nie zamykała się buzia, podczas gdy ja krążyłem niepewnie wokół miski, próbując wykombinować, jak dobrać się do tego nieznanego jedzenia. Smakowało niezłe, ale okruchy były twarde, a ryba zbyt gumowata dla moich małych ząbków. Wyciągnąłem większość z miski, robiąc coś, co Janine nazwała „okropnym bajzłem”.

– Nie możesz zmuszać go do jedzenia, Leroy – powiedziała, ale on uparcie podnosił kawałki ryby, usiłując wpychać mi je do pyszczka.

Potem Leroy chciał, żebym się z nim bawił, i wymachiwał przede mną różnymi rzeczami, kiedy ja STARAŁEM SIĘ umyć. Jessica zawsze myła mnie pierwszego. Byłem jej ulubieńcem, a jej szorstki język sprawnie sobie radził z moim długim włosiem. Samodzielne mycie nie jest takie proste. Potrzebowałem miejsca i spokoju, więc czmychnąłem pod stół, ale Leroy wszedł tam za mną na czworakach, jakby był kotem. Podłoga pod stołem była klejąca, a nogi krzesła oblepione kłakami kurzu. Nic ciekawego. Pragnąłem siedzieć na słonecznym parapecie albo w ogrodzie, gdzie tyle się działo. A to było ponure, przygnębiające miejsce.

– Zostaw tego kota w spokoju! – krzyczała Janine. – I podnieś się z podłogi. Kto będzie prał twoje ubrania?

Leroy nie zwrócił na nią uwagi, całkowicie pochłonięty obserwowaniem tego, co robiłem. Z furją w oczach Janine złapała go za rękę i szarpnęła. Przy wyciąganiu spod stołu Leroy uderzył głową w krawędź blatu. Zawył z bólu i wściekłości, co tak mnie wystraszyło, że pognałem ku najbliższej kryjówce. Wcisnąłem się w szparę za kredensem, gdzie umycie się było po prostu niemożliwe.

Kiedy wyjrzałem, przeraził mnie widok dwojga walczących ludzi. Głośno płacząc, z rozdziawioną buzią i trzymając się za głowę, Leroy wściekle kopał Janine po nogach.

– Nienawidzę cię! Przez ciebie uderzyłem się w głowę! Zrobiłaś to specjalnie! Jesteś okropną matką i NIENAWIDZĘ CIĘ!

– Przestań mnie kopać! ZMIATAJ do swojego pokoju. NATYCHMIAST!

– Uderzyłem się w głowę.

– Mam to gdzieś. Cały dzień działasz mi na nerwy. Zejdź mi z oczu. No, już. Już! – Janine wypchnęła Leroya za drzwi i zatrzasnęła je. Oparła się o nie, ciężko dysząc, podczas gdy on kopał i walił w drzwi z drugiej strony. – Cholerny dzieciak – wycedziła ze złością przez pobielające usta. Osunęła się na krzesło i zakryła uszy dłońmi.

Leroy wdarł się z powrotem, złapał krzesło i uniósł je wysoko nad głowę.

– Ani mi się WAŻ – ostrzegła Janine.

Ale Leroy cisnął krzesłem przez pokój, strącając ze stołu jej kubek z kawą, który rozbił się na nierówne kawałki. Kawa zalała jej czasopisma i poplamiała dywan.

– Dość tego! – wrzasnęła Janine. – Pokój wygląda jak pobojuwisko, wredny gówniarzu!

Podderwała się, chwyciła uszkodzone krzesło, odłamała z trzaskiem nogę i zamachnęła się, celując w Leroya.

– Zabiję cię! – krzyknęła.

Rzuciła, ale Leroy uskoczył. Wyszczrzył zęby w uśmiechu na widok matki tracącej nad sobą kontrolę, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Janine.

– Pozbędę się ciebie – warknęła. – Postaram się, żeby opieka społeczna cię zabrała.

W jednej chwili Leroy stracił cały animusz.

– Nie, mam, proszę. Będę grzeczny. Przepraszam, że cię zdenerwowałem... Już nie będę. Pójdę się położyć – powiedział i poszedł na górę.

– Nie ściemniaj. – Janine opadła na fotel i włączyła telewizor.

Ekran zamigotał na niebiesko, a potem zrobił się czarny. Zgasło światło.

– O nie! Doładowanie się skończyło, a ja nie mam pieniędzy – jęknęła Janine. – Będę musiała siedzieć po ciemku.

Rozsunęła zasłony i pomarańczowe światło z ulicy rozjaśniło ciemność. Mnie mrok nie przeszkadzał; właściwie działał na mnie kojąco po tej głośniejszej awanturze.

Co ze mną będzie? – pomyślałem. Byłem tylko małym kotkiem.

Myślenie o samotności i tęsknocie za bratem nie pomagało. Wtedy przypomniałem sobie, czego uczył mnie Salomon.

– Wykorzystaj swój ogon – powiedział. – Ludzie nie mogą oprzeć się

ogonom. Uniesiony ogon jest jak uśmiech. W kryzysowej sytuacji, kiedy ludzie naprawdę cię zdenerwują, nie chowaj się, nie dąsaj, tylko idź do nich z podniesionym ogonem.

Mój ogon nie był jeszcze zbyt długi, ale postanowiłem spróbować. Kiedy Janine się uspokoiła, zamiauczałem, podniosłem ogon i wyszedłem z kryjówki.

Rozczuliła się!

– Och, Timba, jesteś taki słodki – zagruchała. – Biedne maleństwo... Nie krzyczeliśmy na ciebie, kochanie.

Podniosła mnie, pozwalając, bym umościł się na jej ramieniu. Ocierałem się miękkim futerkiem o jej szyję i siedzieliśmy tak w błogiej ciszy. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że i mnie zrobiło się od tego lepiej.

– Działa za każdym razem – zapewniał Salomon.

Ośmielony niespodziewanym sukcesem przysłuchiwałem się biciu serca tej gniewnej kobiety, które brzmiało jak zmęczone kroki.

Kocięta zwykle nie doświadczają smutku, ale dla mnie nie był on niczym nowym. W moim krótkim życiu doświadczyłem go już wiele razy. Nie złamało to jednak mojego ducha. Mogłem bawić się i rozweselać sam siebie, niezależnie od okoliczności, i cieszyło mnie, że jestem kotem, a nie człowiekiem. Tak więc postanowiłem spróbować pocieszyć Janine, okazując jej swoją miłość, tak samo jak robiłem to z Vatim. Oczywiście Janine była bardzo duża w porównaniu z kociakiem, dlatego skupiłem się na jej szyi i ramieniu, które lizałem, mruczając.

– Kochane maleństwo... – Głaszcząc mnie, Janine zaczęła mówić. Słowa popłynęły wartkim strumieniem, jakby tylko czekały, żeby się uwolnić. – Nie jest łatwo być samotną matką. A Leroy jest koszmarny... naprawdę koszmarny... Zawsze taki był. Wykańcza mnie nerwowo. Wiem, że nie powinnam go bić, ale nie mogę nic na to poradzić. Doprowadza mnie do ostateczności.

Słuchałem, chociaż nie rozumiałem większości z tego, co mówiła. Czulem tylko, że coś nas połączyło, że istniał jakiś powód, dla którego się tu znalazłem. Dlaczego ja? Olśnienie, które nagle na mnie spłynęło, było jak zimny podmuch wiatru. Usłyszałem słowo „porzucić” i zobaczyłem, jak po policzkach Janine powoli spływają łzy, połyskujące w świetle zza okna.

– Tak się boję tych z opieki społecznej – powiedziała. – Zabiorą mi mojego Leroya... Wiem, że tak będzie... To znaczy, o ile wcześniej sama go nie porzucę.

I wszystko jasne. Porzucenie. Opuszczenie. Jak dobrze to rozumiałem!

– Czasem po prostu chciałabym z tym wszystkim skończyć – ciągnęła Janine. – Nałykać się leków albo spakować torbę i zniknąć.

To dlatego się tutaj znalazłem? Żeby być kotem Leroya McArthur'a?

Leroy miał napady złości kilka razy dziennie i zwykle towarzyszyły temu kłótnie z matką. Stałem się ekspertem w znajdowaniu kryjówek w tym zagraconym domu. Wszystko to sprawiało, że życie pod żywoplotem z Vatim i siostrą

wydawało się szczęśliwym czasem, pełnym słońca i odkryć. Ten dom był jak więzienie. Nie miałem kontaktu z żywymi stworzeniami, które mógłbym obserwować i od których mógłbym się uczyć. Byłem jak skazaniec.

Leroy nie odstępował mnie na krok. Łapał mnie i umieszczał w różnych dziwnych miejscach, żeby zobaczyć, jak to na mnie podziała. Raz posadził mnie na najwyższej półce, gdzie czułem się niepewnie i chciałem zejść. Stał, śmiejąc się, gdy ja miauczałem coraz bardziej przerażony. Innym razem wziął mnie, kiedy spałem, i włożył do kamiennego naczynia. Obudziłem się zziębnięty i zobaczyłem w górze krąg światła. Nie byłem jeszcze dość silny, żeby wyskoczyć, więc tylko płakałem wniebogłosy, podczas gdy moje łapki ześlizgiwały się z gładkiej powierzchni.

Zamiast mnie uwolnić, Leroy zajrzał do naczynia i krzyknął:

– Bu!

Potem zaczął w nie walić łyżką, powodując hałas, który był prawdziwą torturą dla moich wrażliwych uszu. Kiedy Janine usłyszała moje zawodzenie, wybuchła między nimi kolejna kłótnia.

– Albo przestaniesz dręczyć Timbę, albo go oddam. Angie powiedziała, że go weźmie, jeśli będą problemy.

– Nie dręczę Timby – odparł Leroy. – Tylko się z nim bawię.

– Nie, dokuczasz mu. Nie widzisz różnicy?

Leroy wzruszył ramionami. Wyjął mnie, zanim Janine zdążyła to zrobić, i przycisnął do swojej kościstej piersi.

– To mój kotek. Prawda, że jesteś mój, Timba?

– Cóż, nie pokocha cię, jeśli będziesz go tak traktował.

– On mnie kocha. – Leroy zacisnął dłoń i zapiszczałem.

– Przestań go ścisnąć! – krzyknęła z wściekłością Janine. – To nie zabawka, Leroy. Skrzywdzisz go. Przestań, ty głupolu.

– Nie jestem głupolem. – Leroy wydał wargi, patrząc spode łba.

Poczułem ból przeszywający jego młode ciało i było to dla mnie nowe doświadczenie. Chociaż to ja byłem ścisnany, on cierpiał bardziej, bo jego ból przenikał duszę.

Wdrapałem się na ramię Leroya i zobaczyłem żyłą pulsującą na jego szyi. Otarłem się o nią głową, mrucząc mu do ucha. Zerknął na mnie z uśmiechem. Pierwszy raz poczułem, że mógłbym pokochać tego samotnego chłopca, którego nie lubił nikt, łącznie z jego matką.

Później tego ranka uciekłem na podwórko. Rosła tam wysoka trawa, leżały sterty kartonów i zepsute rowery. Na słońcu znów poczułem się żywy. Węszyłem i nasłuchiwałem, moje wąsiki drgały, oczy rejestrowały każdy ruch. Niebo było jak wielki niebieski parasol rozpięty nade mną, łagodny wiatr mierzwił moje futerko. Próbowałem wywęszyć mojego brata i wykombinować, gdzie jest, ale poczułem

tylko zapach jakiegoś zwierzęcia dochodzący z tunelu. Zaciekawiony wszedłem tam; istniała możliwość, że tym tunelem wydostanę się z podwórka, uwolnię od Leroya i będę mógł poszukać Angie.

Ale w głębi ziemnego tunelu siedziało większe ode mnie zwierzę z różowym nosem i czarnymi oczami. Szczur! Zamieniłem się w najeżoną kulę i nasyczałem na niego. Rzucił się na mnie, błyskając białymi zębiskami. Uciekałem przerażony, słysząc za sobą jego wściekłe piski. Wiedziałem, że mnie zabije. Dokąd mogłem uciec?

Wystrzeliłem z tunelu, docierając do schodów. Siedział tam Leroy, który śmiał się ze mnie.

– Co się dzieje, Timba?

Zanurkowałem pod jego kurtkę i wbiłem się pod pachę. Miarowe bicie jego serca uspokoiło mnie i znów poczułem się bezpieczny. Kiedy wyjrzałem, szczura nie było, ale ucieszyłem się, że Leroy zabrał mnie do domu. Pomyślałem, że ludzie mają swoje zalety, mimo ich dziwacznych zachowań.

3. Przetrawianie



Łóżko Leroya pokrywała sterta ubrań, poduszek i śmierdzących starych pluszaków. Nie rozebrał się ani nie umył. Zrzucił tylko buty, włożył pod kołdrę ze mną na ramieniu i ku mojemu zaskoczeniu natychmiast zasnął. Nastąpiła cisza i spokój, a wtedy zobaczyłem jego anielicę.

Nie wisiała w powietrzu. Otulała Leroya jak świetlisty kocyk, jej piękna twarz znajdowała się przy jego głowie. Miauknąłem w nadziei, że mnie zauważy, i tak się stało. Patrzyliśmy sobie w oczy: dla mnie to było, jakbym gasił pragnienie. Nieskończony blask anielskich oczu jest hipnotyzujący. Byłem bardzo podekscytowany, kiedy się do mnie odezwała.

– To ja kazałam ci mrużyć, Timba – powiedziała, a ja chłonałem każde życiodajne słowo. – Jesteś wspaniałym kociakiem, posłańcem miłości i radości.

– Więc dlaczego wylądowałem u Leroya? Coś tu nie gra – odparłem.

– Wcale nie, Timba. Zrobiłeś wszystko jak należy, i jesteśmy z ciebie dumni. Leroy ma ciężkie dzieciństwo, tak jak ty, i potrzebuje twojej miłości. Wiem, że jesteś małym kotkiem, ale twoja miłość nie jest mała. Twoja miłość jest wielka i potężna. Jest jak anioł. Zawsze o tym pamiętaj.

Jak mógłbym zapomnieć! Jej słowa były jak muzyka dla moich uszu.

– Wyrośniesz na silnego, wspaniałego kota, Timba. Ciebie i Leroya łączy szczególna więź. Jeszcze nadejdą szczęśliwe chwile. Jedną możesz mieć już teraz, dopóki Leroy śpi!

Zamknęła swoje piękne oczy, a jej światło pozostało wokół śpiącego chłopca. Wstałem i przeciągnąłem moje małe ciało. Czuję się pobudzony i wzmocniony. W mętym pomarańczowym świetle zza okna przyglądałem się pokojowi Leroya. Byłem podniecony – tyle ciekawych rzeczy do zabawy. Gdyby tylko był tu ze mną Vati.

Samotna zabawa zmusiła mnie do wykorzystania wyobraźni. Pacałem łapą srebrną nakrętkę od butelki, udając, że to mysz. Choć nigdy nie widziałem myszy,

instynkt podpowiadał mi, że jest szybka i chowa się w dziurach. Wokół znajdowało się mnóstwo „dziur”. Podłoga była zasłana papierowymi torbami, butami i stosami ubrań, tworzącymi ciemne kryjówki. Trenowałem ściganie nakrętki do kryjówki, do której podkradałem się później jak dorosły kot. Odkryłem dyndający guzik kurtki i próbowałem go złapać, podskakując i obracając się w locie, po czym nie zawsze lądowałem we właściwy sposób i napędzałem sobie trochę strachu, zwłaszcza hałasem, jaki wytwarzałem. Najgłośniejsza była papierowa torba. Potwornie trzeszczała, kiedy skakałem w jej wnętrzu, co było niezwykle ekscytujące. Miałem najeżony ogon i wszystko wydawało mi się ożywione, jakby nie istniały żadne granice między wyobraźnią a rzeczywistością. Z fascynacją przyglądałem się futbolówce Leroya, która potoczyła się, kiedy ją pacnąłem. Czy to żyje? Wyobrażając sobie, że to głowa tamtej suki, rzuciłem się na piłkę i wczepiłem w nią pazurami. Piłka obróciła się, wciągając mnie pod siebie, co było tak przerażające, że czmychnąłem jak oparzony i schowałem się pod łóżkiem Leroya.

Obserwowałem piłkę, próbując ustalić, czy naprawdę jest żywa i chce mnie zaatakować, ale już się nie poruszyła. Całe to ukrywanie się i obserwacja sprawiły, że poczułem się samotny. Potrzebowałem drugiego kociaka, z którym mógłbym zdobywać doświadczenie, ćwiczyć walki i pościgi. Piłka się nie nadawała. Nie piszczała ani nie kopała.

Potrzebowałem mojego brata Vatiego. Potrzebowałem go tak bardzo, że aż bolało. Wokół mnie była pustka. Same martwe przedmioty, misie o szklanym wzroku, które nie chciały się ruszać. Wyczołgałem się spod łóżka, spojrzałem na śpiącego Leroya i zapragnąłem poczuć ciepło innej żywej istoty. Ogarnięty smutkiem nie widziałem już anieliczy, tylko udręczonego chłopca, który spał ze zmarszczoną twarzą.

Możliwe, że nigdy nie będę szczęśliwy bez Vatiego, myślałem. Mieliśmy być nierozłączni, jak nasze imiona. Coś jest nie tak ze światem, skoro dwa kociaki nie mogą razem dorastać, jak zaplanowała natura.

Przybity samotną zabawą wspiałem się na kołdrę i usadowiłem przy twarzy Leroya. Jego miarowy oddech uspokajał mnie. Uśmiechnął się przez sen, szepcząc: „Timba”, i ten jeden raz dotknął mnie delikatnie. Przetrwaliśmy nasz pierwszy wspólny dzień, który dla mnie był straszny. Nie sądziłem, bym zniósł kolejny, nie bez Vatiego u boku. Zanim wylądowaliśmy na ulicy, bawiliśmy się i siłowaliśmy, rzucaliśmy sobie wyzwania, ale nigdy się nie krzywdziliśmy. Uczyliśmy się wzajemnej troski, myliśmy się nawzajem i lizaliśmy, spaliśmy razem z łapami spletanymi niczym korzenie drzewa.

A teraz nie miałem nikogo, oprócz tego nieobliczalnego chłopca, kto by mi zapewnił ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Leroy spał, a ja siedziałem na poduszce obok jego głowy i myślałem się dopóty, dopóki nie poczułem, że moje długie futerko

jest wilgotne i czyste. Nasłuchiwałem odgłosów ulicy, bardzo różnych od tych, które towarzyszyły mi w żywopłocie. Ludzie byli okropnie hałaśliwi. Walili w bębny, dmuchali w piszczałki, szarpali struny i wrzeszczeli. Nazywali to muzyką, ale dla moich wrażliwych uszu były to nieprzyjemne wibracje, którymi pulsowały ściany. Każdą chwilę ciszy natychmiast przerywały agresywne ryki motorów i samochodów.

Moje poczucie osamotnienia jeszcze się pogłębiło. W obolałej od hałasu głowie kłębiły się buntownicze myśli. Myślałem o ucieczce, życiu na własną rękę i przemierzaniu świata tak długo, aż wreszcie znajdę Vatiego.

Rano, na długo przed tym, zanim obudził się Leroy, wczepiłem się moimi małymi pazurkami w gruby materiał, który kiedyś był czerwony, i wspiałem na zasłonę. Jak wszystko w tym domu, zasłony śmierdziały czymś zjełczałym. Zdeterminowany dostać się na parapet, rozbijałem się niepewnie. I udało się, w samą porę, by złapać pierwsze promienie słońca.

Widziałem głównie dachy i kominy, parę drzew, całe mnóstwo błyszczących w słońcu okien i ulicę pełną drzewi, za którymi mały kotek mógłby znaleźć dom. Ulica możliwości! Zadarłem głowę i zobaczyłem, że okno jest uchylone u góry. Natychmiast uderzył mnie upajający zapach trawy i wody, docierający zza miasta. Gdzieś tam był mój brat Vati. Zerknąłem w dół i mocniej zabiło mi serce. Tuż poniżej okna znajdował się spadzisty czerwony dach, nagrzewający się już od słońca. Siedział na nim kos, który wydziobywał i rozrzucał dookoła małe kępki mchu.

Tak BARDZO chciałem się tam znaleźć.

Okno było jednak wysokie, a szyba za śliska dla moich łapek. Postanowiłem, że od tego dnia będę ćwiczył skoki, jadł, ile tylko się da, i wzmacniał tylne łapy. Niebawem stanę się wystarczająco silny, by tam doskoczyć i uciec. Będę wiódł życie dachowca, który żywi się ptakami i wygrzewa na słońcu, a nocami przysłuchuje się sowom polującym na odległych polach. A potem, kiedy już będę wiedział, w którą stronę pójść, wyruszę na poszukiwanie Vatiego.

Wyprostowałem się gwałtownie, bo na ulicy pojawiło się coś BARDZO dziwnego. Jaskrawoczerwony samochód... z aurą! Musiała to być aura osoby, która nim jechała.

Patrzyłem zdumiony, jak samochód zatrzymał się tuż przy naszych drzwiach. Aura wysiadła i... och!... to była Angie! Miauczałem i drapałem tę przebrzydłą szybę, ale Angie nie spojrzała w górę. Sięgnęła do samochodu po niebieską plastikową torbę wyładowaną tajemniczymi pakunkami. W powłóczystej czarnej spódnicy, z powiewającą apaszką przecięta na paluszkach chodnik, zawiesiła torbę na klamce i szybko wróciła do samochodu. Kiedy do niego wsiadała, zamykając z cichym kliknięciem drzwi, zauważyłem na jej twarzy figlarny uśmiech. Samochód ruszył z warkotem, a blask jego cytrynowo-niebieskiej aury był jeszcze bardziej

olśniewający niż przedtem.

Miaucząc za nią, patrzyłem, dokąd jedzie. Angie miała być częścią mojej podróży.

– Cześć, Timba! – Obok mnie pojawiła się twarz Leroya, a jego ręce już po mnie sięgały. Zastanawiałem się, jaką nową, straszną „zabawę” wymyśli dziś dla mnie.

Poranne słońce świeciło zachęcająco, ale Janine krzątająca się w kuchni już była zła.

– Niedziela, cholerna niedziela – mamrotała, przesuując po blacie kubki i miski. – Czemu tu się tak lepi?

Leroy, który stał w progu ze mną na rękach, nie odpowiedział.

– Chcesz śniadanie, Timba? – zapytał.

Miauknąłem. Nie nauczyłem się jeszcze, co znaczy słowo „śniadanie”, ale umierałem z głodu i uważałem, że warto w związku z tym miauknąć.

– Nie dawaj mu płatków – powiedziała Janine. – Zajrzyj do tej torby. Była za drzwiami. Zgadnij, kto ją zostawił... Wścibskie babsko. Nigdy nie lubiłam nauczycielek.

Leroyowi zaświeciły się oczy. Postawił mnie na blacie obok niebieskiej torby Angie i zajrzał do środka.

– Mleko dla kociąt! – zawołał zachwycony, wyjmując okrągłą puszkę. – I zobacz, mamó, karma w saszetkach. Też dla kociąt. Spójrz tylko, Timba. Co tu jest jeszcze napisane, mamó?

– „Specjalnie dobrane składniki zapewnią twojemu kotu najlepszy start w życiu”. Kiedy ty wreszcie nauczysz się czytać?

Leroy ustawił saszetki pod ścianą. Były na nich błyszczące zdjęcia zadowolonych kociąt, a jedno wyglądało zupełnie jak moja przegowana siostra! Dotknąłem zdjęcia nosem.

– Chce to – powiedział Leroy i zaczął rozrywać saszetkę.

– Nie bądź taki niecierpliwy – burknęła Janine. – I nie dawaj mu zbyt dużo. Jego żołądek jest wielkości orzecha włoskiego, tak tu napisali.

– Co to jest orzech włoski?

Janine przewróciła oczami, ale nie odpowiedziała na pytanie syna.

– Lepiej zrobię mu najpierw trochę tego kociego mleka.

– Ja chcę to zrobić. Pozwól mi, mamó. POZWÓL MI! – krzyknął Leroy, odpychając matkę, która usiłowała zdjąć pokrywkę z puszek.

– Co ty wyprawiasz? – Janine zabrała puszkę z gorliwych rąk Leroya. – Uspokój się albo nie pozwolę ci tego zrobić... nigdy. Niewychowany **SMARKACZU**.

– Ale Timba to mój kotek – rozpląkał się Leroy. Próbował wyrwać puszkę matce, co skończyło się tak, że wylądowała z łoskotem na podłodze, przy okazji się

otwierając. Cenny biały proszek rozsypał się po brudnych płytkach.

Przez chwilę wszyscy wpatrywaliśmy się zszokowani w rozsypane mleko. Pachniało wspaniale i chciałem tam zeskoczyć, żeby je zlizać.

A potem Janine wybuchła.

– Zobacz, co narobiłeś! No zobacz, ty złośliwy gówniarzu!

– Ja nie chciałem, mammo – załkał Leroy, patrząc z rozpaczą w jej oczy, jakby szukał w nich choćby najmniejszej iskierki miłości, która by go uratowała.

Ale oczy Janine były nieprzystępne i zmęczone. Widok zapłakanego syna, mleka na podłodze i mnie trzęsącego się na krawędzi blatu doprowadził ją do furii. Jej aura płonęła wściekle, kiedy wrzeszczała na Leroya, okładając go po głowie, zupełnie jakby nie mogła przestać. W końcu Leroy wpadł na kredens.

– Przestań, mammo. Przestań... Proszę, mammo – błagał, zanosząc się płaczem.

Tymczasem ja spadłem z blatu i rzuciłem się przed siebie, szukając jakiejś kryjówki. Wpadłem za przepelnione czarne worki ze śmieciami, które stały pod ścianą. Przycupnąłem między nimi i siedziałem tam jak w szałasie, głodny i oszołomiony.

Słyszałem, jak Leroy, ciągle płacząc, poszedł na górę. Słyszałem oddech Janine i jej biadolenie:

– Nie dam rady. Po prostu już dłużej nie mogę. Ten kot musi zniknąć.

Przeszedł mnie dreszcz. Byłem za młody, by zrozumieć, o co dokładnie chodziło Janine, ale wyczułem z tonu jej głosu, że znosi się na coś niedobrego. Ogarnął mnie strach, gorszy nawet od głodu, który czułem. Opanowałem się, przypominając sobie, jak postawiłem się suce. Poczulem dumę. Jestem najlepszym z kociaków Salomona. Najlepszym i największym.

Ze swojej kryjówki przyglądałem się, jak Janine zmiata szczotką rozsypany proszek z powrotem do puszki.

Ktoś szedł ulicą. Kroki ucichły za naszymi drzwiami, co natychmiast postawiło mnie w stan pogotowia. Ruszałem wąsikami i węszyłem, ciekawy, kto czai się za drzwiami, najwyraźniej nasłuchując. A potem ten ktoś zapukał. Nie było to przyjazne pukanie.

Janine spojrzała gniewnie na drzwi, jakby to była ich wina. Odłożyła szczotkę, klnąc pod nosem.

– Jeśli to ta pieprzona baba z opieki społecznej...

Przywarła do ściany przestraszona, z szeroko otwartymi oczami i ściągniętymi ustami. Pukanie rozległo się znowu, tym razem głośniejsze. Janine zaczęły trząść się nogi.

Na szczycie schodów pojawił się Leroy.

– Mammo, ktoś puka – szepnął.

– Cii! – Janine przyłożyła palec do ust, a drugą ręką dała mu znak, żeby nie schodził.

Leroy przewrócił oczami i wrócił do swojego pokoju. Ja zostałem tam, gdzie byłem, między workami; siedziałem skulony, z minuty na minutę coraz bardziej głodny.

Pukanie rozległo się po raz trzeci i męski głos zawołał:

– Pani McArthur, proszę otworzyć.

Janine zamknęła oczy i mocniej przywarła do ściany.

– Pani McArthur. Wiem, że pani tam jest. Proszę otworzyć. Będzie pani miała problemy, jeśli tego nie zrobi.

Janine nadal się nie ruszyła.

– Pani McArthur, tu Trevor z Getta Loan. Zalega pani sześć tygodni ze spłatą długu. Jeśli pani nie zapłaci, wystąpimy na drogę sądową, żeby odzyskać nasze pieniądze.

Janine wciąż nie reagowała i wreszcie mężczyzna powiedział:

– Pójdę już. Ale wrócę jutro i spodziewam się zwrotu pożyczki.

Przez otwór na listy wleciał kawałek papieru i usłyszałem, że mężczyzna odszedł. Janine osunęła się na podłogę. Siedziała tam, szepcząc:

– Co ja mam zrobić? Boże, co ja mam ZROBIĆ?

Po chwili podniosła się i wróciła do zmiatania kociego mleka z podłogi.

– Timba. Timba! Gdzie jesteś?

Janine mnie szukała. Już spokojniejsza, chodziła po kuchni, szurając kapciami, zaglądając pod meble i za zasłony. Jako że porządnie najadłem się strachu, pozostałem w ukryciu. Instynkt podpowiadał mi, że kot nie powinien nigdy ujawniać swojej kryjówki, na wypadek gdyby znów jej potrzebował. Trzeba poczekać, aż odwróci się plecami, i dopiero wtedy pojawić się z podniesionym ogonem, jak gdyby nigdy nic.

Czekałem, a Janine podeszła do blatu, gdzie energicznie mieszała sproszkowane kocie mleko z wodą. Pachniało cudownie, więc wyłoniłem się, miaucząc, z ogonem wysoko w górze. Konałem z głodu.

– O, tu jesteś. – Postawiła na podłodze spodeczek z mlekiem. – Proszę, kochanie.

Piłem i piłem, rozkoszując się kremowym mlekiem, choć były w nim grudki i drobiny brudu z podłogi. Czułem, jak wracają mi siły. Wylizałem spodeczek do czysta i usiadłem. Tak się opilem, że mój brzusek kołysał się na boki, kiedy próbowałem chodzić.

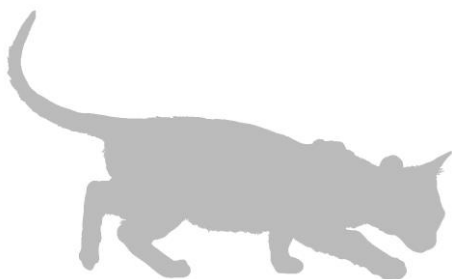
– Naprawdę BYŁEŚ głodny.

Obserwowanie mnie podczas jedzenia sprawiło, że Janine odsłoniła swoje drugie oblicze – to czułe. Zastanawiałem się, dlaczego nie może odnosić się do Leroya tak miło jak do mnie.

Podniosła mnie ostrożnie i zabrała ze sobą na sofę. Opadła na poduszki i zamknęła oczy, a ja chodziłem po jej gąbczastym ciele, ciesząc się tą chwilą

spokoju z dala od Leroya. Już nie płakał, tylko grał na górze w piłkę, odbijając ją o ściany i podłogę. Za każdym razem, kiedy coś się przewracało, twarz Janine tężała, a jej szyja i ramiona robiły się twarde z napięcia. Oboje byliśmy czujni. Co będzie, kiedy Leroy zejdzie na dół?

4. Kobieta sowa



Następny wybryk Leroya tego dnia był z dotychczasowych najgorszy. Na małym podwórku z tyłu domu pośród różnych gratów leżał do góry kołami wózek z supermarketu. Zostawiwszy mnie za zamkniętymi drzwiami, Leroy wyciągnął go z krzaków i wprowadził do domu, kiedy Janine była na górze.

– Chodź, Timba. Zabieram cię na przejażdżkę – powiedział, patrząc na mnie jednym okiem. Drugie było zamknięte z powodu opuchlizny, pamiątki po wściekłym ataku matki.

Podniósł mnie i ostrożnie włożył do wózka. Nie podobało mi się tam. Łapki wpadały mi między druciane pręty i nie mogłem ustać. Było to bardzo niewygodne.

– Chciałbyś na czymś usiąść, Timba? – zapytał uprzejmie i biorąc moje miauknięcie za „tak”, przyniósł z kuchni białą-czerwoną ścierkę do naczyń.

Złożył ją, umieścił w wózku i posadził mnie na niej, ale nadal było mi niewygodnie. Nie chciałem tam być i próbowałem się wspinać, żeby się wydostać.

– Nie, Timba. To za wysoko dla ciebie – powiedział Leroy, przytrzymując mnie w wózku. Spojrzał w górę schodów i szepnął: – Mama śpi. Zabieram cię na słońce.

Cicho otworzył drzwi wyjściowe i wypchnął wózek na ulicę.

– Mam klucz – oznajmił i pokazał mi lśniący przedmiot wiszący na jego szyi, po czym zamknął drzwi.

Siedziałem nieruchomo na białą-czerwonej ścierce, wdychając popołudniowe powietrze. Wyczuwałem odległe, znajome zapachy trawy i kapryfolium. Niebo było bezchmurne, a słońce przyjemnie grzało moje futerko.

Przez kilka minut czułem się nieźle, może nawet lepiej niż nieźle, ale potem Leroy puścił się biegiem i wózek zaczął gwałtownie podskakiwać na nierównym chodniku. Wczepiony w ścierkę, miauczałem przeraźliwie.

– Zatrzymaj się, proszę, zatrzymaj się! – wysyłałem mu tę rozpaczliwą myśl, ale nic do niego nie docierało.

Zatrzymał się dopiero na końcu ulicy, przy dużej czerwonej skrzynce

pocztowej. Wyjął mnie z wózka, przystawił do skrzynki i zaczął wciskać moją głowę do czarnego otworu.

– Tu wrzuca się listy, Timba – oznajmił.

Szamotałem się i wierzgałem tylnymi łapami, które ślizgały się po gładkiej czerwonej powierzchni. Wreszcie udało mi się obrócić i spojrzałem na niego; moje oczy musiały wychodzić z orbit ze strachu.

– Nie bój się, Timba – powiedział. – Zaopiekuję się tobą.

Włożył mnie z powrotem do wózka, odwrócił go i popędził ulicą, odpychając się jedną nogą. Uśmiechał się szeroko, najwyraźniej dobrze się bawiąc. W przeciwieństwie do mnie. Obijałem się moim małym ciałkiem o twarde pręty, wystraszony do granic możliwości. Gnaliśmy coraz szybciej i szybciej, raz w górę, raz w dół ulicy, a Leroy pokrzykiwał radośnie.

Nagle się zatrzymał, a w jego oczach pojawił się popłoch. Starsza kobieta, która wyglądała jak wściekła sowa, blokowała chodnik.

– Co ty wyprawiasz, młody człowieku? – Pulchne policzki kobiety sowy płonęły gniewną czerwienią. – Skąd masz ten wózek?

– Jest mojej mamy.

– Nie, nie jest. Jest z Tesco. Ma napis „Tesco”. CHYBA nie masz tam kociaka?!

– To mój kotek.

– BIEDNE maleństwo!

Delikatnie wyjęła mnie z wózka, nie zważając na protesty Leroya. Byłem tak obolały, że nie mogłem powstrzymać cichutkiego kwilenia. Już wcześniej czułem się osłabiony, a ta piekielna przejażdżka tylko pogorszyła sprawę. Moje silne tyle łapy były jak z waty, przednie poobijane i dzwoniło mi boleśnie w uszach.

– Mały anioleczek...

Chociaż dłonie kobiety były suche i twarde jak korzenie drzewa, roztaczały blask. Dłonie, które leczą, pomyślałem zdumiony. Spotkałem istotę ludzką o leczniczych dłoniach. Oparłem się o jej ogromny biust, przykryty warstwami kwiecistej bawełny. Patrzyła na mnie ze współczuciem, a potem spojrzała na Leroya i w jej oczach pojawiła się dezaprobata.

– To mój kotek – powtórzył.

– Próbujesz go zabić? – zagrzmiała kobieta sowa, co najwyraźniej przeraziło Leroya.

– Nie – odparł drżącym głosem. – Wziąłem go tylko na przejażdżkę.

– Ale przecież kotka boli, kiedy tak się obija o ten okropny wózek. Na pewno jest cały posiniaczony i potwornie wystraszony. Czemu tak go traktujesz?

– Nie chciałem zrobić mu krzywdy – zapewnił Leroy i zaczął płakać, tym razem cicho. Te ciche łzy były oznaką wstydu i przerażenia.

– Twoja matka wie, co robisz?

Leroy pokręcił przecząco głową. Kobieta sowa miała nad nim jakąś władzę. Pod jej surowym spojrzeniem stał jak wrośnięty w chodnik. Wyciągnął rękę i jednym palcem dotknął czubka mojej głowy.

– Tak mi przykro, Timba – wyszeptał.

– No, ja myślę – powiedziała groźnie kobieta sowa. – Wiem, gdzie mieszkasz, Leroyu McArthurze. Teraz grzecznie i powoli odprowadzisz ten wózek do domu. Będę szła za tobą z tym biednym maleństwem, a kiedy dotrzemy na miejsce, zażadam od twojej matki wyjaśnień.

– Mama jest w łóżku – poinformował ją Leroy.

Kobieta sowa uniosła brwi.

– W ŁÓŻKU? Jest chora?

– Nie... Mogę dostać mojego kotka z powrotem? Proszę...

– Wykluczone. Nie potrafisz opiekować się kociakiem i zamierzam powiedzieć to twojej matce. Nie będę przebierać w słowach... A skoro twoja matka jest w łóżku o trzeciej po południu w taki ładny dzień, będę musiała ją z niego wyciągnąć.

– Mama może się wściec – ostrzegł Leroy.

– Nie obchodzi mnie to. Więc zawróć ten wózek i idź... No, już. Tylko powoli. To maleństwo mocno ucierpiało.

Drogę powrotną spędziłem, leżąc w jej kojących dłoniach, co było jak unoszenie się w złotej bańce mydlanej. Zamknąłem oczy i mruczałem. Pierwszy raz, od kiedy zostaliśmy porzuceni, czułem się bezpieczny.

– A tak przy okazji... Leroy, spójrz na mnie – powiedziała kobieta sowa.

Leroy zatrzymał się i odwrócił twarzą do niej.

– Co ci się stało w oko? – spytała.

– Mama... – Leroy zawahał się, a potem wyjaśnił: – Dostałem piłkę w szkole.

Jego aura natychmiast pociemniała. Dlaczego kłamał?

– Rozumiem. – Kobieta sowa nie powiedziała nic więcej, tylko kroczyła wyprostowana za Leroyem, niosąc mnie z taką troską, jakbym był pisklęciem, które wypadło z gniazda.

Leroy drżał, kiedy otwierał drzwi wejściowe.

– Odprowadzę ten wózek do Tesco – obiecał – ale proszę, niech mi pani odda Timbę. To mój kotek.

– Nie ma mowy – odparła kobieta sowa. – Idź i obudź matkę. Niech tu zaraz zejdzie, bo jak nie, ja pójdę do niej.

Weszła do domu i czekaliśmy razem, kiedy Leroy powlókł się na górę. Przez chwilę słychać było gorączkowe szepty, a potem Janine zeszła na dół.

– Pani Lanbrow – wymamrotała zdumiona. – Coś się stało?

– Oto, co się stało. Ten półżywy kociak zaliczył rajd po ulicy w wózku z

supermarketu. Jest przerażony i potłuczony. Nie zdziwię się, jeśli nie przeżyje. – Kobieta sowa mówiła silnym, ale opanowanym głosem. Gdy wyraźnie zbita z tropu Janine odwróciła się do Leroya, oznajmiła: – Nie winię chłopca. Jest tylko dzieckiem i niewiele rozumie. Ale kto mu pozwolił na takie traktowanie kota? Żądam wyjaśnień. I lepiej niech będą sensowne, bo zabieram tego biednego kociaka do weterynarza, który na pewno będzie chciał wiedzieć, co się stało. To jest znęcanie się nad zwierzęciem, pani McArthur, a znęcanie się nad zwierzęciem jest karalne.

– Jej chodzi o policję, mamó – szepnął Leroy.

– Cicho bądź. Dość już sobie nagrabiłeś.

– Właśnie widzę – powiedziała kobieta sowa, obejmując Leroya ramieniem.

– To spuchnięte oko kiepsko wygląda.

Janine już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła, bo kobieta sowa spojrziała na nią surowo.

– Tylko proszę nie mówić, że to nie moja sprawa – rzekła. – Tak się składa, że obchodzi mnie dobro zwierząt... i dzieci... i mam gdzieś, co ludzie o mnie myślą. No dobra... – Zerknęła na mnie, siedzącego cicho i spokojnie w jej dłoniach. – Zabieram kociaka do weterynarza, czy się to pani podoba, czy nie.

– Mogę też pójść? To mój kotek – odezwał się Leroy.

– Nie, nie możesz – warknęła Janine.

Zaczęli się kłócić. Obrzuciwszy ich na wpół pogardliwym, na wpół współczującym spojrzeniem, kobieta sowa wyszła. Niosła mnie ulicą w złączonych dłoniach, a ja, chociaż pogrążony w półśnie, zarejestrowałem tupot stóp biegnącego Leroya i jego zatroskane pytanie, kiedy się z nami zrównał. Czy wszystko było ze mną dobrze?

Nie, nie było. Zamroczony bólem, widziałem napływających ku mnie moich bliskich... Moją mamę Jessikę, tatę Salomona, mały pyszczek i rozumne oczy Vatiego. Brat był ze mną. Nie chciał, żebym umarł. Vati i kobieta sowa kołysali mnie w swoich świetlistych objęciach i ból powolutku ustępował. Nie potrzebowałem weterynarza. Potrzebowałem tylko koralowej aury kobiety sowy i Vatiego. Vati był mądry. Wiedziałyby, co zrobić. Musiałem go znaleźć.

Jak przez mgłę zobaczyłem, że położono mnie na miękkim kocu pod ciepłym światłem. Byłem bezwładny, zupełnie do niczego. I bardzo smutny. Gdzie się podziały moja godność i ambicja, by wyrosnąć na wspaniałego, niezależnego kota? Teraz byłem tylko żalonym strzępkim sierści.

– Skąd masz tego kociaka?

Wpatrywało się we mnie troje ludzi: Rick, weterynarz, kobieta sowa i Leroy. Czulem płynącą od nich wszystkich miłość, nawet od Leroya, który nadal cicho płakał. Słyszałem, jak mówił Rickowi, gdzie mnie znalazł i że nazwał mnie Timba.

Rick, którego otaczała jasna poświata, zapytał łagodnie:

– Co czułeś, kiedy znalazłeś Timbę?

– Radość – odpowiedział Leroy. – Bo kocham zwierzęta i zawsze chciałem mieć kota albo psa, tylko mama mi nie pozwalała. Nie wiedziałem, że krzywdzę Timbę. Naprawdę... Musi mi pan uwierzyć.

– Wierzę ci – orzekł Rick. Zbadał mnie swoimi delikatnymi palcami, osłuchiwał moje serce. A potem powiedział coś wspaniałego: – Timba będzie pięknym kotem. Zasluguje na jak najlepsze traktowanie, nie sądzisz?

Usłyszałem ochryple „tak” Leroya, a kobieta sowa powiedziała:

– Zdecydowanie. Ja zapłacę rachunek.

Rick tak długo patrzył spod uniesionych brwi na Leroya, aż ten zaczął kręcić się nerwowo i wymamrotał „dziękuję” do kobiety sowy.

– Cóż, twojej mamy pewnie nie stać – powiedziała i spojrzała na Ricka. – Samotna matka – wyjaśniła szeptem.

– Już mówię, co zamierzam zrobić – oznajmił Rick. – Zatrzymam tu Timbę na kilka dni. Odpocznie, będzie miał zapewniony spokój, odpowiednią dietę i czułą opiekę. I zaszczepimy go na koci katar.

Leroy wydał wargi.

– Ja chcę, żeby był w domu.

– Wiem, ale najpierw musi dojść do siebie. Daj mu szansę, Leroy, okej?

Po tym, jak Rick powiedział, że będę pięknym kotem, spałem błogo, bo wiedziałem, że kobieta sowa jest ze mną duchem, tak samo Vati i Leroy. W moim śnie kobieta sowa tworzyła rękami kolory, które wnikały w moje kości i je wzmacniały. Mieszała zioła i zapach szaławii, mięty i kocimiętki wzmacniał moją terapię. Śpiewała głębokim głosem pieśń, której brzmienie zabrało mnie w długą podróż do kraju, gdzie gorąca ziemia tętniła życiem. Czułem smak nagrzanego ziemi, widziałem zieleń rozkwitających roślin.

Kobieta sowa wzięła bęben i zaczęła wybijać rytm swoimi potężnymi dłońmi. We śnie czułem, jak pulsująca fala biegnie przez świat, docierając do odległego kraju, a potem zobaczyłem Białego Lwa kroczącego w moją stronę.

Przez trzy dni spałem zwinięty w kłębek między aksamitnymi łapami Ducha Lwa. Bicie jego serca zsynchronizowało się z rytmem wybijanym przez kobietę sowę, a ja z każdym magicznym uderzeniem robiłem się silniejszy. Łapy Białego Lwa ani razu nie drgnęły, trzymając mnie pewnie w kuli światła. Leżałem na poduszce z mistycznego gwiazdnego pyłu, w górze widziałem falującą na tle nieba białą lwią grzywę. Lew nie odzywał się, ale jego milczenie powiedziało mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć.

W regularnych odstępach czasu pojawiała się ręka i byłem łagodnie nakłaniany do pobudki. Ludzie dotykali mnie bardzo delikatnie, ich głosy przepełniała czułość. Nie wiedziałem, kim byli, ale okazywałem im wdzięczność mruczeniem, które stopniowo robiło się coraz głośniejsze. Dawali mi niewielkie

porcje pysznego gęstego mleka i kawałeczki stałego pożywienia, za każdym razem mówiąc mi, co to jest. „To jest tuńczyk”. Albo: „To jest kurczak.” Smakowało PRZEPYSZNIE, a kiedy przekonałem się, że mogę jeść w spokoju i nic mi nie zagraża, zacząłem pochłaniać wszystko jak opętany i miauczałem o więcej. Wkrótce miałem dość energii, by się myć i z przyjemnością pielęgnowałem swoje miękkie futerko. Moje poobijane ciało goiło się, wracało do niego życie. Czułem niecierpliwe mrowienie w tylnych łapach, które były coraz silniejsze. W przerwach pomiędzy spaniem nawet trochę się bawiłem.

Czas, kiedy dochodziłem do siebie, nauczył mnie czegoś ważnego. Ludzie potrafią być dobrzy, mili i wrażliwi na kocie potrzeby. Ludzie kochają koty i potrzebują ich. Gdzieś tam jest człowiek, który potrzebuje MNIE. Miałem nadzieję, że tym człowiekiem okaże się Angie.

Nagle do moich uszu dobiegł skrzekliwy głos Leroya:

- Mogę zobaczyć mojego kotka? Chcę go zabrać.
- Nie możesz tu przychodzić bez osoby dorosłej.
- Musiałem przyjść sam, bo moja mama by ze mną nie przyszła.
- Wracaj do domu i przekaz jej, co ci powiedziałam.

Recepcjonistka spławiła Leroya... a przynajmniej tak jej się wydawało. Nim zdążyła zareagować, wbiegł do pomieszczenia, w którym mnie trzymali. Zobaczył mnie i z szerokim uśmiechem podszedł do mojej klatki.

– Cześć, Timba.

Prychnąłem, siadając. Chciałem mu powiedzieć, żeby sobie poszedł, że nie pozwolę sobie więcej na takie traktowanie. Ale on był zdeterminowany. Jego zręczne palce zaczęły majstrować przy drzwiczkach klatki.

– Chyba urósł – powiedział rozpromieniony, wpatrując się we mnie.
– Nie możesz tego robić. – Recepcjonistka zatrzasnęła drzwiczki i oparła się o klatkę, zasłaniając ją przez Leroyem. – Masz tupet. Nikomu nie wolno tu wchodzić.

– Mam to gdzieś. Timba jest mój i chcę go odzyskać. – Leroy stał na rozstawionych nogach, jego zaciśnięte pięści były gotowe do walki. – Nie powstrzymasz mnie.

– WYJDŹ! – Recepcjonistka próbowała wypchnąć go za drzwi, ale przeceniła swoje siły. Leroy usiadł na podłodze.

– Nie ruszę się stąd, dopóki nie odzyskam mojego kotka. Weterynarz powiedział, żeby przyjść w czwartek.

– Nie możesz go zabrać bez kogoś dorosłego. No i jest jeszcze rachunek do uregulowania. A teraz wyjdź, proszę, albo zawołam pomoc.

– Nie. I pani Lanbrow powiedziała, że zapłaci rachunek.

– Okej. Mam numer do twojej mamy. Zadzwońię do niej.

– Nie odbierze. Śpi.

Kłócili się, a ja planowałem swoje życie. Nie zamierzałem być kotem Leroya McArthura. Jeśli mnie zabierze, ucieknę przy pierwszej sposobności. Moje tylne łapy znów były silne, gotowe do skoku i biegu. Czas rekonwalescencji dobiegł końca, wróciła mi odwaga. Jeżeli Leroy spróbuje mnie gnębić, nasycę na niego i podrapię mu ręce. Nie pozwolę, żeby znów mnie dopadł.

Drzwi otworzyły się powoli i wszedł weterynarz Rick. Dla mnie był on ziemskim aniołem. Miał aurę promieniującą bielą i błękitem, roztaczał wokół siebie spokój. Dokładnie wiedział, gdzie musi pójść, co zrobić i kto potrzebuje go najbardziej. Tym razem był to wzburzony chłopiec uparcie okupujący podłogę.

– Cześć, Leroy! Co tu robisz?

Leroy podniósł na niego wzrok.

– Chcę odzyskać Timbę, a ONA mi nie pozwala. – Wycelował gniewnie palec w recepcjonistkę, która przewróciła oczami.

Rick nie próbował nakłonić Leroya do wstania, tylko usiadł przy nim na podłodze.

– Jesteś przygnębiony, Leroy. Widzę to – powiedział łagodnie, patrząc mu prosto w oczy. – Co się dzieje?

Leroyowi zadrżały usta.

– Nie chcę moich zabawek, gier, piłki ani niczego – załkał. – Chcę tylko Timbę.

– Bardzo go kochasz, prawda?

Leroy przytaknął, a jego małym ciałem wstrząsnął szloch.

– Całe życie chciałem mieć zwierzątko i znalazłem Timbę... zupełnie jakby tam na mnie czekał. Nigdy nie chciałem go skrzywdzić i więcej go nie skrzywdzę. Obiecuję.

– Czy ktokolwiek wytłumaczył ci, jak zajmować się kotem?

– Nie. Mama tylko na mnie krzyczy. NICZEGO mi nie tłumaczy – odparł Leroy. – W szkole ciągle się nade mną znęcają, bo mama nie pierze mi ubrań i dzieciaki mówią, że śmierdę.

– Rzeczywiście masz ciężko – powiedział cicho Rick. – A co takiego lubisz w Timbie?

– Nie wiem. – Leroy zawahał się, przenosząc na mnie wzrok. – To znaczy... bo kiedy go trzymam, czuję, że jest żywy, i czuję bicie jego serca, i wiem, że mnie kocha... Prawda, Timba? I nie obchodzi go, że jestem złym chłopcem.

– Złym chłopcem? Naprawdę?

– Taak.

Rick zamilkł, ale jego milczenie nie było pozbawione znaczenia, tak jak wcześniej milczenie Białego Lwa.

– Zawsze będziesz zły, Leroy? – spytał po dłuższej chwili.

– Nie. Kiedy dorosnę, zmienię świat... jak białe lwy... Tylko nikt mi nie

wierzy. Pojadę do Afryki i będę ratować zwierzęta.

Jego aura płonęła teraz ogniem podsycanym odwagą z dawnych czasów, a Rick kiwał w zamyśleniu głową. W końcu rozprostował swoje długie nogi, wstał i przeciął pomieszczenie w dwóch długich krokach. Moje serce zamarło, kiedy otworzył klatkę. Chyba nie chce mnie oddać Leroyowi?

– Chodź, piękny Timbo – powiedział, biorąc mnie w swoje świetliste ręce. – Chciałbym, żebyś go teraz pottrzymał, Leroy... delikatnie i z uczuciem. Możesz to zrobić?

Zapomniałem o zamiarze drapania i gryzienia, gdy zobaczyłem szeroki uśmiech Leroya. Usłyszałem swoje mruczenie, a kiedy mnie przytulił, poczułem przyspieszone, radosne bicie jego serca. Jego dłonie świeciły jasnym światłem. Co za zmiana. Leroy cały promieniował szczęściem... z mojego powodu. Miałem potężną moc!

Nowy rodzaj mruczenia, który opanowałem w ostatnich dniach, był cennym kluczem potrafiącym otworzyć nawet najtwardsze ludzkie serce. W moim umyśle rodziła się jeszcze jedna nowa umiejętność... umiejętność nawiązywania więzi duchowej. Jak dotąd taką więź czułem jedynie z Vatim. Wpatrywałem się w oczy Leroya i dostrzegłem promienistą duszę zamkniętą w ciele tego gniewnego chłopca. Uniosłem ogonek i wspiąłem się po swetrze do jego twarzy. Dotknęliśmy się nosami. Zachichotał, kiedy moje wąsiki połaskotały go w policzek, a ja wiedziałem, że dałem mu coś bezcennego.

– Głaszcz go z włosem – instruował go Rick. – To znaczy w stronę, w którą rośnie mu sierść. Będzie to dla niego przyjemne i pomoże mu w utrzymaniu gładkiego i lśniącego futerka.

– Nie wiedziałem. – Pierwszy raz Leroy głaskał mnie tak, jak lubiłem, od głowy do ogona, pewnie, ale delikatnie, zupełnie inaczej od wcześniejszego czochrania i tarmoszenia.

– Doskonale – pochwalił Rick, odwracając się na dźwięk otwieranych drzwi. – O, jest twoja mama.

Poczułem, jak Leroy cały się spał, spodziewając się najgorszego. Magiczna chwila minęła, więź została zerwana. Co ja zrobiłem? Porzuciłem swój plan, by gryźć i drapać, w zamian spoufalając się z chłopcem, który krzywdził mnie i przerażał. Chyba oszalałem!

– Pożyczymy wam transporter, w którym zabierzecie go do domu – powiedział Rick, podając Leroyowi książkę z kociakiem na okładce. – Umiesz czytać, Leroy? To bardzo dobra książka. Dowiesz się z niej, jak opiekować się kociakiem. A teraz włóż Timbę do transportera i możesz go zabierać.

Co ja najlepszego zrobiłem? Na szczęście mogę uciec i zrobić to przy pierwszej sposobności. Niech no tylko otworzą te drzwiczki... Popędzę ulicą i tym razem NIKT mnie nie złapie.

5. Przykro mi



Wieczór upłynął bez incydentów. Leroy nie spuszczał mnie z oczu. Nawet kiedy jadłem kolację, siedział ze mną na podłodze, trzymając swój talerz w ręce. Pozwolił mi się umyć, a potem bawił się ze mną, chichocząc z zachwytem, gdy szalałem z puchatą kulką przymocowaną do sznurka. Było wspaniale. Obserwowaliśmy się nawzajem i nauczyłem się odgadywać, kiedy poruszy sznurkiem, a on, że najbardziej lubię, kiedy rusza nim powoli. Dał mi białą piłeczkę pingpongową, która była doskonała do zabawy. Lekka i szybka, toczyła się po podłodze z zawrotną prędkością, a śmiech Leroya był dla mnie dodatkową zachętą.

– Timba gra w nogę! – piszczał.

Atmosfera była zdecydowanie lżejsza i bardziej beztraska. Kilka radosnych godzin sprawiło, że zaczęło rodzić się zaufanie. Może wszystko będzie dobrze. Byłem teraz silniejszy. Moje tylne łapy sprężynowały, byłem pobudzony i w figlarnym nastroju. Wprawdzie Leroy nie całkiem był jak drugi kociak, ale dawał radę.

Janine, dziwnie cicha i zamyślona, ani razu nie nakrzyczała na syna, tylko gapiała się w telewizor.

– Idę do łóżka, mamó. Timba jest zmęczony – powiedział Leroy.

– Aha. Okej. Dobranoc.

O dziwo, nie próbowała powstrzymać go przed zabraniem mnie do łóżka i spędziłem noc, ciesząc się bliskością i ciepłem innej żywej istoty. Spaliśmy spokojnie razem, trudny chłopiec i porzucony kociak, pod skrzydłami anielicy Leroya.

Siedząc na parapecie w blasku świtu, odwróciłem się, by popatrzeć na pokój Leroya, i przeżyłem szok. Wszystkie ściany pokrywały rysunki, które z początku

wyglądały jak gryzmoły i plamy, ale potem zobaczyłem, że mają oczy. Dzikie żółte oczy, które mnie obserwowały. I zęby! Długie, zakrzywione kły w rozwartych paszczach. Siedziałem sztywny i wyprostowany, zbyt wystraszony, żeby się poruszyć. Miałem nadzieję, że groźne spojrzenie najlepszego z kociaków Salomona wystarczy, aby zostawiły mnie w spokoju.

– Na co patrzysz, Timba? – Leroy musiał wyczuć mój strach.

Wstał z łóżka i zabrał mnie z parapetu. Siedząc w jego ramionach, nieruchomy niczym kot wystrugany z drewna, nadal próbowałem odstraszyć wzrokiem te stwory ze ścian.

– Nie bój się – powiedział – to moje rysunki lwów. Nie mam papieru, więc rysuję na ścianach. Mama się wścieka, ale mam to gdzieś. – Zaniósł mnie do największego lwa i poklepał ścianę, aby mi pokazać, że nie jest prawdziwy. – Widzisz, Timba, te wielkie litery wychodzące z jego pyska? Tu jest napisane „GRRRRRRRR”. Napisałem dużo „R”, żeby ryk był głośniejszy.

Mój strach osłabł, ale nie mogłem zignorować lwów. Było ich tak dużo. Ciągłe odkrywałem nowe. Skradałem się po podłodze, zadzierając głowę i dokładnie je sprawdzając. Czy będę musiał żyć z tymi dziwnymi, nierzeczywistymi obrazami?

Leroy wyjął spod łóżka paczkę mazaków.

– Narysuję ciebie, Timba! – powiedział. Siedziałem jak zahipnotyzowany, kiedy nanosił na pusty kawałek ściany czarne linie. – To twoje gęste futerko... a to twoje wąsy. – Narysował mi ogromne oczy i pomalował je na żółto. – Jesteś bardzo mały, Timba, ale zaopiekuję się tobą. Nie pozwolę, żeby dopadły cię lwy – dodał, zabierając mnie do łóżka na pieszczoty.

Bardzo starał się być moim przyjacielem.

Rano Janine wciąż była wyjątkowo cicha. Leroy nakarmił mnie, zanim wyszedł do szkoły.

– Uważaj na Timbę, mamó – powiedział.

Janine ledwo na niego spojrzała.

– Jasne – mruknęła, a ja wyczułem, że za jej małomównością kryje się coś złowrogiego.

Umyłem się dokładnie i trochę pobawiłem. Potem spałem na sofie w promieniach słonecznych sączących się przez brudne okno.

Gdzieś w połowie dnia Janine wzięła mnie na ręce i przytuliła.

– Przykro mi, Timba... ale musisz odejść.

Gdzie ja już TO słyszałem?

Wsadziła mnie do transportera i wyszliśmy na ulicę. Miauczałem przestraszony.

Co teraz?

Janine szła w słońcu. Pokonała ulicę, po której Leroy woził mnie w wózku, a

potem skręciła w drogę z żywopłotami, mijając miejsce, w którym ja i moje rodzeństwo zostaliśmy porzuceni. Czy znowu wyląduję w żywopłocie? Poczulem złość. Czy taki kociak jak ja nie ma żadnych praw?

Szła dalej, ze wzrokiem wbitym w ziemię, zdając się nie zauważać ani błękitnego nieba, ani wiatru buszującego w polach kukurydzy. Minęła samotny domek ze szczekającym psem i skierowała się do niskiego budynku z płaskim dachem i dużą liczbą okien. Zacisnęła usta, mijając grupkę stojących przy bramie kobiet ze spacerówkami.

– Możesz się uciszyć? – syknęła, ale ja miauczałem coraz głośniej. Chciałem, żeby wszechświat usłyszał moje skargi na ludzi, którzy mieszały w moim życiu. Pomysł, aby zostać dzikim kotem, wydawał mi się teraz bardzo kuszący. Połączenie złości i tęsknoty przyprawiało mnie o ból serca. Chciałem być wolny, żeby odkrywać świat, poznawać jego mieszkańców, rośliny i tajemnicze siły, które tylko koty potrafią wyczuwać.

Janine wniosła mnie do budynku i natychmiast rozpoznałem zapach papieru, środków czyszczących i dzieci. Pamiętałem ich tęczowe aury i chciałem znów je zobaczyć. Moje miauczenie, przypominające płacz, niesło się echem po korytarzu. Pomyślałem, że Leroy usłyszy mnie i przybiegnie.

– Dzień dobry, pani McArthur. Przyszła pani po Leroya? – zapytał szkolna sekretarka.

Janine postawiła transporter na podłodze i teraz nie widziałem jej twarzy, tylko nogi. Co za zniewaga. Ciekawe, czy jej by się podobało coś takiego? Byłem coraz bardziej niespokojny.

– Nie i nie chcę, żeby Leroy dowiedział się, że tu jestem – szepnęła Janine. – Ale mam pilną sprawę. Muszę zobaczyć się z jego nauczycielką. Czy mogłaby pani ją zawołać? To nie zajmie dużo czasu.

– Obawiam się, że Angie nie może tak po prostu wyjść z lekcji. Proszę poczekać do końca zajęć. Wtedy się z panią zobaczy.

– Nie chcę, żeby Leroy zobaczył, że mam kociaka. Mogę poczekać tutaj i zamknąć drzwi? Strasznie się awanturuje!

– Brzmi, jakby miała tam pani wielkie kocisko.

– To tylko kociak. Proszę zobaczyć! – Janine uniosła transporter i obie kobiety przyglądały się mojemu miauczącemu pyszczkowi. – Nie chcę, żeby Leroy go usłyszał.

– Wydaje mi się, że cała szkoła go słyszy!

Czekaliśmy, a Janine była coraz bardziej zdenerwowana. Wreszcie rozległ się dzwonek i usłyszałem dzieci. Był wśród nich Leroy, który pakował plecak i zbierał się do wyjścia, spodziewając się, że zastanie mnie w domu.

Rozpoznałem energiczne kroki Angie na korytarzu i wkrótce była z nami.

– Kochane maleństwo – szepnęła, przysuwając twarz do krat transportera. –

Ale urósł! – Odwróciła się do Janine. – Czemu przyniosłaś tu Timbę?

– Mówiłaś, że dasz mu dom – powiedziała Janine. – Bardzo mi przykro, ale nie mogę opiekować się kociakiem. Leroy ma na jego punkcie OBSESJĘ, przez co są same kłopoty. To nie fair wobec kociaka. Więc jak, wezmiesz go? Inaczej...

– Inaczej co?

Janine nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w Angie. Wiedziałem, o czym myśli. Zamierzała mnie gdzieś porzucić. Darłem się jak opętany.

– Moje maleństwo! Nie zniosę tego dłużej. – Angie otworzyła drzwiczki i wyjęła mnie. – Jesteś taki śliczny, Timba. Już dobrze. Już dobrze. Angie jest tu z tobą, malutki!

Pocałowała czubek mojej głowy i w końcu się uciszyłem. Wyczerpany płaczem przylgnałem do Angie, próbując się schować pod jej rozpinanym swetrem.

– Oczywiście, że go wezmę – powiedziała żarliwie. – I będzie to dom na zawsze... nawet jeśli nie planowałam kota... a w moim życiu tyle się teraz dzieje... Ale nie zawiodę go.

– Dzięki Bogu. – Janine odetchnęła z ulgą. – Chcę dobrze dla Timby... tyle już przeszedł. Tak między nami, myślę, że Leroy by go w końcu zabił. Wyrabiał z nim straszne rzeczy.

– Zdajesz sobie sprawę, że Leroy będzie zrozpaczony? Mówi tylko o Timbie. Bardzo SIĘ STARAŁ dobrze nim opiekować. Martwię się o niego... Ty nie?

Janine wzruszyła ramionami.

– Takie jest życie... Będzie musiał się z tym pogodzić.

– Szkoda. – W oczach Angie widoczna była troska. – Leroy jest TAKIM kreatywnym dzieckiem. Widziałaś jego prace?

– Nie. Nie pozwalałam mu na takie rzeczy. I tak robi dość bałaganu. Powinnaś zobaczyć jego pokój. Wygląda jak wysypisko śmieci. Do tego gryzmoli po ścianach.

– Czy nie powinniśmy pozwolić mu pożegnać się z Timbą? – zapytała Angie. – Ciągle tu jest. Powiedziałam mu, żeby zaczekał na placu zabaw.

– Nie. Proszę... Nie chcę, żeby wiedział.

Ale kiedy to powiedziała, w oknie pojawiła się twarz Leroya przyciśnięta do szyby. Zobaczył mnie w ramionach Angie, potem przeniósł wzrok na transporter. Chwilę później usłyszałem odgłos biegnących stóp i Leroy wpadł do sekretariatu.

– Czemu zabrałaś Timbę? – spytał matkę. – To MÓJ kot.

– Timba będzie mieszkać ze mną, Leroy – powiedziała łagodnie, lecz stanowczo Angie. – Twoja mama uważa, że tak będzie dla niego najlepiej.

Leroy odwrócił się do Janine. Jego aura płonęła.

– Nie miałaś prawa tego robić! – wypalił. – Nie miałaś prawa zabierać mojego kota pod moją nieobecność. NIENAWIDZĘ cię. Nienawidzę was wszystkich. Kiedy będę duży, przyjdę i odzyskam Timbę.

Cisnął swój plecak przez sekretariat i wybiegł. Jego płacz dźwięczał mi w uszach jeszcze przez wiele godzin.

– Ma złamane serce – powiedziała Angie, znowu całując mnie w głowę. – To nie koniec historii z Leroyem, Timba. Musimy coś zrobić, żeby mu pomóc.

Oczekiwania odnośnie do życia, które miałem wieść jako kot Angie, opierały się na moich doświadczeniach z poprzedniego wcielenia, w którym byłem wypieszczonym kotem z luksusowego pałacu, żyjącym w kulturze czczącej koty. Myślałem, że Angie będzie snuła się po domu w jedwabnych szatach, nie mając nic innego do roboty, niż pieścić mnie i bawić się ze mną. Pomyłka! Spodziewałem się, że będę jedynym zwierzęciem w jej życiu. Pomyłka! Zakładałem, że w domu Angie nigdy nie zaznam strachu. Pomyłka!

Pierwsze, co zrobiła, to przedstawiła mnie Grahamowi. Idąc korytarzem, trzymała mnie przy samym sercu.

– To jest pokój muzyczny – powiedziała. – A to jest Graham, miłość mojego życia. Cześć, kochanie. – Wspięła się na palce, żeby pocałować mężczyznę. – Poznaj naszego nowego kociaka, Timbę. Prawda, że ŚLICZNY?

Nie odwróciłem się do Grahama. Wystarczyło mi jedno jego spojrzenie spod zmarszczonych brwi, żebym próbował wbić się pod sweter Angie.

– Uroczy – przyznał Graham, głaszcząc mnie jednym palcem. – Prawdziwy słodziak. Daj mi go potrzymać.

Nie byłem na to gotowy, ale Angie ostrożnie posadziła mnie na złączonych dłoniach Grahama. Przestał marszczyć brwi, kiedy poczuł moje miękkie futerko. Spojrzałem w jego oczy i wyczułem tajemnicę, coś, o czym Angie nie wiedziała. Tajemnica była uśpiona jak jeź podczas zimy. Wiedziałem, że kiedy się przebudzi, Angie spotka to samo co Leroya... będzie miała złamane serce. Zdecydowanie potrzebowała silnego, kochającego kota. Takiego jak ja.

Przetrwałem prezentację, ale to, co wydarzyło się potem, było dla mnie zupełnie nowe.

– Graham jest WSPANIAŁYM śpiewakiem – powiedziała Angie. – Mam nadzieję, że lubisz muzykę, Timba.

– Koty lubią muzykę – powiedział Graham, oddając mnie Angie.

Patrzyłem przez okno na jabłonkę i chciałem być na dworze, łapać w trawie owady i zdobywać wiedzę o świecie.

– Jak ci idzie z nową pieśnią? – zapytała Angie, patrząc na Grahama z uwielbieniem.

– Sama posłuchaj – odparł, podchodząc do błyszczącego czarnego fortepianu. Pogroził mi palcem. – Nigdy nie drap mojego fortepianu, Timba.

Angie oparła się łokciami o lśniący jak lustro wierzch instrumentu i wlepiła oczy w Grahama. Zagrał kilka nut, co mnie zaniepokoiło. Potem wyprostował szerokie ramiona, nabrał powietrza i zaczął śpiewać, co brzmiało jak ryk lwa. To

było strasznie, strasznie głośne. Przeraziłem się. Dźwięk dobiegał z głębi jego jestestwa, raniąc moje wrażliwe uszy. Czegoś tak głośnego żaden kot nie dałby rady wytrzymać. To było jak wycie wilków, grzmot pioruna i dzikie krzyki sępa w jednym.

Wyrwałem się z objęć Angie i zeskoczyłem na podłogę. Moje małe łapki nie były przystosowane do skoków z takiej wysokości, więc wylądowałem na pyszczku, w płataninie spanikowanych odnóży. Pozbierałem się i uciekłem do ogrodu. Graham nadal „śpiewał”, ale Angie śmiała się perliście.

Przycupnąłem pod baldachimem rabarbarowych liści, próbując się uspokoić.

– To było takie zabawne! – dotarły do mnie słowa Angie, ale Graham, który przestał „śpiewać”, nie śmiał się.

– Lepiej zabierz go stamtąd, zanim rozkopie moje grządki – powiedział i sądząc po tonie jego głosu, znów marszczył brwi.

– Och, niech sobie pochodzi. Jest teraz wolnym duchem – odparła Angie. – Zapozna się z otoczeniem i wróci, kiedy będzie gotowy.

Wolny duch. WOLNY duch! Poprawił mi się humor. Czy pierwszy raz w moim młodym życiu byłem wolny? Wolny, by móc odkrywać zielony ogród i tajemniczy świat za nim? Musiałem rozeznaczyć się w kierunkach, nakreślić mapę mojego przyszłego terytorium, dowiedzieć się, kto tu mieszka, kto tędy przechodzi, kto śpi pod ziemią i na gałęziach.

Podeksycytowany, siedziałem pod liśćmi rabarbaru; mój nos drgał, oczy rejestrowały każdy najdrobniejszy ruch. Mojej uwadze nie umknął nawet najmniejszy owad. Obserwowałem biedronkę wspinającą się po łodydze, odpierałem spojrzenie konika polnego, który przypatrywał mi się żółtymi oczami. Srebrzystofioletowe kwiaty traw tańczyły na wietrze i rozważałem przez chwilę, czy się nimi nie pobawić, ale miałem teraz inne sprawy na głowie. Ważne sprawy... dorosłego kota.

Tunel, który prowadził pod płotem ogrodu, z pewnością był użytkowany przez nocne stworzenia, których jeszcze nie znałem. Wąchałem kępkę sierści i odchody, ale nic mi te zapachy nie mówiły.

Czekałem, chcąc zapuścić się w głąb tunelu i zobaczyć świat po drugiej stronie, ale nagle coś zaczęło się dziać. Ziemia pod moimi łapami drżała rytmicznie, a kiedy zafascynowany zajrzałem do wlotu tunelu, zobaczyłem cztery ogromne, twarde i okrągłe kopyta, które stąpały po drugiej stronie, zacinając mi widok. Potem usłyszałem prychnięcie i żółte zęby wyrwały kępę trawy rosnącej przy ogrodzeniu.

Sierść zjeżyła mi się ze strachu, ogon stanął sztywno. Czułem się duży jak dwa koty. Najwyraźniej ten pożerający trawę olbrzym nie miał pojęcia, że tuż pod jego nosem siedzi czarny kociak.

Odważyłem się wejść do dziury. Stąpałem na paluszkach, a moje najeżone

futerko sprawiało, że tunel był jeszcze ciaśniejszy. Czy ja, który spałem między łapami lwa, powinienem aż tak się bać tego nieznanego zwierzęcia? Wyciągnąłem szyję i wyjrzałem na zewnątrz. Zielona łąka ciągnęła się aż do porośniętych drzewami wzgórz. W trawie kołysały się żółte kwiaty, a po mojej prawej był lśniący kasztanowy zad majtający długim ogonem.

Koń musiał mnie wyczuć, bo odwrócił się, parszcząc, z nisko zwieszoną głową. Byłem najodważniejszym kociakiem w historii. Przygotowany na szybki odwrót, siedziałem tam, nawiązując kontakt wzrokowy. Błyszczące brązowe oczy zwierzęcia przyglądały mi się z życzliwym zainteresowaniem. Jego energia była żeńska.

Dobrze to rozegraj, Timba, pomyślałem i wysłałem klaczy telepatyczną wiadomość.

– Jestem nowym kotem w tym domu. Kotem Angie. – Byłem dumny z tego statusu. Kot Angie!

Na klaczy nie wywarło to wrażenia. Wypuszczając z nozdrzy gorący podmuch powietrza, który zmierzwił mi futerko, odpowiedziała:

– Jestem ulubioną klaczą Angie. Postaraj się nie wejść pod moje kopyta.

Zaczęła się oddalać, muskając nosem trawę. Nagle zatrzymała się i spojrzała na mnie.

– Zdajesz sobie sprawę, że Angie jest ziemskim aniołem, prawda? – powiedziała. – A ziemskie anioły zawsze biorą na swoje barki więcej, niż są w stanie udźwignąć.

Patrzyłem, jak szła niespiesznie w stronę grupy mniejszych koni. Byłem szczęściarzem. Ziemski anioł, Duch Lwa, a teraz jeszcze uprzejma klacz. Musiałem być kimś naprawdę wyjątkowym.

Przyjemnie było wypoczywać na skraju łąki w łagodnych promieniach popołudniowego słońca. Musiałem pozostać absolutnie nieruchomo, jak figurka egipskiego kota, bo czułem, że zaraz zdarzy się cud, który połączy mnie z Vatiem.

Bezruch. Czekanie. I nagle powietrze nad łąką zaiskrzyło od milionów mikroskopijnych pajęczków, a każdy z nich siedział na cieniuteńkiej nici, będąc u progu magicznej podróży. Srebrna sieć ozdabiała trawę, słońce utworzyło złotą drogę przez pola.

Nie byłem pewien, co to znaczy, ale Vati by wiedział. Vati był jak druga połówka mojej świadomości. Gdzieś tam on też mógł patrzeć na migoczącą w słońcu pajęczynę. Vati by wiedział, którędy biegną tajemne drogi i jak je znaleźć w zachodzącym słońcu. Umiałby wyczuć energię pod łapkami i wykorzystać ją, byśmy znów byli razem.

6. Kot Angie



To tylko na jedną noc. Obiecuję – powiedziała Angie, głaszcząc mnie opiekuńczo, kiedy leżałem obok niej na okazałej poduszce. Wtuliłem się w zagłębienie jej szyi, moje małe łapki były ukryte w jej pachnących włosach.

– Wiesz, że nie lubię kotów w łóżku – zaprotestował Graham, który siedział, czytając grubą książkę w czarnej skórzanej oprawie. Kartki ze złożonymi brzegami szeleściły kuszaco, kiedy je odwracał. Zauważył, że się przyglądam, i odskoczyłem nerwowo, z nadzieją, że nie zacznie „śpiewać”.

– Ale Timba jest tylko biednym, porzuconym dzieckiem. Cmok! – Angie dała mi jeden ze swoich buziaków.

Graham zmarszczył czoło i poprawił okulary na nosie.

– Nie pozwól mu wczepiać się pazurami w pościel.

– Nie będzie. Będzie idealnym kotkiem! – powiedziała Angie i dostałem kolejnego buziaka.

Czułem się ważny i dopieszczony, miałem pełny brzusek; zasnąłem.

Kiedy poranne słońce wznosiło się nad lasem, siedziałem w oknie i myślałem intensywnie o Vati.

– Odezwij się do mnie – prosiłem. – Gdzie jesteś, Vati? – Przywoływałem w pamięci jego melancholijny pyszczek z białą plamką na nosie.

Złocista nici błysnęła w słońcu. W nocy pająk spuścił się z dachu, rozciągając swoją pajęczynę coraz dalej i dalej, aż dotarł do liścia jabłunki, na którym przycupnął. Pajęcza nici lśniła w świetle poranka uświadomiła mi, jak odnaleźć Vatiego.

Wysłałem mu złotą nici miłości i czekałem, patrząc na wschodzące słońce... Jego oczy wpatrywały się w moje zza pól zamieszkiwanych przez borsuki. Nie był daleko... ale jego pyszczek przesłaniały kraty. Vati był w klatce. Nie był wolny jak ja. Czułem jego tęsknotę. Znajdę cię, przyrzekłem. Znów będziemy razem.

Byłem tak bardzo skupiony, że nie zauważyłem, jak podeszła Angie, dzieląc ze mną wschód słońca. Musiała się zorientować, że jestem w transie, którego nie można zakłócać... no, chyba żeby chodziło o jedzenie!

Poszliśmy do kuchni i zauważyłem, że Angie ma na sobie starą koszulę, dżinsy i długie brązowe buty. Rozrabiając mleko dla kociąt, mówiła do mnie:

– Jestem rannym ptaszkiem... jak ty, Timba! Muszę wcześniej wstawać, żeby pomagać Laurze z koźmi, królikami i kurczakami. Potem zjadam tost, piję kawę, biorę prysznic i jadę do pracy. Ty zostaniesz tu z Grahamem, gdy będę w szkole, a po południu, kiedy Graham jedzie do teatru, będziesz sam.

Chłepotałem mleko, a ona krzątała się po kuchni, podlewając rośliny i wykładając na stół srebrne łyżki i lśniące talerze. Potem otworzyła drzwi na oścież i wyszła do mokrego od rosy ogrodu. Stała w słońcu, unosząc ramiona i twarz ku niebu.

Przyszło mi do głowy, że przez otwarte drzwi mogą dostać się do domu jakieś nocne stworzenia chętne na moje mleko, więc dopiłem je szybko i zawlokłem mój gruby brzusek na próg. Przekonałem się, że to genialne miejsce, by się myć i mieć wszystko na oku. Prawdziwy punkt graniczny.

Uczyłem się uśmiechać. Kiedy Angie odwróciła się do mnie i powiedziała czule: „Timba!” – zauważyłem, że jej egipskie oczy błyszczą. Z mojego powodu! Więc podniosłem ogon i próbowałem się uśmiechnąć, przechylając łepkę z boku na bok, by moje oczy migotały w słońcu.

– Jesteś NAJLEPSZYM małym kotkiem we wszechświecie – powiedziała, podnosząc mnie delikatnie. – Wszechświat nas ze sobą połączył, nie sądzisz, Timba?

Na końcu ogrodowej alejki znajdowała się furtka prowadząca na podjazd, gdzie obok samochodu Angie stała lśniąca czarna limuzyna. Angie zabrała mnie tam w niedzielne popołudnie.

– Postaraj się nie zadrapać ukochanego volvo Grahama – szepnęła. – On lubi, jak wszystko jest nieskazitelne!

Pokazała mi cichą uliczkę za podjazdem.

– Łączy się z główną drogą – wyjaśniła. – Nie chodź tam, Timba, ale możesz chodzić w drugą stronę, do lasu.

Rozglądałem się, świadomy, że Angie nie wie, ile z tego wszystkiego rozumiem. Chciałem jej powiedzieć o Vatim, ale ludzie w większości zapomnieli, jak używać telepatii.

Nagle Angie się spięła.

– Kogo tam licho niesie? No, nie... Skąd ona wiedziała, gdzie mieszkam?

Na podjazd skręcił samochód i zatrzymał się z piskiem opon. Poczulem zapach rozgrzanej gumy. Z auta wysiadła Janine ubrana w czarne legginsy i lśniąca czarną kurtkę. Pomyślałem, że wygląda jak chrząszcz.

– Nie bój się, Timba – szepnęła Angie, kładąc na mnie rękę w ochronnym geście. – Mrucz sobie dalej. Nie dostanie cię z powrotem.

Zapanowała nad gniewem i odezwała się uprzejmie do Janine:

– Witaj! Nie spodziewałam się tu ciebie.
– Tak, wiem... wybacz... ale koniecznie muszę z tobą porozmawiać. – Janine patrzyła na Angie z determinacją. – I trafiła mi się podwózka. To jest Dave... – Wskazała mężczyznę w samochodzie.

Skinął głową bez uśmiechu, a potem włączył muzykę i rozsiadł się, wystawiając łokieć przez okno.

– Masz dziesięć minut, skarbie. – Poklepał masywny metalowy zegarek na swoim przegubie. – Zaczekam w samochodzie.

Angie zaprowadziła Janine do ławki przy ogrodowej sadzawce.

– Timba jest uroczy – powiedziała.

– Nie przyjechałam, żeby go zabrać – zastrzegła Janine. – Chodzi o Leroya. Muszę... muszę ci coś wyjaśnić.

– Słucham – powiedziała Angie, a jej oczy były pełne miłości.

Janine zdawała się zmagać sama ze sobą. Krążyłem w tę i z powrotem, z jednych kolan na drugie, usiłując zdecydować, która z tych kobiet potrzebuje mnie bardziej. W końcu usadowiłem się przy sercu Janine, która zaczęła płakać.

– Weź głęboki oddech i po prostu mi powiedz – odezwała się łagodnie Angie.

– Chodzi o Leroya – załkała Janine. – Jestem prawie zdecydowana, żeby go oddać. Nie radzę sobie z nim. Kocham go. Naprawdę. Ale im jest starszy, tym jest gorzej. Ciągle tylko walczymy ze sobą od rana do wieczora. Jestem wykończona... i... właściwie to boję się własnego syna.

– To takie smutne, ze względu na Leroya też – powiedziała Angie.

– Jestem pod opieką lekarza – ciągnęła Janine. – Mam migreny i depresję, nie mogę spać, bo Leroy wstaje w nocy i gryzmoli po ścianach albo włącza telewizor i ogląda rzeczy, których nie powinien oglądać. Nie panuję nad nim. Nie wiem, co jeszcze zrobi... Do tego stale go prześladowają i zawsze chodzi o to, że nie ma nieskazitelnie czystych ubrań ani porządnych adidasów. A mnie na to nie stać, Angie. Mam długi... I nie miałam nikogo, kto by mi pomógł... dopóki nie poznałam Dave'a. Stracę dom, jeśli nadal nie będę płacić, a Dave chce, żebym z nim zamieszkała, ale nie weźmie Leroya. Mam naprawdę trudną decyzję do podjęcia.

– Rzeczywiście, sytuacja jest trudna – przyznała Angie ze smutkiem. – Współczuję.

– Ale przyjechałam też po to, żeby cię ostrzec – Janine mówiła teraz trochę spokojniej. – Leroy wściekł się z powodu utraty Timby. Zdemolował swój pokój. Wie, gdzie mieszkasz, i grozi, że przyjdzie tu i zabierze Timbę... Jestem pewna, że to zrobi.

Poczułem przenikające mnie zimno, kiedy zrozumiałem, o czym mówi Janine. Leroy zamierza mnie odebrać mojej kochanej Angie.

– Musi być jakieś lepsze wyjście z tej sytuacji – powiedziała w zamyśleniu Angie.

– Dla takich jak ja nie ma.

Rozmowę przerwało pojawienie się Grahama. Nadchodził sztywnym krokiem, ze zmarszczonymi brwiami i rozwianymi włosami.

– Mógłby pan ściszyć ten jazgot? – powiedział do zaskoczonego Dave’a. – Jestem profesjonalnym śpiewakiem operowym i przeszkadza mi to w próbie.

Muzyka ucichła, a Dave spojrzał na Grahama z szerokim uśmiechem.

– Wyluzuj, kolego. To dobra muza – powiedział i zawołał do Janine: – Chodź, skarbie. Zanim mnie stąd wyrzucą.

Janine popędziła do samochodu.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam o Leroyu – rzuciła szybko do Angie. – I uważaj na Timbę. Niech niebiosa mają go w opiece, jeśli Leroy dostanie go w swoje ręce.

Przerażające słowa. Znow czułem się zagrożony. Dlaczego nie chcieli pozwolić, żebym po prostu rósł sobie w spokoju?

W poniedziałkowy poranek Angie przypomniała mi, że musi iść do pracy. Ja miałem zostać i spędzić większość dnia z Grahamem.

– Jutro pokażę ci konie – obiecała. – Dzisiaj trzymaj się blisko domu. Obejrzyj ogród. Musisz przywyknąć do tego miejsca. To teraz twój dom.

Posadziła mnie na progu i pobiegła. Słyszałem dziwne dźwięki, którymi witały się z nią podniecone konie, głośno uderzając kopytami o ziemię. Angie mówiła coś do nich i się śmiała. Była jak płomień obdarzający światłem i ciepłem wszystkie żywe istoty.

Siedziałem na nasłonecznionym progu, dopóki nie wróciła, zaczerwieniona na twarzy i radosna. Szybko przebrała się w zwiewną spódnicę i eleganckie buty. Podniosła mnie, pocałowała i wsadziła do okrągłego koszyka z miękką czerwoną poduszką.

– Śpij, malutki. Wrócę później... Powiem Leroyowi, jak dobrze sobie radzisz. Cmok!

Nie zamierzałem spać, a wzmianka o Leroyu zdenerwowała mnie. Co, jeśli naprawdę po mnie przyjdzie, tak jak groził? Ta myśl wygnała mnie z powrotem do ogrodu w poszukiwaniu kryjówek. Jeżeli Leroy się zjawi, będę przygotowany.

Czułem się bardzo niepewnie. Bez Angie to było miejsce pełne zagrożeń. Graham mógł zacząć „śpiewać”. Konie mogły wtargnąć do ogrodu. Mógł się pojawić Leroy. W górze krążyły dwa myszołowy, wydając z siebie dzikie krzyki. Co, jeśli mnie zaatakują?

Przekradłem się przez trawnik i ukryłem we wgłębieniu pod ceglana altaną, gdzie było dość ciemno, bo gęste listowie przepuszczało tylko nieliczne promienie słońca. Miałem nadzieję, że to dobra kryjówka. Czy aby na pewno? Dostrzegłem

ogromną dziurę w ziemi. Obwąchałem ją i, jak można się było spodziewać, moje futerko zaczęło się jeżyć. W głębi ciemnej dziury spało jakieś zwierzę. Wycofałem się z największą ostrożnością i wróciłem biegiem na próg. Uf!

Nie chciałem dłużej być kociakiem. Chciałem być kotem. Jeść, pomyślałem i poszedłem do mojej miski, w której Angie zostawiła tuńczyka. Jadłem i jadłem, a gdy skończyłem, poszedłem z powrotem na próg. Dotarłem tam w samą porę, by zobaczyć parę pokrytych łuskami nóg i dwa wielkie niebieskoszare skrzydła zniżające się z nieba. Ale olbrzym. Ptaki chyba nie mogą być aż tak duże?

Włączył się mój instynkt i znieruchomiałem. Tylko moje futerko się zjeżyło... znowu. Bezruch zapewniał bezpieczeństwo. Nawet najmniejsze drgnienie ucha czy mrugnięcie okiem mogło zdradzić temu ptasiemu potworowi, że jestem żywy i jadalny. Jakże żałowałem, że nie zostałem na tej rozkosznej czerwonej poduszce. Chciałem, żeby była tu Angie. I Vati. Albo nawet Leroy!

Wielki ptak nie zwrócił na mnie uwagi, tylko rozprostował swoją węzowatą szyję, stając na jednej nodze na skraju sadzawki. Wpatrywał się w wodę, a ja wyobrażałem sobie, co jego długi żółty dziób mógłby zrobić kociakowi.

Tymczasem w głębi domu Graham zaczął „śpiewać”.

– Aa, aa, aa, aa, aa, aa, aa, AA!

Tego było dla mnie za wiele.

Tym razem instynkt sprawił, że wystrzeliłem pod jabłonkę. Biegłem w takiej panice, że aż wywinąłem kozła po drodze. Moje pazury były genialne. Z łatwością wczepiły się w twardą korę pnia. Podekscytowany tym, że się wspinam, odpychałem się tylnymi łapami, pnąc się coraz wyżej i wyżej, aż dotarłem do płaskiego miejsca między dwoma konarami. Zatrzymałem się tam, z walącym sercem i napuszczonym ogonem, i spojrzałem z góry na wyniosłego niebieskoszarego ptaka. Poruszył się, a potem rozłożył szeroko skrzydła, poderwał się bez wysiłku i odleciał w stronę lasu.

Dumny ze swojego osiągnięcia, postanowiłem wykorzystać je maksymalnie i zostać na jabłonce. Byłem zachwycony tym, że tak dobrze potrafię się wspinać. Spojrzałem w górę na płataninę omszałych gałęzi. A może by tak wspiąć się wyżej? Wielki ptak odleciał, w ogrodzie panował spokój, „śpiew” Grahama tłumili ściany domu.

Wyżej gałęzie były cieńsze i miałem więcej opcji do wyboru. W którą stronę pójść? Nie miałem doświadczenia, więc nie wybierałem właściwie; pragnienie, by jak najszybciej dotrzeć do nieba, sprawiło, że wkrótce wspinaczka stała się trudna. Na drodze wyrastały mi pędy z liśćmi i skupiska zielonych jabłek i teraz kroczyłem po cienkich gałązkach niepewnie, z wysiłkiem utrzymując równowagę.

Wspinaczka do nieba już nie wydawała się dobrym pomysłem. Niebo straciło niebieski kolor, ciężkie chmury przesłoniły słońce. Chłodny wiatr mierzwił moje futerko i kołysał niepokojąco gałęzią. Spojrzałem w dół na trawnik; byłem

zbyt wysoko, by skoczyć. Potem odkryłem, że nie jestem w stanie się odwrócić.

Sytuacji nie ułatwiał mały zadziorny strzyżyk, skaczący wprawnie po gałązkach. Ogon miał zadarty, a z jego dzioba wydobywały się okropne przekleństwa i groźby. Pytanie, jak dostać się na dół, stało się niemal sprawą życia lub śmierci. Nawet gdyby jakimś cudem udało mi się odwrócić, nadal musiałbym zejść po stromym pniu.

Jessica pokazałaby mi, jak to zrobić, albo z Vatim wykombinowalibyśmy to razem. Samotność zawisała nade mną jak jedna z tych ciemnych chmur na niebie. Wielkie krople deszczu spadały coraz szybciej i uderzały coraz mocniej. Wkrótce byłem mokry i przemarznięty.

Znalazłem się w poważnych tarapatkach.

Miauczenie osamotnionego kociaka jest naprawdę GŁOŚNE. Moje wypełniło ogród i okoliczne pola, ale nikt nie przyszedł. Musiałem siedzieć tam długie godziny, przemoknięty i przerażony. Czasami ktoś przechodzący drogą przystawał przy furtce i nasłuchiwał, lecz gęste listowie czyniło mnie niewidocznym.

Deszcz ustał, ale z liści nadal kapała na mnie woda, a drzewo trzęsło się na wietrze. Pojawił się Graham. Już nie „śpiewał”. Wołał mnie!

– Timba! Timba!

Wyniósł na zewnątrz moją miskę, uderzając w nią łyżką. W misce było jedzenie... roztaczające przepyszny mięsny zapach. Zawodziłem jak oszalały.

– Gdzie jesteś? – Graham odstawił miskę i ruszył przez mokrą trawę. – Chyba nie siedzisz na drzewie? – Spojrzał na jabłonkę i nasze oczy się spotkały. Magiczna chwila, którą zepsuł, mówiąc: – Głupiutki kotek.

Odszedł, by zaraz wrócić z metalową drabiną.

– Nie martw się, mały. Stary dobry Graham cię uratuje. – Wspiął się na drabinę i wyciągnął do mnie rękę. – Chodź, maluchu.

Udało mi się pokonać krótki dystans dzielący mnie od jego dłoni, która była przyjemnie ciepła. Ludzie bywają naprawdę wspaniali.

– Cały przemokłeś. Chodź, chodź do Grahama. – Trzymając mnie pewnie na swoim szerokim ramieniu, zszedł na ziemię. Wyjął z kieszeni białą płócienną chusteczkę do nosa i wytarł mnie. Wpatrywaliśmy się nawzajem w swoje oczy. – Obiecuję nie śpiewać – powiedział, a ja wyciągnąłem się, by dotknąć nosem jego nosa, okazując mu w ten sposób wdzięczność.

– Kiedy dorosnę – powiedziałem, przekazując mu to telepatycznie – będę twoim najlepszym kumplem.

– Och, jaki słodki kociak. Jest taki puszysty.

– Masz, potrzyj go. – Angie podała mi ostrożnie Laurze, którą polubiłem od pierwszej chwili. Pachniała silnie koźmi, a jej brązowe oczy były radosne i przyjazne. Wpełzłem pod jej kurtkę i słuchałem bicia jej serca, podczas

gdy Angie wyjaśniała mi: – Laura jest naszą sąsiadką i właścicielką tych wszystkich ślicznych koni i kucyków. Niektóre z nich zostały przez nią ocalone i mieszkają na łące za ogrodem.

– Mam nadzieję, że dzieciaki będą mogły zobaczyć Timbę – powiedziała Laura, a ja wyszedłem spod jej kurtki i dotknęliśmy się nosami.

– O, tak, zobaczą – zapewniła Angie. – I zaprosiłam Leroya na nasz sobotni klub. Nie masz nic przeciwko, co, Laura? Hipoterapia dobrze by mu zrobiła.

Miauknąłem zaniepokojony na wzmiankę o Leroyu i Angie natychmiast wzięła mnie na ręce.

– Leroy BARDZO źle traktował Timbę, ale nie robił tego specjalnie, tylko z powodu niewiedzy. Mam nadzieję, że Timba mu wybaczył... Wybaczyłeś mu, Timba?

Miauknąłem na tak, co było nową umiejętnością, którą rozwijałem. Umiałem teraz miauczeć na tak, pomrukiwać, miauczeć, by zwrócić na siebie uwagę, i wydawać urywane piski, których używałem tylko w kontaktach z ludźmi. Były jeszcze przeciągłe miauknięcia, przydatne w sytuacjach kryzysowych, i wzmocnione przeciągłe miauknięcia, wyłącznie na bardzo wyjątkowe okazje.

– Będziesz miły dla Leroya, prawda, Timba? – zapytała Angie, na co odpowiedziałem milczącym spojrzeniem. Musiałem się nad tym zastanowić. Bo co, jeśli Leroy będzie próbował mnie porwać?

Do końca tygodnia moja pewność siebie znacznie wzrosła. Poznałem konie, króliki, które miały wybiegi i mieszkały w klatkach, i kurczaki. Nie zwracały na mnie większej uwagi, za to Angie i Graham wprost przeciwnie. Graham starał się przyzwyczaić mnie do swojego „śpiewu”, nucąc melodie, kiedy leżałem wyciągnięty na jego piersi. Nawet podobał mi się ten jego wibrujący głos i uznałem, że to jest takie jego mruczenie.

Pewnego wieczoru zdałem sobie sprawę, że między nim i Angie nie dzieje się najlepiej.

Angie przygotowała wymyślne danie, udekorowała stół kwiatami i świeczkami, a potem pognęła na górę, skąd wróciła w obcisłej sukience, błyszczącej jak nocne niebo. Uważałem, że wygląda przepięknie.

Ale Graham nie przyjechał. Angie krążyła między kuchnią a oknem od frontu, wypatrując jego samochodu. Coraz bardziej podenerwowana, to wkładała jedzenie do piekarnika, to je wyjmowała.

– CZEMU ma wyłączony telefon? Co on robi? – wybuchła, rzucając rękawicami przez kuchnię. – Jedzenie już się do niczego NIE NADAJE!

Siedziałem na czerwonej poduszce w swoim koszyku, zmęczony po wieczornej zabawie, ale nie mogłem pójść spać, kiedy Angie tak się denerwowała.

Było już całkiem ciemno, a świece na stole wypaliły się do reszty, kiedy samochód Grahama wreszcie wjechał na podjazd.

Angie czekała na niego w drzwiach. Miała zaczerwienioną ze złości twarz, a jej piersi i podbródek były wysunięte wyzywająco.

– Gdzie BYŁEŚ? – zapytała.

– Wybacz, skarbie, trochę się spóźniłem – odpowiedział wymijająco Graham.

– Trochę? Jest dziesiąta, a nasza kolacja nadaje się do wyrzucenia. Była gotowa trzy godziny temu. Dlaczego miałeś wyłączony telefon?

– Uspokój się i daj mi wejść do domu. – Graham uniósł dłoń w pokojowym geście.

– Nie mów mi, żebym się uspokoiła! – Aura Angie aż iskrzyła. Wyrzuciła w górę ręce. – Nie tylko mamy dziś rocznicę, ale wiedziałeś, że przygotowuję uroczystą kolację. Włożyłam w to dużo wysiłku, Graham. Twoje zachowanie było bardzo niegrzeczne i obraża mnie... i... – Wydała gniewny pomruk. – To obraża wobec WSZECHŚWIATA tak marnować jedzenie i mój czas.

Graham westchnął.

– Tylko nie zaczynaj ze wszechświatem, Angie. Jestem bardzo zmęczony.

– Zmęczony! A co ja mam powiedzieć? Jestem naprawdę WŚCIEKŁA, Graham. Jak śmiesz mnie tak traktować?

Wyminął ją i rzucił płaszcz na oparcie krzesła.

– Zaczynam żałować, że w ogóle wróciłem do domu.

Angie zawyła z frustracji, zaciskając dłonie w pięści.

– Mam dość – powiedziała wysokim, piskliwym głosem. – Twoja zmarnowana kolacja jest w piekarniku. Sam sobie weź. Ja idę do łóżka. DOBRANOC.

– Gdybyś tylko przestała się wściekać... – zaczął Graham, ale Angie była już w połowie schodów.

Po chwili usłyszał trzaśnięcie drzwi sypialni i jej krzyk:

– Dlaczego wszechświat mi to robi?

Zrobiło się cicho i Graham podszedł do swojego koszyka.

– Cześć, Timba – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Obawiam się, że jestem niegrzecznym chłopcem.

7. Vati



Co jest, Timba? – Angie wyjęła mnie z lodówki i próbowała głaskać moje zjeżone futerko. – Ale masz wielkie oczy. Czego się tak boisz?

Uczepiony jej ramienia patrzyłem przez okno. Po ogrodzie biegał węszący pies i nie był to jakiś tam pies. Była to Harriet, suka, która porwała moje rodzeństwo.

Kiedy ją zauważyłem, rzuciłem się do panicznej ucieczki. Dałem susa do domu, przewracając się na wycieracze. Siła upadku była tak duża, że palił mnie podbródek. Sierść na grzbiecie i ogonie najeżyła mi się, a ja miałem wrażenie, jakby w moje ciało wbijały się małe igielki. Nie było to przyjemne uczucie.

Spojrzenie Angie podążyło za moim.

– Ups! – powiedziała. – Pies w ogrodzie. Ktoś nie zamknął furtki... Pewnie ja. Zostań tu, Timba. To tylko stara Harriet.

Posadziła mnie na parapecie, gdzie pozostałem w przyczajonej pozie. Co Angie zamierza zrobić? Ćwiczyłem burczenie, na wypadek gdyby postanowiła przyprowadzić Harriet do domu. Nie spuszczałem z niej wzroku.

– Cześć, SKARBIE – powiedziała... do psa. Nazwała psa „skarbem”!

Harriet miała na tyle przyzwoitości, by przybrać skruszony wyraz pyska; wyraźnie wiedziała, że nie powinno jej tutaj być.

– Gdzie twoja mamusia? – zapytała Angie, łapiąc sukę za obrozę.

W tej samej chwili w furtce pojawiła się starsza kobieta w śmiesznej czapce.

– Tu jesteś. Niedobry pies! Przepraszam, Angie – powiedziała.

– Nie ma za co, Fredo – odparła uprzejmie Angie. – To moja wina, bo zostawiłam otwartą furtkę. Ty nie jesteś niczemu winna, prawda, Harriet? Kochana dziewczynka. Och, tak bym chciała mieć psa, ale Graham ich nie cierpi.

– Ale widzę, że masz kociaka. Siedzi w oknie – zauważyła Freda. – Śliczny maluch! Skąd go masz?

– To długa historia – odpowiedziała Angie.

Kobiety stały w ogrodzie, z Harriet na smyczy (UF!). Niebezpieczeństwo minęło i nadszedł czas, żebym umył i wygładził swoje irytujące futerko. Nie słyszałem wiele z ich rozmowy, ale obie miały iskrzące aury. Wpatrywały się w siebie poważnie i wymachiwały rękami.

– To gdzie Leroy znalazł tego kociaka?

– W trawie na Frog Lane, w piątek.

– W takim razie to musi być trzeci kociak – orzekła Freda. – Harriet pobiegła tam trzeci raz i nie było jej całe wieki, ale wróciła z niczym.

– Co się stało z tamtą dwójką?

Podeszły do furki i oparły się o nią. Nadal rozmawiały z przejęciem, tylko teraz ciszej. Nagle Angie wrzasnęła:

– O, Boże, Fredo... tak było pisane! Jadę tam natychmiast. Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję!

Freda i Harriet poszły, a Angie wpadła do kuchni i chwyciła kluczyki do samochodu i torebkę.

– Niedługo wrócę, Timba. Ty tu zostań. Możliwe... MOŻLIWE, że przywiozę ci niespodziankę.

Zamknęła drzwi na zamek i patrzyłem zaintrygowany, jak jej samochód odjeżdża, szybciej niż zazwyczaj. Angie nieczęsto wychodziła gdzieś po pracy. Na ogół przebierała się w dżinsy i T-shirt i bawiła się ze mną albo nosiła mnie ze sobą. To był czas tylko dla nas przed powrotem Grahama do domu.

Poszedłem do swojej miski. Była pusta. Angie zapomniała mnie nakarmić! Gdzie ona mogła pojechać?

Duch Lwa przychodził do mnie o różnych porach i w różnych miejscach, zawsze kiedy byłem sam. Tego letniego popołudnia stawilem czoło kocim drzwiczkom i wyszedłem na słońce. Z tyłu domu w wysokiej trawie znajdował się krąg kamieni. Bardzo tajemnicze miejsce. Usiadłem tam i rozkoszując się ciepłem krystalicznych kamieni odbijających słońce, wsłuchiwałem się w brzęczenie owadów. Siedziałem nieruchomo i nasłuchiwałem, jakbym czekał na objawienie.

Duch Lwa pojawił się znienacka. Jego łapy wyrosły po moich obu stronach bezgłośnie, jak dwa słupy światła. Czułem, jak ustawia się nade mną z największą ostrożnością. Potem zobaczyłem jego falującą białą grzywę, miękki pysk i życzliwe oczy. Czułem się całkiem bezpiecznie. Byłem pogrążony w transie.

Słowa popłynęły powoli z jego pradawnego umysłu. Tym razem zwracał się do mnie po imieniu.

– Timba, Timba... – mówił, a ja czułem w środku wibracje, jak wtedy, gdy Graham nucił. – Zaufaj sile, które została ci dana. Nie lękaj się. Pamiętaj, kim jesteś, Timba... Przywódcą, najlepszym kociakiem.

Słuchałem, puszczając się z dumy.

– To jeszcze nie koniec z Leroyem – powiedział Duch Lwa. – Ten chłopiec

urodził się, by pomagać białym lwom. Nie chowaj się przed nim. On cię potrzebuje, Timba. Zawsze podchodź do niego. Zawsze witaj go z podniesionym ogonem.

– Ale ja nie chcę być kotem Leroya – odparłem. – Chcę zostać z Angie.

– Nie będziesz kotem Leroya ani kotem Angie – wyszeptał Duch Lwa. – Jesteś panem samego siebie.

Nie powiedział nic więcej, tylko trzymał mnie w świetlistym kokonie między swoimi potężnymi łapami. Mruczeliśmy razem i zauważyłem, że jego mruczenie jest niesamowite, bardzo różne od mojego. Mimo to byłem zadowolony ze swojego... Było głośne jak na kociaka i umiałem już je wykorzystywać, by dodawać otuchy Angie i Grahamowi. Czy kiedykolwiek mruczałem dla Leroya? Nie mogłem sobie przypomnieć. Czas, który z nim spędziłem, był pełen strachu i bólu. A to właśnie Leroy, bardziej niż ktokolwiek inny, potrzebował wsparcia mruczącego kota.

Spałem błogo, a gdy się obudziłem, słońce już zachodziło. Przez żywopłot zobaczyłem czerwien samochodu Angie wjeżdżającego na podjazd. Zawsze, kiedy wracała, konie cicho rżały, a kurczaki gdakały z nadzieją. Zwykle zaglądała do nich przed przyjściem do domu, ale tym razem ruszyła prosto do drzwi. Miała rozpromienioną twarz i... niosła transporter dla kota!

Podbiegłem do niej z podniesionym ogonem.

– Cześć, Timba, kochanie – powiedziała, uśmiechając się tajemniczo. Poszedłem za nią do domu. Zamknęła drzwi i delikatnie postawiła transporter na podłodze.

A potem stał się cud.

Najwspanialszy z cudów.

Angie otworzyła drzwiczki i z transportera wyszedł elegancki czarny kociak z białą plamką na nosie.

Mój brat Vati!

Angie odnalazła Vatiego i zabrała go do domu.

– O, nie, tylko nie jeszcze jeden, Angie! – powiedział Graham, kiedy zobaczył Vatiego przy mojej misce. – Ile jeszcze porzuconych zwierząt zamierzasz sprowadzić do domu?

– Tyle, ile jest w stanie pomieścić moje serce – odparła gniewnie. – Jeśli wszechświat daje mi prezent, to czy mogę odmówić? Jestem tu, żeby kochać... i to dotyczy również ciebie, mój ty przystojniaku.

Wspięła się na palce, objęła Grahama za szyję i zaczęła całować, a wtedy jego aura pojaśniała, zlewając się z jej. Otoczył ją rękami w pasie i przyciągnął do siebie, szepcząc w jej włosy czułe słowa. Angie ściągnęła kurtkę, odrzuciła ją na krzesło, a potem poluzowała mu krawat i rozpięła koszulę, cały czas wpatrując się w jego oczy.

Popędzili na górę, Angie chichocząc, Graham krok za nią, dudniąc wielkimi stopami o stopnie schodów. Choć drzwi sypialni zamknęły się z trzaskiem, dom rozbrzmiewał śmiechem Angie.

Vati i ja kontynuowaliśmy jedzenie.

Pomyślałem, że zjawił się w dobrym momencie, akurat wtedy, gdy dom przepełniała energia miłości. Jedząc, przyglądałem się bratu. Był mniejszy ode mnie, bardziej opływowy w swoim jedwabistym czarnym futerku. Jego ogon urósł i był zakrzywiony na końcu. Oczy stawały się limonkowo-zielone i kryły mnóstwo tajemnic. Wiedziałem, że może mnie wiele nauczyć, ale też wyczuwałem jego nerwowość. Potrzebował mojego przewodnictwa i odwagi, tak jak ja jego mądrości.

Vati był trochę wystraszony przebywaniem w nowym domu, więc pierwsze, co zrobiliśmy, to umyliśmy się nawzajem. Przyjemnie było ocierać się policzkami o jego policzki, lizać jego melancholijną mordkę, widzieć, jak zamyka ufnie oczy, kiedy to robię. Rewanżując mi się tym samym, badał wzrokiem kuchnię i nasłuchiwał odgłosów zmierzchu dochodzących z zewnątrz oraz skrzypienia, kapania i buczenia domu. Byłem ciekaw, co robi, kiedy usłyszy „śpiew” Grahama.

Zachęcałem Vatiego do wyjścia przez kocie drzwiczki, ale nie chciał. Próbowałem się z nim bawić, ale na to też nie miał ochoty. Ganiałem więc sam po pokoju, a Vati wdrapał się na sofę, gdzie siedział, bacznie mnie obserwując. Kiedy wreszcie usiadłem obok niego, wydawał się zadowolony, że ma mnie u swego boku. Dostroilem się do jego umysłu i wyczułem przygnębienie. Vati był smutny. Zapytałem dlaczego.

– Nikt nie chce czarnego kota – powiedział.

– Ja jestem czarny – odparłem. – A Leroy bardzo mnie chciał, Angie też.

– Ale ty jesteś puszysty. Mnie nikt nie chciał. Dzień za dniem siedziałem sam w klatce, coraz to nowi ludzie zaglądali do mnie i mówili, że mnie nie chcą. Aż do pojawienia się Angie. Ale ja jej nie znam i nie czuję, żebym do niej należał.

Usłyszałem siebie cytującego słowa Ducha Lwa:

– Jesteś panem samego siebie.

Vati wyglądał na zestresowanego i oszołomionego.

– I dlaczego mówi do mnie Vati? – zapytał. – Co to za imię?

– Zostaliśmy nazwani na cześć białych lwów z Timbavati – wyjaśniłem. – Angie ma ich zdjęcie. Vati to bardzo ważne imię.

Vati nie wydawał się przekonany. Sprawiał wrażenie zmęczonego, jego czarne wąsiki były opuszczone. Ułożył się w kącie sofy i poszedł spać. Byłem zawiedziony. Coś było nie tak z Vatim. Nie zjadł dużo, nie chciał wyjść na dwór ani się ze mną bawić. Rozpierała mnie energia, ale umościłem się obok niego, kładąc łapę na jego szczupłym ciele. Mruczałem, ale Vati milczał. Jego słodka mordka była spokojna i przez sen wyciągnął łapę, obejmując mnie za szyję. Tak

mnie to uszczęśliwiło, że nie ruszyłem się stamtąd i spaliśmy błogo, spleceni jak zawsze.

– Czy to nie urocze? – wykrzyknęła Angie na nasz widok. – Chodź zobaczyć, jakie słodkie kociaki, Graham.

Otworzyłem jedno oko i zobaczyłem, że robi nam zdjęcie komórką.

– Biedny mały Vati... jest wyczerpany – powiedziała, a ja przypomniałem sobie, jak spałem przez trzy dni u weterynarza. Byłem zmęczony fizycznie, psychicznie i duchowo. Może to samo było z Vatim.

Rano wydawało się, że wszystko z nim w porządku. Ale po śniadaniu poszedł prosto w kąt sofy, gdzie leżał z łapami podwiniętymi pod siebie. Angie pojechała do pracy, Graham przeszedł obok nas, kierując się do pokoju muzycznego. Przygotowywałem się na atak paniki Vatiego. Graham zaczął „śpiewać”. Dzisiaj był jeszcze głośniejszy niż zwykle i aż się wzdrygnąłem. Vati musiał to słyszeć, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Wydawało się, że jest myślami gdzieś indziej.

Nie odzywał się do mnie. Nie bawił się.

W końcu zszedł z sofy i skradał się w tę i z powrotem po podłodze, ruszając wąsikami. Uznałem to za bardzo dziwne zachowanie. Namówiłem go na wyjście do ogrodu, gdzie robił dokładnie to samo... skradał się po trawniku, przysiadając co jakiś czas, by wpatrywać się w ziemię i nasłuchiwać.

– Co ty robisz? – zapytałem, podchodząc do niego.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Vati syknął na mnie i pacnął gniewnie łapą. Nie chciał mnie! Zrobiłem drugie podejście i znowu oberwałem.

– Zostaw mnie w spokoju – warknął. – Rozpraszasz mnie. Muszę to robić.

Próbowałem zademonstrować swoje postępy we wspinaniu się na jabłonkę, ale tylko spadłem z hałasem na ziemię, a Vati nadal robił to, co dotychczas.

Dostrzegłszy cień szaroniebieskich skrzydeł, a potem wielkie ptaszysko podchodzące do lądowania, wiedziałem, że muszę ostrzec Vatiego. Była to czapla, tak powiedziała Angie. Popędziłem w stronę progu, pewien, że Vati pobiegnie za mną, ale nie zrobił tego. Czapla stała na brzegu sadzawki, z dziobem jak sztylet i bystryimi oczami obserwującymi otoczenie.

Nie mogłem uwierzyć w to, co robił Vati.

– Vati... NIE! – krzyczałem do niego w myślach, ale zignorował mnie, w dalszym ciągu zbliżając się do czapli... Z PODNIESIONYM OGONEM.

Robisz błąd, Vati, myślałem. Dopiero co odzyskałem brata i zaraz znów miałem go stracić. Oczyma wyobraźni widziałem, jak straszny żółty dziób chwytą Vatiego i unosi się z nim ku niebu.

Vati był spokojny. Usiadł obok czapli i przez długi czas oboje pozostawali w bezruchu. Vati tylko raz podniósł wzrok na czaplę, a ona spojrzała w dół na niego. Wyglądało to, jakby się do siebie uśmiechali. Potem znów się nie ruszali, aż

wreszcie Vati wychylił się do przodu, by zajrzeć do sadzawki. W tym samym momencie czapla dźgnęła wodę swoim długim dziobem. Trysnęła fontanna, skrząc się w słońcu, a czapla wzleciała ku niebu z pomarańczową rybą szamoczącą się w jej dziobie. Z ryby kapała woda, gdy ptak powoli odlatywał.

Vati odwrócił głowę i spojrzał na mnie, zadowolony z tego, co zrobił.

W wybuchu radości podbiegliśmy do siebie. Mruczeliśmy i Vati w końcu chciał się bawić. Wyginał grzbiet, odskakując na boki, i goniliśmy się nawzajem po całym ogrodzie. Vati był niesamowicie zwinny i piękny. Potrafił skakać i robić obroty, jednocześnie strojąc miny. Wdrapał się na jabłonkę i zaskoczył mnie, wykręcając się bez trudu i zeskakując zgrabnie na trawnik. Byłem z niego dumny.

Nigdy nie bawiłem się lepiej...

Zmęczeni naszymi dzikimi harcami usiedliśmy razem na nagrzanym słońcem progu.

– Czemu tak się skradałeś, Vati? – zapytałem.

– Nie wiesz? – odparł, przyglądając mi się badawczo. – Sprawdzałem, co się dzieje pod ziemią.

– Co masz na myśli?

Spojrzał na mnie z politowaniem.

– Chodź za mną – powiedział, zabierając mnie na wycieczkę po trawniku w swoim stylu. – Dokładnie w tym miejscu śpi borsuk – czuję jego energię. Jest głęboko pod ziemią, a wejście do jego domu znajduje się pod tamtą altaną. Jest samotny. Jego partnerkę zabił samochód. Kochał ją... Czy to nie smutne?

Odebrało mi mowę. Vati był tylko kociakiem, jak ja, a mimo to posiadał tak ogromną wiedzę. Im dłużej chodziłem za nim po trawniku, tym większy czułem do niego szacunek.

– Tu jest gniazdo mrówek – rzekł po chwili. – Mrówki skarżyły mi się, jak bardzo je frustruje, że za każdym razem, gdy próbują zbudować kopiec, zjawia się hałaśliwa kosiarka i go ścina.

Siedzieliśmy, obserwując biegające wokół mrówki. Jedna niosła jajo. Nigdy wcześniej ich nie zauważyłem.

– A tutaj, bardzo, bardzo głęboko, znacznie głębiej niż dom borsuka, przepływa podziemny strumień. Sprawia, że ziemia leciutko drży – ciągnął Vati. – Ale nie siadaj tu. Przebywanie w pobliżu podziemnych strumieni nie jest dobre dla kotów.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytałem zdumiony.

– Taki mam dar – odpowiedział Vati. Zajrzał głęboko w moją duszę. – Ty też to wiesz. Musisz tylko sobie przypomnieć, Timba. To pewne, bo kiedy siedziałem zamknięty w klatce, przesłałeś mi wiadomość jednym ze strumieni energetycznych.

Później tego dnia Vati chciał siedzieć na kolanach Angie. Trochę zazdrosny,

wypadłem na dwór, by w wieczornym słońcu spędzić swoje zwyczajowe szalone pół godziny. Ćwiczyłem sprint przez trawnik i nurkowanie w niskie krzaki rosnące wzdłuż ściany. Cienkie, giętke gałązki były idealne do zabawy. Podskakiwałem, łapałem gałązkę między łapy, ciągnąłem ją w dół i wypuszczałem, a ona sprężynowała, wracając na swoje miejsce. Spędziłem tak dużo czasu.

Potem spróbowałem znowu wspiąć się na jabłonkę, tym razem naśladowując Vatiego. W połowie drogi, skoncentrowany na tym, by się bezpiecznie obrócić, usłyszałem ochrypły szept:

– Cześć, Timba!

Zaskoczony wbiłem pazury głębiej w korę i znieruchomiałem, wypatrując, skąd dochodzi ten głos. Miauknąłem i rozległ się znowu.

– Timba!

Spojrzałem tam. Leroy siedział okrakiem na murze pod zwisającymi gałęziami. Białka jego oczu świeciły między ciemnymi liśćmi. Kopał adidasami w mur, w ręce trzymał otwartą torbę.

– Przyszedłem po ciebie, Timba – powiedział dziwnym szeptem. – Jesteś MOIM kociakiem.

8. Leroy



Zawsze witaj go z podniesionym ogonem.

Słowa Ducha Lwa rozbrzmiewały w mojej głowie, kiedy Leroy i ja wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem. Myślałem szybko, co robić. Vati mnie potrzebował. Chciałem zostać tutaj z Angie i Vatem, ale mój Duch Lwa chciał czegoś innego... czegoś kompletnie niedorzecznego. Nie chciałem... NIE chciałem być kotem Leroya McArthura!

Zaszła we mnie zmiana. Byłem teraz silny. Mogłem obrócić się w powietrzu jak Vati i biec naprawdę szybko. Popędziłem przez trawnik i dałem nura do domu przez kocie drzwiczki, które opadły z imponującym łoskotem. Jeść, pomyślałem, i zatrzymałem się w kuchni, by pochłonąć resztki zostawionej przez Vatiego papki z kurczakiem.

Próbowałem zapomnieć o Leroyu, ale nie mogłem. Aż dygotałem w środku.

Vati nadal siedział na kolanach Angie. Popatrzył na mnie przymkniętymi, rozanielonymi oczami. Angie spała z głową na różowej sztruksowej poduszce, z jedną ręką na gładkim grzbiecie Vatiego. Byli tacy zrelaksowani i spokojni, podczas gdy ja cały chodziłem ze zdenerwowania.

Leroy był w ogrodzie. Przyszedł po mnie. Co powinienem zrobić? Popełniłem już jeden błąd. Teraz zrobiłem coś jeszcze gorszego. Zwymiotowałem na sofę.

– Na litość boską, Timba! – Graham zamachnął się na mnie gazetą. – Uciekaj stąd! Na dwór!

To nie wchodziło w grę. Zamiast tego usiadłem na parapecie i udawałem, że się myję, a Graham, sapiąc i wzdychając, czyścił sofę papierem i środkiem dezynfekującym. Od tego zapachu rozboleła mnie głowa. Nie ruszałem się, liczyłem na to, że Graham zostawi mnie w spokoju, i tak się stało.

Angie i Vati nadal spali, a ja zostałem na parapecie, skąd miałem dobry widok na ogród za domem i końską łąkę. Mała zdeterminowana postać maszerowała przez łąkę ku nakrapianej szarej klaczce, która uniosła łeb i

przyglądała się jej z zainteresowaniem.

Wśród koni Leroy wydawał się taki mały i samotny. Klacz Angie, Poppy, potrzasała swoją kasztanową głową, jej ogon bujał się z boku na bok. Czułem jej niepokój, kiedy Leroy i szara klaczka zbliżali się do siebie.

W sobotnie poranki przypatrywałem się dzieciom, które przychodziły pomagać Angie i Laurze przy koniach. Najpierw całymi godzinami rozmawiały z końmi, szczotkowały je i zaprzyjaźniały się z nimi, a dopiero potem ich dosiadały. Nikt nigdy nie jeździł na szarej klaczce. Angie mówiła, że jest dzika.

Ale Leroy tego nie wiedział. Stał przy klaczce, chwycił się jej długiej grzywy i wdrapał na jej grzbiet. Przez chwilę uśmiech chłopca rozświetlał całą łąkę. Leroy dźgnął adidasami boki klaczki. Ta położyła uszy do tyłu i zaczęła wierzgać, jakby usiłowała go zrzucić. Potem pogalopowała z Leroyem uczepionym jej szyi. Zbliżając się do pokrzyw, wierzgnęła wściekle i Leroy wystrzelił w powietrze jak szmaciana lalka, lądując w krzakach, gdzie leżał bez ruchu.

Podniecenie udzieliło się pozostałym koniom, które również zaczęły galopować i wierzgać. Tętent ich kopyt obudził Angie.

– Co jest? – Szybko posadziła Vatiego na krześle i podeszła do okna. – Co się dzieje z końmi?

Przyglądała się im przez parę minut, ale nie mogła widzieć Leroya, który leżał w gęstych pokrzywach. Tylko ja wiedziałem, że tam jest.

– Och, tylko sobie biegają. – Angie usiadła i wzięła do ręki książkę.

Swego czasu nawiązałem więź z Leroyem. Teraz czułem, że jest w niebezpieczeństwie. Co powinienem zrobić? Próbowałem przekazać Angie telepatyczną wiadomość. Próbowałem miauczeć. Próbowałem wysłać jej obraz Leroya leżącego na ziemi. Ale nic do niej nie docierało.

Za to dotarło do Vatiego. Wskoczył na parapet, usiadł przy mnie i teraz obaj bacznie obserwowaliśmy łąkę. Leroy ciągle się nie poruszał.

Konie uspokoiły się i odeszły ze zwieszonymi łbami, skubiąc trawę.

Została tylko klacz Angie, Poppy, która wiedziała, co robić. Wpatrywała się w Leroya i w świetlisty kształt płynący w jej stronę. Widzieliśmy złocistoperłowy blask i skrzydła pulsujące energią. Anielica Leroya! Owinęła się wokół klaczy i jakoś nakłoniła ją, by się ruszyła. Poppy podążyła za anielicą w stronę Leroya; miała wygiętą w łuk szyję i strzygła uszami.

Gdy znalazła się przy nim, opuściła łeb i delikatnie szturchnęła go nosem.

– Nie chcecie podwieczorku, kotki? – zawołała z kuchni Angie, ale Vati i ja siedzieliśmy nieruchomo jak egipskie koty, którymi kiedyś byliśmy, z wyciągniętymi szyjami, sztywnymi wąsami i ogonami zawiniętymi u naszych boków. Wpatrywaliśmy się jak zahipnotyzowani w klacz, anielicę i leżącego bez życia chłopca.

Poppy uniosła łeb, odwracając się w stronę domu. Biła kopytami o ziemię i

rzała głośno. Jej przeraźliwe rżenie wkrótce ściągnęło Angie do okna. Poppy zobaczyła ją i znowu opuściła łeb, by trącić Leroya nosem. Potem obróciła się i jeszcze raz zarżała, wołając Angie.

– O Boże! Ktoś tam leży... To chyba dziecko! – Angie zachłusnęła się powietrzem i w tym samym momencie Graham zaczął „śpiewać”:

– Aa, aa, aa, aa, aa, aa, aa, AA.

Rozdrażniona Angie otworzyła szarpnięciem drzwi pokoju muzycznego.

– SKOŃCZ to cholerne śpiewanie, Graham, i chodź mi pomóc. Mamy problem!

Byłem zdumiony tym, jak podziałał na mnie widok Leroya leżącego na sofie. Zrobiłem, co kazał Duch Lwa: podszedłem do niego z podniesionym ogonem.

– O, jest Timba! – powiedziała Angie pocieszającym tonem. Siedziała przy pobliskim stoliku z telefonem w ręce. – Raczej nie odniósł groźnych obrażeń – powiedziała do telefonu – ale i tak powinien obejrzeć go lekarz albo ratownik medyczny.

– Timba! – Leroy uśmiechnął się pierwszy raz od wypadku, a jego oczy błyszczały.

Wskoczyłem na sofę i polizałem jego zimną twarz. Trząśł się, ściskając kurczowo miękki koc, którym okrył go Graham. Teraz Graham siedział na stołku blisko Leroya i patrzył na niego zatroskanym wzrokiem.

Wiedziałem dokładnie, co robić. Wyciągnąłem się na kościstej klatce piersiowej Leroya i ugniatałem go rytmicznie łapkami. Chciałem przekazać mu ciepło i siłę każdą częścią mojego ciała: moim puszystym brzuszkiem, moimi łapami, moim ogonem i co najważniejsze, moim mruzeniem. Gdy mruczałem, całe moje ciało wibrowało, jakbym miał w środku anielską orkiestrę.

– On mnie kocha – powiedział Leroy ochryłym szeptem, a jego oczy wypełniły się łzami. – Tęskniłeś za mną, Timba?

– Nie ma nic złego w płaczu – rzekł łagodnie Graham, a ja przypomniałem sobie, jak głośno płakał Leroy podczas tamtych długich strasznych godzin w jego domu. Teraz łzy płynęły bezgłośnie po jego drżących policzkach. Graham wyciągnął z kieszeni białą płócienną chusteczkę i podał Leroyowi. Ten jednak odsunął ją, mówiąc:

– Zabrudzę ją.

– Chusteczki do tego służą – odparł Graham, a ja zauważyłem, że jego aura jest jasna i błyszcząca. Vati wdrapał się na jego ramię i leżał tam, chłonąc kojącą atmosferę.

– Macie dwa kociaki – zauważył Leroy.

– To jest Vati.

– Vati! Brat Timby. Timba i Vati. – Uśmiechnął się znowu.

Ja w dalszym ciągu mruczałem, czując aprobatę Vatiego. Byłem

maksymalnie zaangażowany. Płynął przeze mnie strumień leczniczej energii. Nie było dla mnie tajemnicą, skąd się brał. Był połączony z siecią życia oplatającą całą Ziemię. Ja musiałem tylko wybrać nitkę ze srebrzysto-złotej pajęczyny i pozwolić energii przepłynąć przeze mnie. Łatwizna.

– Ratownicy medyczni są już w drodze – oznajmiła Angie, siadając na podłodze koło sofy. – Och, popatrz na Timbę! On cię leczy.

Leroy spojrzał nieśmiało na Angie.

– Chciałem tylko zobaczyć Timbę – powiedział. – Ale uciekł do domu, więc poszedłem zobaczyć konie.

– I co się stało?

– Wsiadłem na takiego szarego, żeby się przejechać. Jeździłem już kiedyś na koniu, na karuzeli, ale ten szary dostał szału i mnie zrzucił.

– To młoda klaczka. Jeszcze nikt na niej nie jeździł – wyjaśniła Angie. – Musiała być przerażona.

– Nie wiedziałem, proszę pani... Nie miałem pojęcia, że konie mogą się bać.

– Dlaczego?

– Bo są duże.

– Ja jestem duży i czasami się boję – powiedział Graham.

– Czego? – zapytał Leroy.

– Sów i duchów.

– Ja się niczego nie boję – oznajmił dumnie Leroy. – Tylko mojej mamy.

– No właśnie, a gdzie jest twoja mama? – spytała Angie. – Nie odbiera telefonu. Znasz numer jej komórki?

– Mama nie ma teraz komórki... Nie zapłaciła rachunku.

– Więc gdzie ona jest, Leroy?

Leroy wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Angie i Graham spojrzeli na siebie, porozumiewając się bez słów. Graham zmarszczył brwi. Pokręcił lekko głową i jego aura pociemniała. Zamykał się już w czarnej pieczarze, próbując ciągnąć za sobą Angie. Ale ona się nie dawała. Nic tak nie podsycalo jej zaangażowania, jak sceptycyzm i opór.

– Przyjechali ratownicy medyczni. – Angie ściągnęła usta, wyprostowała ramiona i poszła otworzyć drzwi.

Gdy po chwili do pokoju weszli dwaj ubrani na pomarańczowo mężczyźni, Graham wyniósł Vatiego i mnie, każdego trzymając w jednej ręce, do kuchni.

Wkrótce ratownicy odjechali i mogliśmy wrócić do pokoju. Leroy siedział na sofie, teraz już bardziej przypominając siebie.

– Odwiozę cię do domu – zaproponowała Angie.

– Nie – odparł, kręcąc głową.

– Nie? Dlaczego?

Leroy spojrział na nią smutnym wzrokiem.

– Mamy nie ma w domu.

– Więc gdzie jest?

– Nie wiem. – Znów wzruszył ramionami. – Zniknęła.

– Co? – Angie wyglądała na zaniepokojoną. – Od kiedy jej nie ma?

– Hm... Nie wiem... Chyba od tygodnia.

– Od TYGODNIA? Kto się tobą opiekuje, Leroy?

– Nikt. Miałem swój klucz... i pół chleba, i trochę płatków kukurydzianych.

Zapadło milczenie. Leroy wpatrywał się w podłogę, a kiedy wreszcie podniósł oczy, były jeszcze smutniejsze niż wcześniej.

– Nikomu nie mówiłem, proszę pani. Nie chcę iść do domu dziecka. Mogę zamieszkać z panią? Proszę... Nie będę sprawiać kłopotów.

Angie była wyraźnie zaskoczona.

– Czemu akurat ze mną? – spytała.

– Nikogo więcej nie lubię. – Głos Leroya był boleśnie ochrypły. – Tylko panią... i Timbę. Proszę. – Szurając nogami, podszedł do Angie i przytulił się.

– Och, Leroy! Biedaku. – Angie obejmowała chłopca, a Graham stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, kręcąc głową i bezgłośnie mówiąc do niej: „NIE”.

Od tamtego dnia atmosfera w naszym domu była inna. Już nie taka beztraska. Chodziło o Leroya. Angie i Graham rozmawiali wtedy do późna w nocy, siedząc na dwóch końcach sofy, a Vati i ja drzemaliśmy między nimi. Vati nie interesował się tym, o czym mówili, ale ja tak. Udając, że śpię, wychwytywałem strzępki rozmowy i byłem pewien, że Angie wygrywa. Kibicowałem jej. Mówiła szybko, wymachując rękami, podczas gdy Graham chrząkał i wzdychał. Co jakiś czas otwierałem jedno oko i spoglądałem na Angie, dając jej znać, że jestem po jej stronie. Gdyby tylko wiedziała o Grahamie to co ja, znała sekrety, które mi zdradzał, gdy wracał późno do domu, a Angie była już w łóżku.

– Dobrze, że nie umiesz mówić, Timba – zaczynał, a potem opowiadał o kobiecie imieniem Lisa, w której się zakochał i z którą chciał być. – Angie nie może się dowiedzieć. Nie chcę jej stracić ani jej zranić. To będzie nasza tajemnica, dobrze, Timba?

Za każdym razem, gdy o tym mówił, zaglądałem coraz głębiej w jego duszę moimi złotymi oczami i widziałem, jak bardzo ta „tajemnica” go gryzie, jak kurczowo trzyma się swojego dotychczasowego życia. Nie mogłem go zmusić, żeby odpuścił. Nie mogłem go zmienić. Mogłem go jedynie kochać. To właśnie robią koty.

– To był zegar mojej matki – powiedział, gdy zegar wybił północ. – Ona miała wielkie serce... złote serce... tak jak ty, Angie. – Wyciągnął rękę przez sofę i odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. – Gdyby mama tu była, chciałaby, żebym

się zgodził.

Spojrzałem na błyszczącą poświatę za jego lewym ramieniem i zobaczyłem w niej uroczą starszą panią z siwymi włosami i uśmiechem ogrzewającym powietrze otaczające Grahama i Angie. Spojrzała na mnie dobrotliwie, a ja posłałem jej koci uśmiech. Pomachała ręką i zniknęła, zostawiając wokół nas blask.

– Więc... dobrze... okej. Spróbujmy – powiedział Graham i ciężko westchnął.

Angie poderwała się, zarzucając mu ręce na szyję.

– Wiedziałam, że się zgodzisz! Dziękuję, Graham. To dobra decyzja. Wiem, że tak. – Tańczyła wokół sofy. – Wszechświat zesłał nam dziecko!

Graham uśmiechnął się z przymusem.

– Nie ekscytuj się tak – mruknął. – Z Leroyem nie będzie łatwo.

– Akceptuję koty – oznajmił Graham. – Właściwie nawet je lubię. Ale TEGO CHŁOPAKA jestem w stanie znieść tylko w małych dawkach.

Wiedziałem, że mówi o Leroyu. Siedząc z Vatim w naszym koszyku, przysłuchiwałem się niekończącym się dyskusjom na temat Leroya. Takie rzeczy Graham mówił Angie tylko w cztery oczy. Kiedy przyszli pracownicy opieki społecznej ze swoimi papierami, laptopami i poważnymi minami, Graham udawał bardzo zajętego. Raz po raz wzruszał ramionami i manifestował obojętność.

– Angie i ja nie jesteśmy małżeństwem – powiedział. – Jeśli o mnie chodzi, może sobie robić, co chce. Jeśli chce wychowywać Leroya, w porządku, ale to ona, nie ja, bierze za niego odpowiedzialność.

– Ale chce go pan przyjąć do swojego domu?

– Jestem na to przygotowany – odparł Graham. – Zdaję sobie sprawę, że Leroy wychowywał się bez męskiego wzorca i zrobię, co w mojej mocy. Ale to Angie będzie jego opiekunem, nie ja.

– Graham świetnie sobie z nim radzi – wtrąciła Angie.

– Czy wasz związek jest trwały?

Angie i Graham spojrzeli po sobie.

– Jak najbardziej – powiedziała Angie. – Jesteśmy bratnimi duszami.

Graham milczał, więc pracownicy opieki społecznej jakoś nie byli przekonani co do tych bratnich dusz.

Uznałem, że ludzie są zdecydowanie zbyt poważni i trąciłem Vatiego nosem. Od razu zrozumiał, o co mi chodzi. Wyskoczyliśmy z koszyka i stanęliśmy do walki, robiąc straszne miny i udając, że jesteśmy śmiertelnymi wrogami. Vati wygiął grzbiet i odskakiwał na boki, prowokując mnie i przy okazji ściągając chodnik, a ja próbowałem go złapać. Chowałem się i wyskakiwałem z nienacka, a kiedy wreszcie przypuściłem na niego atak, zderzyliśmy się w powietrzu z rozcapierzonymi łapami.

Tylko Angie się śmiała. Chociaż dawaliśmy z siebie wszystko, usta Grahama

ledwie drgnęły, a pracownicy opieki społecznej nadal mieli poważne miny. Rozmowa toczyła się dalej.

Ostatecznie wskoczyłem na kolana Angie, próbując ją uspokoić. Bardzo się starała i jak dla mnie spośród wszystkich osób w pokoju tylko ona sprawiała wrażenie naprawdę żywej. Ale jej płomienne słowa napotykały na mur oporu i w końcu straciła cierpliwość.

– Mówimy o porzuconym dziecku – zagrziała, a ja czułem gorąco jej aury i mocne walenie serca. – Po co to tak komplikować? Matka Leroya porzuciła go. Chłopiec potrzebuje domu – TERAZ, nie za pół roku – i chce być ze mną. Bardzo jasno dał to do zrozumienia. Zaoferowałam się zostać jego matką zastępczą... To dobre rozwiązanie, więc przestańmy szukać dziury w całym i podejmijmy decyzję, mając na względzie dobro tego dziecka.

Vati wdrapał się na regał z książkami i siedział tam z miną pełną dezaprobaty, jak zawsze, gdy trwała kłótnia. Powiedział mi, że pozbywa się złej energii, będąc blisko sufitu.

Ja zostałem z Angie. Jej wzburzenie nigdy mi nie szkodziło i teraz też tak było.

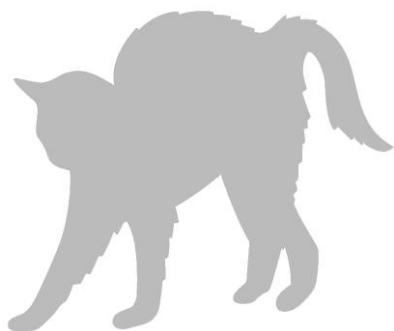
– Dzięki, Timba – szepnęła w moje futerko, kiedy pracownica opieki społecznej zamknęła swój laptop i wstała.

– Rozumiem cię, Angie – powiedziała z irytującym spokojem. – Musimy poddać sytuację ocenie, zanim podejmiemy decyzję. Do tego czasu Leroy może spędzać z tobą soboty. Będziemy go przywozić.

Kiedy wyszli, zdenerwowana Angie zaczęła krążyć.

– Musimy poddać sytuację ocenie! – wykrzyknęła z furją. – A chłopiec niech czeka i cierpi. Och, chciałabym go PORWAĆ.

9. Walka



Vati spędzał dużo czasu z Grahamem, który wydawał się zadowolony z towarzystwa uroczego kociaka. Mój brat czekał, aż Graham rozsiądzie się w fotelu, a potem wchodził z gracją po jego rękach na barki, ocierał się o szyję, skubał mu uszy i lizał po twarzy. Na koniec zwykle mościł się na szerokiej piersi Grahama i leżał tam, kołysany jego oddechem. Któregoś razu poszedł za nim do pokoju muzycznego. Kroczył z podniesionym ogonem i Graham nawet nie zareagował na jego spacer po klawiszach fortepianu. Dopiero kiedy zaczął ostrzyć pazury o meble, krzyknął:

– Przestań, Vati. NIE WOLNO!

Ale Vati nie przestał. Chociaż Graham usiłował go przegonić, siedział niewzruszony, patrząc na niego przymilnie. Ostatecznie Graham z westchnieniem wziął go na ręce.

– Będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, żebyś tak nie robił – powiedziała.

Vati nie lubił Leroya. Gdy w sobotni poranek, zaraz po przyjeździe, Leroy chciał wziąć go na ręce, mój brat podrapał go swoimi ostrymi pazurami.

– Auu! – Leroy patrzył na kropelki krwi wyłaniające się spod skóry, a Vati zaczął się myć, jakby chciał usunąć z sierści wszelkie ślady po kontakcie z chłopcem.

– Vati to zupełnie inny kot niż Timba – powiedziała Angie, smarując maścią zadrapania Leroya. – Timba jest bardzo tolerancyjny, a Vati jest wyjątkowo drażliwy. Jeśli chcesz go wziąć na ręce, najpierw musisz poprosić o pozwolenie.

– Ale skąd będę wiedział, czy się zgadza, czy nie? – zapytał Leroy, marszcząc czoło.

– Cóż, udzielił wyraźnej odmowy, drapiąc cię – odparła Angie. – Ale nie musi dochodzić do takich sytuacji. Kot nie rzuci się na ciebie z pazurami bez powodu. Musisz podejść do niego spokojnie i wyczuć, czy chce kontaktu z tobą. Jeśli nie, trzeba zostawić go w spokoju.

Leroy nie wyglądał na przekonanego, więc Angie spytała:

– Co byś zrobił, gdyby jakiś olbrzym złapał cię i podniósł?

– Walczyłbym z nim. – Leroy uniósł pięści. – Bum!

– Właśnie to zrobił Vati. Uczy cię.

– Nie jest nauczycielem. Jest kotem.

– Koty są wspaniałymi nauczycielami, tak jak konie. – Kiedy Angie tłumaczyła coś dzieciom, jej oczy błyszczały. Leroy wpatrywał się w nie jak urzeczony.

– Ale przecież koty nie mówią – zauważył. – A nauczyciele muszą mówić, prawda?

Angie zacisnęła usta i pokręciła przecząco głową. Potem, nadal patrząc na Leroya, wzięła linę z leżącej w kuchni sterty końskich uprzęży i pokazała mu, jak zrobić węzeł. Skończyło się to tak, że oboje chichotali.

Uwielbiam ludzki śmiech. Nakręca mnie jak nic innego. Przemknąłem przez kuchnię i rzuciłem się na uprząż. Zrobiła się kotłowanina, Vati podskakiwał jak konik polny. Dom wypełnił się śmiechem.

Tylko Graham pozostał milczący. Siedział zasłonięty szeleszczącą gazetą i lekko poruszał stopami, jakby poirytowany radosnym zamieszaniem panującym w jego domu. Bo to był jego dom, nie Angie, jak nam często przypominał.

Długie gorące lato było szczęśliwym czasem w życiu Vatiego i moim. Z kociaków przeobraziliśmy się w młodzieńców, już prawie dorosłych. Wszyscy mnie podziwiali, co pomogło mi stać się kochającym i pewnym siebie kotem. Uwielbiałem, gdy Graham patrzył na mnie i mówił:

– Ten kot jest zachwycający.

Angie poświęcała dużo czasu na uczenie Leroya, jak się ze mną komunikować, w jaki sposób mnie trzymać i jak się o mnie troszczyć. Teraz wydawał się zupełnie innym chłopcem, właśnie takim, jakim chciał być. Podczas jego cotygodniowych wizyt ani razu nie słyszałem, żeby płakał. Jego oczy zawsze były szeroko otwarte i pełne zachwyty nad światem, który odkrywał.

Graham nie poświęcał mu wiele uwagi aż do pewnej deszczowej soboty, kiedy Leroy podszedł do niego niepewnie z książką w ręce.

– Poczytasz mi? – spytał.

– Poproś Angie – odparł Graham.

– Angie przygotowuje lunch – powiedział Leroy, rzucając mu błagalne spojrzenie. – Proszę.

Postanowiłem zaangażować się w sprawę i wskoczyłem Grahamowi na kolana, żeby zmiękczyć ten twardy pancerz, za którym usiłował się chować. Spojrzenie moich złotych oczu i ciche miauczenie sprawiły, że westchnął i niechętnie wziął książkę.

– Nie jesteś trochę za duży, żeby ci czytać?

Leroy zrobił zawiedzioną minę.

– Może i tak, ale ja tak lubię twój głos – powiedział. – Sprawia, że historia wydaje się prawdziwa. Zresztą Timba też chce posłuchać, prawda, Timba?

Graham poddał się i zaczął czytać. Leroy siedział zasluchany na oparciu fotela, a ja mruczałem na kolanach Grahama. Wkrótce stało się jasne, że Grahamowi podoba się to nie mniej niż Leroyowi. Nawet Vati postanowił się przyłączyć. Usadowił się na ramieniu Grahama, skąd mógł patrzeć na obrazki w książce, czując dudnienie jego głosu.

Wyczułem obecność aniołów i grzałem się w ciepłym blasku, który roztaczały, chcąc nas związać ze sobą, pragnąc, żebyśmy byli rodziną. Ale oczy Grahama nadal skrywały mroczne tajemnice, które tylko czekały, by przesłonić światło. Widziałem je bardzo wyraźnie.

W inną sobotę siedzieliśmy z Vatim na nagranych słońcem kamiennych płytach przy sadzawce. Mój brat, bardzo czymś zaabsorbowany, wyciągał szyję, jakby to, co obserwował, poruszało się.

– Na co patrzysz? – spytałem.

Zignorował mnie, podniosłem się więc i zajrzałem w jego oczy. Lśniły tajemniczym zielonym blaskiem, który mnie zachwycił. Vati widział więcej niż ja.

– Obserwuję walkę – odpowiedział wreszcie.

Podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem na trzcinie dziwne brzydkie stworzenie. Wydawało się, że jego głowa utknęła w jakiejś ciasnej skorupie i stworzenie wygina swoje delikatne ciało, próbując się uwolnić. Walczyło i odpoczywało w stałym rytmie, lecz nic się nie zmieniało. Znudziłem się tym, ale Vati przeciwnie.

– Dostrajam się do energii tej istoty – rzekł. – Rozpaczliwie walczy, żeby się uwolnić i odlecieć przed zachodem słońca. Myślę, że będzie piękna, i chcę ją dać Grahamowi, aby mu pokazać, jak bardzo go kocham.

– Na co patrzysz, Timba? – Leroy usiadł obok nas.

Nauczył się od Angie i koni, że do zwierząt nie należy zbliżać się biegiem, tylko wolno i spokojnie, więc jego przyjście nas nie spłoszyło. Nagrodziłem go cichym pomrukiem i kocim uśmiechem.

Opanowanie Leroya zniknęło, gdy zauważył rozedrgane stworzenie próbujące się uwolnić ze swojej skorupy. Zerwał się na równe nogi i pobiegł w stronę domu.

– Angie! ANGIE... Szybko, w sadzawce COŚ jest! – wołał.

– Nie zostanie tam długo, jeśli będziesz się tak wydzierał – powiedziała Angie, wyłaniając się z domu i wycierając ręce o dżinsy.

– Szybko... Szybko... To może być KOSMITA – szepnęła Leroy.

– Nie dotykaj go – ostrzegła go ze śmiechem.

Chociaż się śmiała, czułem, że jest spięta. Wcześniej Angie i Graham kłócili

się o jego ciągle późne powroty do domu. Kiedy zajechał samochód i pracownica opieki społecznej przyprowadziła Leroya, kłótnia ustała, ale wrogość wisiała w powietrzu jak chmura burzowa. Problem nie został rozwiązany, więc robiłem, co mogłem, krążąc między nimi, by załagodzić sytuację. Graham zamienił z Leroyem parę słów, po czym wziął swój laptop i poszedł do pokoju muzycznego. Angie przywołała uśmiech na usta i udawała szczęśliwą.

My, koty, widziałyśmy wszystko.

Teraz siedzieliśmy we czworo, przypatrując się „temu czemuś” nadal szamoczącemu się na trzcinie. Wygięte łuskowate ciało zamigotało błękitem, gdy musnął je promień słońca. Stworzenie jeszcze raz się szarpnęło, a potem znieruchomiało.

– Umarło? – zapytał szeptem Leroy.

– Nie sądzę – odparła Angie.

Leroy zaczął ściągać buty.

– Wejść tam i pomogę mu się wydostać.

– NIE! – krzyknęła dziko Angie i Leroy zastygł z jednym butem w ręce.

– Dlaczego nie? – spytał.

– Bo to walka czyni silnym – odparła Angie i w tym momencie stworzenie wyszarpnęło na wolność resztę swojego ciała.

Rozprostował się opalizujący turkusowy ogon, dwa błyszczące skrzydła rozłożyły się powoli, schnąc w słońcu.

– Ważka! – wykrzyknął zachwycony Leroy. – Ale ogromna.

Ważka spojrzała na nas swoimi dużymi lśniącymi oczami, w których kryła się mądrość.

– Cześć, ważko – powiedział Leroy. Uśmiechał się szeroko, a jego aura promieniowała jasnym światłem. – Możesz już latać?

Miauknąłem, chcąc dodać odwagi temu pięknemu stworzeniu. Oczy Vatiego świeciły w słońcu zielonym blaskiem, koniuszek jego ogona drgał. Tylko Angie wyglądała na smutną. Podbiegłem do niej i zacząłem się ocierać o jej nogi. W głębi serca skrywała ból. Czulem jego rosnącą, niszczycielską siłę.

– Zostań tu, aż odfrunie – powiedziała cicho do Leroya. – Tylko jej nie dotykaj. Obiecujesz?

– Obiecuję. – Leroy uśmiechnął się, przybijając z nią piątkę.

Angie próbowała odwzajemnić uśmiech, ale jej nie wyszło. Wstała i ruszyła powoli w stronę domu, obejmując się ciasno ramionami. Biegłem obok niej z podniesionym ogonem, a ona cały czas powtarzała:

– To walka czyni silnym.

Ten jeden raz nie wzięła mnie na ręce, żeby się ze mną poprzytulać. Usiadłem na parapecie i obserwowałem ją, gdy krzątała się po kuchni, krojąc warzywa i wrzucając je do garnka. Jej aura była wyjątkowo ciemna, a oczy

pozbawione radości. Pomrukiwałem, ale nawet na mnie nie spojrzała. Niewykluczone, że wiedziała, że ja wiem. Rozmowa o tym, nawet ze mną, byłaby zbyt bolesna.

Kilka chwil później z ogrodu dobiegł płacz Leroya, głośniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że leży z twarzą w trawie, okładając pięściami ziemię. Przez kuchnię przemaszerował dumnie Vati z ważką zwisającą bezwładnie z jego pyszczka. Wszedł pewnym krokiem przez otwarte drzwi do pokoju muzycznego, niosąc Grahamowi swój cenny dar.

Śpiew ustał. Graham skrzywił się z obrzydzeniem na widok daru Vatiego przy swoim bucie. Wyciągniętą na całą długość ręką podniósł martwą ważkę za jedno z przezroczytych skrzydeł.

– Fuj! – mruknął, niosąc ważkę do błyszczącego, pomalowanego w nuty kosza na śmieci. Wrzucił ją tam i usłyszeliśmy głuchy odgłos, gdy dotknęła dna. – Wstrętny kot!

Skrzywiłem się, widząc w oczach Vatiego ból i niedowierzenie. Przestraszony, z podkulonym ogonem, wybiegł z pokoju muzycznego.

Poszedłem za bratem na skraj końskiej łąki. Siedział skulony w starej, przewróconej na bok beczce leżącej w żywopłocie. Był zdruzgotany.

– Nie wrócę tam – oznajmił. – Dałem Grahamowi wspaniały prezent, najlepszy okaz, jaki kiedykolwiek złapałem, a on nazwał mnie wstrętnym kotem. A Leroy chce mnie zabić. Co jest nie tak z tymi ludźmi?

Nie znalazłem słów pocieszenia, więc tylko lizałem go po pyszczku i mruczałem. Przyjmował moją troskę z wdzięcznością, ale nie wrócił ze mną do domu.

– Chcę spędzić trochę czasu z księżycem i gwiazdami – powiedział, spoglądając na ciemne wzgórza daleko za polami.

– To nie jest najlepsze miejsce do siedzenia – stwierdziłem, obwąchując brudną starą beczkę, w której zrobił sobie kryjówkę.

– Och, przeciwnie – zaprotestował. – Otwórz oczy, Timba. Ta beczka leży w świętym punkcie węzłowym, gdzie przecinają się dwa strumienie energetyczne. Na pewno to czujesz.

Nie czułem.

– Siedząc tu, nabieram energii – ciągnął Vati. – Jeśli będziesz chciał porozmawiać ze swoim Duchem Lwa, przyjdź tutaj, to ułatwi sprawę.

– Więc o co chodzi z Grahamem? – zapytałem.

– Jest uwięziony, tak samo jak była uwięziona ta ważka – odpowiedział – i walczy, by się uwolnić.

Leroy długo rozpaczał z powodu ważki. Dla niego była to tragedia, dla Vatiego triumf i idealny prezent, a dla Grahama coś wstrętnego.

Angie zabrała zapłakanego Leroya z powrotem do ogrodu. Otworzyła szopę i

oboje do niej weszli.

– Zrobimy coś NIESAMOWITEGO – oznajmiła, wkładając mu do ręki szpadel. – Ty niesiesz.

Z podniesionym ogonem poszedłem za nimi do warzywnika. Usiadłem i patrzyłem. Byłem ciekaw, jak Angie sprawi, żeby Leroy przestał płakać.

– Wiem, że to smutne – powiedziała – ale chyba już wystarczy tej rozpaczy, nie sądzisz?

Leroy pokręcił żałośnie głową.

– Cóż, ja nie będę się już dłużej smucić – orzekła Angie. – Nie chcę przegapić innych niezwykłych rzeczy dziejących się w ogrodzie. Pamiętasz, co zakopaliśmy w ziemi dawno temu, na wiosnę?

Jego oczy rozbłysły.

– Ziemiaka – powiedział przez łzy.

Podbiegłem do niego i ocierałem się o jego gołe nogi, próbując sprawić, by zapomniał o swoim nieszczęściu.

– Teraz sprawdzimy, co się z nim stało – oznajmiła Angie. – Kto będzie kopał?

– Ja. Proszę!

Leroy kopał bardzo energicznie, rozrzucając ziemię po ogrodzie jak wygrzebujący dziurę pies. Odkoczyłem, strzepnąłem ogon i na wszelki wypadek usiadłem na stercie drewna. Bałem się, że Leroy może wykopać śpiącego borsuka.

Angie pomogła mu poluzować krzak, a kiedy go wyrwali, znów posypała się ziemia. Na korzeniach wisały młode kremowe ziemniaki. Leroy aż otworzył usta ze zdumienia. Potem pozrywał ziemniaki i wrzucił je wiadra.

– PIĘTNAŚCIE! – zawołał rozpromieniony. – Mamy piętnaście ziemniaków.

– Tu jest ten stary. – Angie pokazała mu dużą brudną bulwę w środku. – Zobacz... jest ich więcej!

Razem grzebali w ziemi jak dwa króliki.

– To jak zakopany skarb – stwierdził Leroy. Cały czas uśmiechał się radośnie. – Nie wiedziałem, że ziemniaki rosną w ziemi.

– Może je ugotujemy? – zaproponowała Angie. – Szybko, pomóż mi, zanim Graham wyjdzie z domu. Będziemy mieć młode ziemniaczki z masłem.

– Młode ziemniaczki z masłem – powtórzył Leroy jak echo.

– Jesteś silny. Będziesz niósł wiadro.

Leroy ruszył dumnie z brzęczącym wiadrem w ręce.

– Młode ziemniaczki z masłem – podśpiewywał, kiedy nasza trójka zmierzała do kuchni. Szedłem z podniesionym ogonem.

Angie niewątpliwie jest ziemskim aniołem, myślałem, a przez chwilę nawet wydawało mi się, że widzę jej migoczące skrzydła. Tylko co miała na myśli Poppy,

mówiąc: „Ziemskie anioły zawsze biorą na swoje barki więcej, niż są w stanie udźwignąć”?

10. Niebiańska energia



Upłynęło dużo czasu, zanim Angie dostała w końcu to, czego chciała. Vati i ja byliśmy już kotami, mieliśmy za sobą pierwszą jesień i zimę. Nasze futerka błyszcząły, byliśmy piękni i silni. Jedynym przykrym wydarzeniem była wizyta u weterynarza, który nas wykastrował!

– Przykro mi, chłopaki, ale na dłuższą metę tak będzie lepiej dla was i lepiej dla Ziemi – tłumaczyła nam Angie. – Nie chcemy, żeby za waszą sprawą przybyło na świecie niechcianych kociąt.

Na szczęście Rick obszedł się z nami delikatnie. Razem zasnęliśmy, razem się obudziliśmy i razem wróciliśmy do domu w luksusowym transporterze, który kupiła dla nas Angie.

Kiedy jabłonka pokryła się kwiatami i pszczoły brzęczały w wiosennym słońcu, pracownicy opieki społecznej wreszcie się zgodzili, żeby Leroy z nami zamieszkał. Pod moim nadzorem Angie przygotowała dla niego pokój z wygodnym łóżkiem. Na ścianach powiesiła plakaty i kupiła mu koc w lwy. Miał też kolorową poduchę do siedzenia, którą uwielbiałem, regał i pudła z rzeczami, które pamiętałem z jego domu. Nawet jego stare misie tu były, świeżo wyprane i zadowolone z siebie.

Tym, czego Leroy pragnął najbardziej po swoim przybyciu, była moja obecność. Naprawdę się cieszył, że wyrosłem na takiego wspaniałego kota.

Chciał też wspinać się na jabłonkę i zrobiliśmy to razem. Popisywaliśmy się z Vatem, prowadząc go po gałęziach. Po wszystkim Leroy zawołał do Angie:

– Wspiąłem się na kwiatowe drzewo.

– Kwiatowe drzewo? – Angie wyszła do ogrodu kompletnie zdezorientowana.

– Na to – powiedział Leroy, wskazując jabłonkę.

– Och... to jabłonka! – wyjaśniła Angie.

– Wcale nie. – Leroy wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie ma tam jabłek...

To kwiatowe drzewo.

Angie odwzajemniła uśmiech.

– Chodź, zdradzę ci pewien sekret. Popatrz na ten kwiat jabłoni. Widzisz taką małą kuleczkę w środku?

– Taak.

– Właśnie ta kuleczka zamieni się w jabłko.

– Mówisz serio? – Leroy przewrócił oczami.

– Oczywiście – zapewniła Angie. – Potrwa to całe lato. Płatki opadną, a ta mała zielona kuleczka urośnie jak balon i stanie się jabłkiem.

– Chyba żartujesz!

– Nie, to prawda. Sam się przekonasz. Za kilka tygodni kwiaty znikną i zobaczysz malutkie zielone jabłka, za małe, żeby je jeść. ALE... – Angie zawiesiła głos i Leroy patrzył na nią jak zahipnotyzowany – żeby tak się stało, na kwiatku musi usiąść pszczoła. Tam jest jedna... Patrz. Przyjrzyj się, co robi.

– Może stamtąd wyjść i użądlić.

– Nie robi tego. Jest zbyt zajęta zapyłaniem.

– Zapyłaniem? – powtórzył Leroy. – Żartujesz, Angie?

– Nie.

Leroy nie wydawał się przekonany.

– Mama kupowała jabłka w Tesco – powiedział. – Nie zrywała ich z drzewa.

Na noc drzwi pokoju Leroya pozostawały otwarte, więc mogłem tam wchodzić i leżeć obok niego, mrucząc, gdy spał.

Pewnej nocy zamiast spać leżał i rozmawiał ze mną.

– Mama mnie nie chciała, Timba. Zostawiła mnie samego w domu i zajęła się mną opieką społeczną. Mówiłem, że chcę mieszkać z Angie, ale mnie nie słuchali. Dlatego nie bawiłem się z tobą za wiele, gdy byłeś kociakiem, ale teraz, kiedy jesteś duży, dalej cię kocham.

Wstał i zapalił światło. Potem krążył na bosaka po pokoju z paczką mazaków w ręce. Przyglądałem się temu z niepokojem. Wiedziałem, co chce zrobić!

Ściany jego pokoju były zawieszane plakatami, więc nie mógł znaleźć odpowiedniego miejsca. Wszedł na korytarz, przyłożył ucho do zamkniętych drzwi sypialni Angie i Grahama i przez chwilę nasłuchiwał. Potem odwrócił się, uśmiechnięty od ucha do ucha, i pokazał mi uniesione kciuki.

– Śpią – powiedział scenicznym szeptem.

Włączył światło i po dokładnym przyjrzeniu się nagim jasnozielonym ścianom korytarza zdjął skuwkę mazaka, by przystąpić do pracy. Najpierw narysował parę żółtych, hipnotyzujących oczu. Patrzyłem podenerwowany, z drgającym ogonem, na szybkie i pewne ruchy jego ręki niosące na ścianę resztę lwa.

Gdzieś w oddali czekał lis, krople deszczu uderzały o szybę. Leroy pracował gorączkowo. Miałem wrażenie, że w domu jest prawdziwy lew, który

sterując ręką odzianego w pizamę chłopca, rysuje swój portret.

Wiedziałem, że rano Leroy będzie miał straszne kłopoty i chciałem go powstrzymać. Miauknąłem, ale osiągnąłem tylko tyle, że położył palec na ustach i szepnął:

– Ciii, Timba. Musimy być cicho. Teraz narysuję falującą grzywę... będzie kolorowa!

Kontynuował swą szaleńczą pracę, kreśląc faliste linie wokół pyska lwa. Mazaki spadały na podłogę, białe skuwki toczyły się na wszystkie strony. Nie mogłem się oprzeć i zacząłem bawić się skuwkami, zrzucając je między barierkami na podłogę parteru.

Vati wyczuł dobrą zabawę i przybiegł na górę. Podkradł się do lwa Leroya, spojrział w jego oczy i uznał, że nie ma się czym przejmować. Bawiliśmy się skuwkami, wypełniając cichy dom stukotami, brzękami i głuchym dudnieniem łapek biegających z góry na dół po schodach.

Świtało, gdy Leroy wreszcie uznał, że lew jest gotowy. Odsunął się i patrzył na niego z pełnym zadowolenia uśmiechem. Zostawiwszy mazaki rozrzucone na podłodze, poszedł do łóżka i w domu zapadła cisza.

Podążyłem za Vatim na dół, a tam przez kocie drzwiczki wyszliśmy na poranne słońce. Złapaliśmy po myszy i zabraliśmy je do domu, żeby się nimi pobawić. Ja moją zjadłem, ale Vati zaniósł swoją na fortepian i zostawił ją tam dla Grahama. Zaraz po tym poszedł spać w naszym ulubionym fotelu. Ja nie spałem. Myłem się i nasłuchiwałem, zdenerwowany tym, co zrobił Leroy. Chciałem ostrzec Angie, zanim Graham się obudzi. W tej sytuacji uznałem za uzasadnione głośne, przeciągłe miauknięcie. Usiadłem pod drzwiami sypialni, wydałem z siebie odpowiedni dźwięk, a potem wystawiłem pazury i grzecznie zapukałem do drzwi, jak człowiek.

Usłyszałem jęk i ziewnięcie, a chwilę później Graham otworzył.

– Co jest, Timba? – spytał zaspanym głosem.

Spojrzałem na rozrzucone mazaki i lwa na ścianie, czując się, jakby to była moja wina.

Pojawił się Leroy, który w ogóle nie wyglądał na zdenerwowanego. Jego oczy błyszczały podnieceniem.

– Podoba ci się mój lew? – zapytał Grahama. – To niespodzianka.

W jednej z książek Leroya był rysunek rozżłoszczonego włochoatego olbrzyma stojącego nad ciemnym wieśniakiem. Graham wyglądał zupełnie jak ten olbrzym, gdy stał w bokserkach, gapiąc się z rozdziawionymi ustami na lwa Leroya. Widziałem, jak czerwona błyskawica przecięła jego aureę, docierając aż do głowy, a wtedy Graham przecesał palcami włosy i rozczochrał je.

Z twarzy Leroya zniknął uśmiech i zapadła ciężka cisza. Przypomniałem sobie ze wczesnego dzieciństwa krzyk mężczyzny tłumiący wszelkie duchowe

światło. Nie chciałem, żeby Graham krzyczał na Leroya i zniszczył czystą radość w jego chłopięcym sercu.

Wydałem więc z siebie kolejne przeciągłe miauknięcie i posłałem mu spojrzenie, którego nie mógł zignorować. W ten sposób pomogłem Grahamowi opanować buzujący w nim gniew.

– Jesteś zły? – zapytał szeptem Leroy.

Graham uniósł brwi.

– Chodź, Leroy. Muszę ci coś wyjaśnić – powiedział, starając się nie podnosić głosu i siadając na ławeczce w wykuszowym oknie.

Leroy podszedł do niego z ociąganiem.

– Spójrz na mnie, proszę – rzekł Graham.

Jego spojrzenie było łagodne i Leroy patrzył na niego z uwagą, wyraźnie zafascynowany tym dużym facetem, który potrafi mówić spokojnie, nawet gdy jest zły. Takim samym ścisłym tonem Graham budował napięcie w historiach, które czytał Leroyowi.

– To jest mój dom – powiedział. – Lubię go, właściwie nawet Kocham. Mieszkałem tu już, gdy byłem małym chłopcem, takim jak ty. Lubię, jak jest czysto i porządnie, a jeśli chcę mieć obrazek, to wkładam go w ramkę ze szkłem, tak jak tamten. – Wskazał wiszący niedaleko obraz przedstawiający morze. – Ładnie to wygląda, prawda?

Leroy odchrząknął.

– Taak. – Wiercił się trochę, najwyraźniej w obawie, że Graham będzie na niego krzyczeć tak samo jak Janine.

– Okej... Powiem ci, co zrobimy z tym lwem, który pojawił się na ścianie – ciągnął Graham. – Muszę przyznać, że to bardzo dobry rysunek. ALE – nieznacznie podniósł głos – nie chcę go na naszej ładnej, czystej ścianie. Więc zrobię mu zdjęcie moją cyfrówką, a ty pomożesz mi zrobić elegancką ramkę. Potem będziemy mogli powiesić go na ścianie. Możemy też wrzucić go na Facebooka. – Leroy już miał się uśmiechnąć, ale wtedy Graham dodał: – Tym niemniej po śniadaniu wychodzę i nie będzie mnie do lunchu. Kiedy wrócę, ściana ma być pomalowana na zielono, tak jak wcześniej. W przeciwnym razie zdjęcie zostanie w moim aparacie. Rozumiesz, Leroy?

– Taak.

– Spójrz na mnie. – Aura Grahama znowu rozbłysła czerwienią. – Przyrzeknij mi, że już nigdy, NIGDY nie będziesz rysował na ścianach w moim domu.

– Przyrzekam – wymamrotał Leroy.

– Umowa stoi?

– Tak. – Leroy przybił z nim piątkę. – Ale wrzucimy mojego lwa na Facebooka?

– Wrzucimy – obiecał Graham.

Na górę przybiegł Vati z podniesionym ogonem. Ocierał się o Grahama, mrucząc i patrząc na niego z uwielbieniem. Koty też lubią ciche, spokojne głosy.

Później Angie przykryła podłogę prześcieradłem i wyposażyła Leroya w puszkę jasnozielonej farby i wałek. Konieczność zamalowania lwa sprawiła, że płakał, niemniej malował, strasznie przy tym chlapiąc. Miał farbę we włosach i na rękach, wszędzie były zielone plamy.

– Trzymaj koty z dala od farby – powiedziała Angie. – Nie chcemy dwóch zielonych kotów!

Za późno. Vati i ja już się bawiliśmy na śliskim prześcieradle. Vati, który wszedł w jedną z plam, zostawił ślady zielonych łapek wzdłuż korytarza i na schodach. Ja usiadłem w kałuży farby.

– Timba ma zielony tyłek – skomentowała ze śmiechem Angie. – O, rety... będę musiała cię wykapać, Timba.

I tak oto, cierpliwie zachęcany, wylądowałem w misce z ciepłą wodą, którą Angie mnie polewała.

Dzień zakończył się kolacją w ogrodzie. Wokół nas śpiewały kosi i wirowały płatki kwiatów jabłoni. Byliśmy rodziną, dzieliliśmy wzloty i upadki, stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. Ale tylko ja znałem sekret dręczący Grahama.

Jesienią problem Angie i Grahama przybrał na sile.

Vati prowokował mnie do coraz śmielszych eskapad. Wspinał się po siatce zagrody dla kurczaków i wskakiwał na dach drewnianego kurnika. Potem siedział tam wyluzowany, obserwując kury, a ja zaglądałem do nich ostrożnie przez siatkę.

Z młodym kogutem utrzymywałem kontakty towarzyskie typu nos-dziób, zawsze przez siatkę i niezbyt częste. Tyle wymagała zwykła uprzejmość. Ale Vati niezmiennie kusił los i pewnego dnia młody kogut rzucił się na niego, mocno zaciętrzewiony. Ja bym odpłacił mu tym samym, lecz Vati tylko przewrócił się na plecy i wymachiwał w powietrzu łapami. Widok jego lśniącego brzucha i czarnych poduszek na łapkach musiał rozbroić wściekłego koguta, bo odwrócił się i odszedł dumnym krokiem.

– Przywracam pokój – mówił często Vati. Zaprzyjaźnił się z Leroyem, pozwalając na sesje delikatnego głaskania i okazjonalne przytulanki, ściśle na jego warunkach.

Żałowałem, że Vati nie może przywrócić pokoju między Angie i Grahamem. Graham coraz częściej wracał późno do domu, a któregoś razu, kiedy Angie z Leroyem byli w szkole, przyprowadził do naszego domu swoją przyjaciółkę. Miała na imię Lisa i nie lubiła kotów. Zwłaszcza mnie.

– Nie zniosłabym takiego kota jak ten – powiedziała do Grahama. – Spójrz na te kłaki, wszędzie je zostawia. Tamten drugi mi nie przeszkadza. Vati, tak? Jest całkiem fajny.

Czułem się urażony. Nie gubiłem sierści specjalnie! Jeść, pomyślałem i wycofałem się do swojej miski, gdzie zabrałem się za solidną porcję królika z tuńczykiem.

– I zobacz, jaki z niego grubas – dodała Lisa. – Założę się, że jest strasznie żarłoczny.

Kiedy zacząłem porcję Vatiego, podszedł Graham i zabrał mi miskę.

– To jedzenie Vatiego, ty łakomczuchu – powiedział.

Machnąłem ogonem i posłałem mu gniewne spojrzenie. Graham nie miał w zwyczaju mnie obrażać. Byliśmy przecież kumplami, prawda?

Chciałem, żeby Vati zwinął się w kłębek obok mnie, pomagając mi się uspokoić, ale on poszedł do pokoju muzycznego z Grahamem i Lisą. Zaczęło się śpiewanie. Lisa śpiewała sopranem, co przypominało dźwięki wydawane przez kota. Nie cierpiałem jej. Jak śmiała MNIE krytykować, podczas gdy sama była najgrubszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Jej wystający brzuch niemal dotykał fortepianu, gdy śpiewała, balansując chwiejnie na dwóch cienkich nogach obutych w połyskujące złote sandały.

Coś było nie tak. Kiedy przestali śpiewać, Graham uklęknął na podłodze przed Lisą i oparł głowę o jej wielki brzuch.

– Jak się ma małeńka dziewczynka tam w środku? – zapytał.

– W porządku. – Lisa poklepała się po brzuchu. – Ruszała się, kiedy śpiewaliśmy. Lubi muzykę!

Ułożyłem się samotnie w koszyku, pragnąc zasnąć i nie słyszeć Lisy i Grahama. Siedzieli na sofie, tuląc się i szepcząc. Zdrada, pomyślałem gniewnie. Czy Vati tego nie widzi?

Sen nie przychodził i obserwowałem ich dyskretnie z przymkniętymi oczami. Zdecydowanie nie byłem w nastroju na mruczenie, ale słyszałem ciche pomrukiwanie Vatiego, który leżał na ramieniu Grahama, udrapowany jak jedwabna chusta. Wkrótce zasnął, a ja przysłuchiwałem się z przerażeniem toczonej rozmowie.

– Nie będę dzieliła z NIA domu – powiedziała Lisa. Wywnioskowałem, że to głośne „NIA” oznaczało moją ukochaną Angie.

– Oczywiście, że nie, skarbie. Będzie musiała się wyprowadzić – rzekł Graham. – Do diabła, dom jest mój, odziedziczyłem go po rodzicach. Byłem jedynakiem, dorastałem tutaj i nie wyobrażam sobie mieszkania gdzieś indziej. Taak, Angie będzie musiała się wyprowadzić... razem ze swoimi kurczakami i TYM CHŁOPCEM, którego uparła się wychowywać. – Zmarszczył czoło, nadal głaszcząc jedwabiste futerko Vatiego. – I z kotami... Chociaż jego mógłbym zatrzymać.

– Powiedziałaś jej już? – zapytała Lisa.

– Nie – odparł ciężko Graham. – Zrobię to, kiedy przyjdzie odpowiedni

moment.

– To samo mówiłeś ostatnim razem.

– No... fakt. Ale to nie takie łatwe, Liso. Angie jest bardzo porywcza. Wścieknij się. Boję się tego i, szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jak jej o tym powiedzieć.

– Weź się w garść. Nie jesteście małżeństwem.

– Nie. – Graham westchnął, kręcąc się nerwowo.

– Więc kiedy jej powiesz?

– Wolałbym wcale.

– Ciągłe ją kochasz?

– Nie. – Graham spojrzął na Lisę. – Ale nie chcę jej zranić. Ma tyle stresów.

Leroy, praca w szkole... Powiniennem poczekać przynajmniej do końca semestru.

– Wtedy będą święta. Nie możesz jej wyrzucić w Wigilię, Graham. Nawet ja to wiem!

– Możemy odłożyć tę rozmowę na później? Skupmy się na ćwiczeniach. – Graham uniósł dłoń, gdy Lisa próbowała protestować. – Obiecuję, że powiem Angie we właściwym czasie.

Kompletnie zdruzgotany, wymknąłem się z domu. Nie mogłem tam dłużej wytrzymać. Angie obiecała mi „dom na zawsze”. I Vatiemu. Co teraz będzie? Ta rozmowa zawisała nade mną jak chmura, słowa wirowały w mojej głowie. „Angie będzie musiała się wyprowadzić... razem ze swoimi kurczakami i TYM CHŁOPCEM... i z kotami”.

To było nie do pomyślenia.

Udałem się do swojego magicznego miejsca, kręgu kamieni na trawniku z tyłu domu. Gęste szare chmury napływały z zachodu, wiatr mierzwił moją sierść. Pragnąc całkowitego spokoju i schronienia, przeciąłem trawnik i znalazłem beczkę, z której korzystał Vati. Powiedział, że to punkt węzłowy, miejsce, w którym przecinają się strumienie energetyczne. W tej chwili potrzebowałem właśnie czegoś takiego.

Usłyszałem warkot samochodu; Graham odwoził TĘ LISEĘ do domu. Zastanawiałem się, gdzie jest Vati. Był mi potrzebny.

Zostałem w beczce, ale czułem tylko niepokój i chłód jesieni.

Potem usłyszałem, że Angie i Leroy wrócili. Leroy biegał wszędzie i szukał mnie.

– Timba, Timba, gdzie jesteś?

Pozostałem w ukryciu.

Koty nie powinny martwić się o ludzi, myślałem, czekając na Ducha Lwa. Ukazał się w blasku jasnego światła, jego oczy były spokojne i rozbawione. Wywabił mnie z beczki. Niebo się przejaśniło, świeciło ciepłe popołudniowe słońce, które zdawało się pojawić wraz z Lwem.

– Jesteś wspaniałym kotem, Timba – powiedział, kiedy usadowiłem się między jego miękkimi jak poduszki łapami.

– Ale co ze mną będzie? – zapytałem i nagle poczułem, że nie mam pojęcia, jak poradzić sobie z tym problemem. Dokąd zabierze nas Angie? Jak daleko stąd? Uwielbiałem dom Grahama. Vati i ja znaleźliśmy tu każdy kąt, każdą ścianę, każde drzewo. Wiedzieliśmy, gdzie wschodziło słońce i gdzie się ukryć przed wiatrem. Mieliśmy tu przyjaciół, dobrych przyjaciół, jak Poppy i Laura, i czapla, która przylatywała do sadzawki. Nie mogłem sobie wyobrazić mieszkania w innym miejscu. To był nasz dom.

– Jesteś wystarczająco silny, by podołać wszystkiemu, co będziesz musiał zrobić, Timba – rzekł uspokajająco Duch Lwa. – Angie zaopiekuje się tobą i Vatem. Nie przejmuj się miejscem... Gdziekolwiek jesteś na tej wyjątkowej planecie, możesz korzystać ze strumieni komunikacyjnych, a w podróży podążać złotymi drogami.

– Jak znajdę złotą drogę? – chciałem wiedzieć.

– Nauczę cię. – Lew zamknął oczy. – Nie ruszaj się i też zamknij oczy. Z zamkniętymi oczami będziesz mógł zobaczyć o wiele więcej. Rób tak zawsze, kiedy się zgubisz. I nie chowaj tak łap. Twoje poduszki na łapach są bardzo wrażliwe. Korzystaj z nich – ciągnął, a ja szybko zmieniłem pozycję. – Kiedy dotykają ziemi, zbierają informacje. A gdy poczujesz mrowienie i zobaczysz w głowie złoty kolor, będzie to znaczyło, że jesteś na złotej drodze. Nie otwieraj oczu. Kiedy są otwarte, twój szósty zmysł jest osłabiony.

Myślałem o moich łapach, o tym, co czułem, dotykając nimi wilgotnej ziemi. A czułem mrowienie, jakbym dotykał poduszkami trzmiela. Docierało głęboko spod ziemi i nie było ograniczone do jednego miejsca, tylko płynęło strumieniem. Ale nie była to woda. Ani ogień.

– Co to jest? – spytałem Ducha Lwa.

– Czysta niebiańska energia – odparł. – Miałeś taką w świecie duchowym, Timba. Nie pamiętasz?

– Nie.

– Wspomnienia są ukryte w twojej podświadomości – tłumaczył Duch Lwa, którego głos zrobił się głębszy. – Zanim zjawiłeś się na tym świecie, przekroczyłeś rzekę zapomnienia i stąd ta blokada. Twoim przeznaczeniem jest bycie odważnym i kochającym kotem, przywódcą, prawdziwym wspierającym kotem.

– Wspierającym kotem? – powtórzyłem zdziwiony.

– Tak. Kotem, który jest tak ważny, że człowiek nie może się bez niego obejść. I myślę, że wiesz, kto jest tym człowiekiem, Timba.

– Leroy. – Nie potrafiłem ukryć zawodu. – Ale wolałbym, żeby to była Angie.

– Angie jest twoim ziemskim aniołem. Kocha cię, lecz nie jest zdana na

ciebie. A Leroy tak. Jesteś pierwszą istotą, która obdarzyła go bezwarunkową miłością.

– Naprawdę?

Była to myśl tak obłądana, że obaj zamilkliśmy. Potem całkowita cisza przerodziła się w mruczenie. Czuję, jak Duch Lwa rozplywa się w powietrzu niczym obłok pary wodnej... Niby ciągle tam był, ale zniknął!

Skupiłem się na jego słowach, zamykając oczy i trzymając poduszki łap na ziemi, by czuć „czystą niebiańską energię”. Vati to wiedział, uświadomiłem sobie, i w tej samej chwili mój piękny, wspaniały brat pojawił się w wysokiej trawie. Szukał mnie.

– Rozchmurz się, Timba – powiedział.

Jego oczy rzucały psotne błyski. Wszedł do beczki i zaczął szaleć z patykami i słomkami, robiąc straszny rumor. Potem skoczył na mnie i dał susa w powietrze, wyzywając mnie na pojedynek zapaśniczy. Wachlowaliśmy ogonami i robiliśmy do siebie miny, aż wreszcie potoczyliśmy się po ziemi w płątanie wierzgających łap. Koniec końców, ganialiśmy się dziko po ogrodzie, podnieceni i rozradowani.

Co ja bym zrobił bez mojego niesamowitego brata?

11. Krzyk anioła



Święta upłynęły nam na jedzeniu indyka, w blasku migoczących lampek choinkowych. Angie zrobiła dla nas domek do zabawy z dużego kartonowego pudła i dostaliśmy po nowej myszce z kocimiętką. Wychodziliśmy do zamrażniętego ogrodu, skąd wracaliśmy z oszronionym futerkiem i wąsami. Angie strasznie się śmiała i robiła nam zdjęcia, gdy Vati i ja grzaliśmy brzuchy przy kominku. Zdjęcia szczęśliwych kotów.

Byłem zachwycony migotaniem lampek i z przyjemnością przyglądałem się, jak Leroy rozpakowywał swoje prezenty. W jednej z paczek znajdował się srebrny laptop i wtedy pierwszy raz w życiu usłyszałem, jak Leroy mówi „dziękuję” ze szczerym zachwytem w oczach. Wydawał się oszołomiony i siedział na podłodze, wpatrując się w swoje prezenty, podczas gdy Vati i ja bawiliśmy się podartymi, szeleszczącymi papierami. Prawdziwe szczęście.

Duch Lwa próbował mnie ostrzec, że to się może zmienić.

– Święta to dziwny czas dla ludzi – powiedział. – Zbyt wiele sztucznego szczęścia, które zapada się w czarną dziurę.

Dwa dni później przekonałem się, co miał na myśli.

Leroya zabrała jego opiekunka społeczna na wizytę u matki. Janine, która została odnaleziona w odległym mieście, zgodziła się na regularne odwiedziny syna w towarzystwie opiekunki. Te wizyty mąciły spokój Leroya, który wracał z nich humorzasty i smutny. Zaraz po wyjściu Leroya Graham wręczył Angie list. Wyglądał na skruszonego, jak pies, który wykopał dół na trawniku.

– Co to? – Angie usiadła na sofie, rozkładając białą kartkę.

Graham stał nad nią, przestępując z nogi na nogę, i czułem, że jego serce bije o wiele za szybko.

Oczy Vatiego rozblęły dziwnym żółtym światłem. Przeczuwając kłopoty, natychmiast wdrapał się na najwyższą półkę regału i siedział tam skulony i czujny. Ja leżałem wyciągnięty na dywanie, skąd nie zamierzałem się ruszać.

Nagle pokój wypełniła lodowata cisza. Odwróciłem się, by obserwować Angie. Jej aura iskrzyła, myśli wirowały w głowie. Uchwyciła się kurczowo

oparcia sofy i wykrztusiła:

– Nie możesz mi tego zrobić, Graham.

Graham stał jak pluszowy miś, z nieruchomymi, szklanymi oczami, i szarpał palcami kołnierzyk.

Skóra Angie płonęła czerwienią.

– To mój dom, Angie. Nie jesteśmy małżeństwem – powiedział cicho Graham.

– Ty DRANIU! – Angie poderwała się z sofy i krzyczała w sposób, którego nigdy nie zapomnę. Krzyk anioła jest najbardziej przeraźliwym dźwiękiem na Ziemi.

Wstrząśnięty do granic, wskoczyłem szybko na parapet i schowałem się za aksamitną zasłoną. Szyba była chłodna, za oknem zimowy wiatr szalał w ogrodzie, rozwiewając śnieg.

– Włożyłam w ten dom tyle MIŁOŚCI. – Słowa Angie atakowały Grahama niczym osy. – Tyle PRACY. To było takie ponure miejsce, zanim tu zamieszkałam. Wykorzystałeś mnie, Graham. Zdradziłeś mnie. Kim jest ta cholerna kobieta? – Znów krzyczała, z dłońmi wczepionymi we włosy.

– Nie przeklinaj, proszę – powiedział chłodno Graham. – A ona na imię ma Lisa. – Pogrzebał w komórce. – Mam tu jej zdjęcie, zobacz... bardzo ładne. To urocza dziewczyna, polubiłabyś ją.

– Polubiłabym?! – Angie porwała list Grahama na kawałki, które opadły na dywan jak płatki śniegu.

Kłótnia trwała w najlepsze, ale do mnie docierały jedynie jej strzępy. Ukryty za zasłoną patrzyłem na śnieg. Zerknąłem na Vatiego; obserwował to samo. Porozumieliśmy się telepatycznie, że później wyjdziemy na dwór.

– A co z Leroyem? – zapytała Angie. Patrzyła na Grahama rozgorączkowanym wzrokiem. – Tak długo walczyłam, żeby być jego rodziną zastępczą. Dopiero co się tu zadomowił, a ty pokazujesz nam drzwi!

– Wszystko, co mam ci do powiedzenia, jest w tym liście – odparł Graham. – Lepiej poskładaj go do kupy i przeczytaj. Albo włącz laptop. Na wszelki wypadek wysłałem ci go mailem. Nie zamierzam tu stać i się kłócić. Mam próbę.

– Och, jasne... Idź sobie! – wrzasnęła Angie. – Ty pozbawiony serca, kłamliwy DRANIU!

Graham wyszedł, trzaskając drzwiami. Chwilę później usłyszeliśmy warkot odjeżdżającego samochodu. Patrzyłem na jego czerwone światła znikające w wirującym śniegu.

Pobiegłem do Angie, która siedziała na sofie. Wydawała się sparaliżowana szokiem.

– Och, Timba! Słodki, kochany kotek. – Płakała w moje futerko, a ja czułem oprócz jej bólu także jej wdzięczność. Przywarłem do jej piersi i rozciągnąłem się,

chcąc jej oddać całe moje ciepło. Mruczałem głośno i wyciągałem łapki, by dotykać jej rozpalonej twarzy. Ledwie mogłem znieść jej ból. Kosztowało mnie wiele wysiłku, żeby z nią zostać, ale wiedziałem, że muszę. Kłęby śniegu uderzyły w okno. Chciałem się bawić i po prostu być kotem.

Angie sięgnęła po telefon.

– Mogłabyś przyjść, Lauro...? Proszę... Przeżyłam prawdziwy szok.

Parę minut później Laura już była i strzepywała śnieg z kurtki. Zdjęła buty i usiadła obok Angie na sofie.

– Boże, wyglądasz okropnie, Angie – powiedziała z troską. – Co się stało?

Po krótkim milczeniu Angie dała upust swoim uczuciom, prawie zrzucając mnie z kolan. Udałem, że niczego nie zauważyłem, i nadal mruczałem.

– Graham... miłość mojego życia... wyrzuca mnie z domu.

– CO?! Nie może tego zrobić!

– Ma inną kobietę. – Angie załkała gorzko. – Jak ja jej nienawidzę! Lisa, tak ma na imię... i jest wszystkim tym, czym ja nie jestem. Śpiewaczka o twarzy lalki Barbie... Och, miał czelność pokazać mi jej zdjęcie, możesz w to uwierzyć?

– Co za brak wyczucia. To było okrutne. – Laura siedziała, obejmując Angie, a jej oczy były pełne troski.

– I jest taką wspaniałą gospodynią... Te babeczki i błyszczące ozdóbki – chlipała Angie. – I, wyobraź sobie, jest w ciąży... Boże, to boli mnie najbardziej. Tak BARDZO pragnęłam dziecka, ale nie mogłam donosić ciąży... Trzy razy poroniłam. To takie niesprawiedliwe. Czym sobie na to zasłużyłam? Powiedz mi, Lauro.

– Niczym – orzekła stanowczo Laura. – Jesteś wspaniałym człowiekiem, Angie. I fantastyczną przyjaciółką... I pomyśl tylko, czego tu dokonałaś. To miejsce wyglądało jak wysypisko.

– Tak ciężko pracowałam. Włożyłam całe serce w ten związek. Graham nigdy niczego nie zauważa... a kiedy traciłam te maleństwa, on... on oczekiwał ode mnie, że po prostu będę żyła dalej, jak gdyby nic się nie stało... I starałam się to robić, Boże, jak bardzo się starałam. Nikt tego nie wie. Może powinnam była rozpaczać... ale to nie ja. Jestem pozytywną osobą. Czemu mnie to spotkało? CZEMU? – Głos Angie zrobił się nienaturalnie piskliwy.

– Nie zadrećzaj się takimi pytaniami, Angie. Po prostu życie bywa czasem okrutne.

– To nie życie jest okrutne. Tylko ON.

– Czy te skrawki papieru na podłodze to jego list? – zapytała Laura.

Angie podniosła się.

– Możesz potrzymać Timbę? – spytała i trafiłem na kolana Laury, która pachniała końmi. – Wysłał mi go również mailem. – Otworzyła laptop i ekran zamigotał, budząc się do życia. – Masz... przeczytaj.

– Nie wzięłam okularów – powiedziała Laura.

– No to ja ci przeczytam. – Angie wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać: – „Droga Angie”... To „droga” mógł sobie darować. „Wiem, że będziesz zła, ale czuję, że nadszedł czas, żebyśmy się rozstali. Nasz związek przestał spełniać moje oczekiwania, a poza tym miałem szczęście poznać Lisę, uroczą dziewczynę, śpiewaczkę operową jak ja. Znamy się od dwóch lat...”. Ten drań spotyka się z nią od DWÓCH LAT. „...i Lisa spodziewa się mojego dziecka. Ma prawo mieszkać tu ze mną. Toteż...”. „TOTEŻ”! Co za pedant! „...jestem zmuszony prosić Cię, byś znalazła sobie inne mieszkanie i wyprowadziła się tak szybko, jak tylko będziesz w stanie. Dziękuję Ci za wszystkie szczęśliwe lata, które przeżyliśmy razem. Twój Graham”.

– Uspokój się, Angie... Nie... nie niszczyć laptopa. – Laura przytrzymała rękę Angie.

– Chciałabym go rozwalić mu na głowie – warknęła Angie.

Vati patrzył na mnie z góry regału.

– Czemu turlasz się i mruyczysz w samym środku tego ludzkiego zamieszania? – zapytał mnie telepatycznie.

Odpowiedziałem mu natychmiast w ten sam sposób.

– Bo jestem wspierającym kotem. To mój obowiązek.

– Nie niszczyć swoich rzeczy! – zawołała Laura.

Angie zatrzymała wzrok na koszuli Grahama, którą wcześniej prasowała. Wstała i zerwała ją z wieszaka. Darła ją niczym kot rozrywający kawał mięsa i wyrzucała skrawki wysoko w górę. Zerknąłem na Vatiego. Czy powinniśmy się bawić tymi kuszącymi strzępami podartej koszuli? Vati uważał, że nie. Ale ja byłem w buntowniczym nastroju. Zeskoczyłem z sofy świadomy, że moje oczy zrobiły się czarne z podniecenia. Wziąłem w pysk długi strzęp koszuli i poszedłem do kuchni. Potrzebowałem śliskiej podłogi, żeby się z nim okręcać.

– Niesie to na dwór – powiedziała Laura i nagle obie kobiety wybuchły histerycznym śmiechem.

Hmm. Ja tylko wywiązywałem się ze swoich obowiązków wspierającego kota... A dzisiaj to było przemienienie łez w śmiech.

Kiedy Laura poszła, wróciłem na kolana Angie, która znów zaczęła płakać, tym razem cicho.

– Dziękuję, Timba – zaszlochała. – Dlaczego wszechświat nam to robi?

Spojrzałem na Vatiego, który nadal siedział na regale, sugerując mi, żeby zszedł na dół i pomógł mi pocieszać Angie. Zszedł, ciągle z tym dziwnym wyrazem oczu, ale nie podszedł do Angie. Usiadł na parapecie, tyłem do nas, zafascynowany śniegiem sypiącym teraz wielkimi płatkami.

Angie przestała rzucać gromy i była niepokojąco cicha. Wpatrywała się w podłogę, ani razu nie spoglądając na śnieg. Ufałem Angie. Byłem pewien, że

zabierze mnie ze sobą, gdziekolwiek pójdzie. Vatiego też.

Ale Vati wyraźnie określił swoje stanowisko. Zszedł z parapetu i unikając Angie, wskoczył na ulubiony fotel Grahama. Nieśpiesznie ułożył się na pozostawionym tam jego niebieskim swetrze i zapadł w sen.

Byłem wstrząśnięty. Vati właśnie oświadczył, że zamierzał zostać z Grahamem.

Kochałem mojego brata. Potrzebowałem go.

Teraz ja czułem się zdradzony.

Mijały tygodnie, a Angie nie robiła nic poza siedzeniem w oknie, patrzeniem na ogród i płakaniem. Czasem rozmawiała z Laurą, kiedy ta przychodziła, przynosząc kwiaty i uściski. Pewnego dnia Laura pokazała jej przebiśniegi, opierające się dzielnie zimowemu wiatrowi. Całe ich skupisko znajdowało się pod naszą jabłonką.

– Nie mogę na nie patrzeć – powiedziała Angie. – Razem z Grahamem zasadziliśmy je po tym, jak się tu wprowadziłam. Nie jestem w stanie patrzeć na nic pięknego. Z wyjątkiem Timby i Vatiego.

Kiedy Leroy był w pobliżu, Angie starała się wyglądać na szczęśliwą. Ale choć robiła, co mogła, wyczuwał, że coś jest nie tak.

– Czemu jesteś smutna, Angie? – pytał i przynosił jej prezenty, własnoręcznie zrobione kartki i rysunki lwów.

– To jest genialne! – wykrzyknęła, kiedy wręczył jej rysunek lwa wykonany białą kredką na czarnym papierze. – Co za wspaniała falująca grzywa... i te łapy... A jego oczy to prawdziwa rewelacja! Są pełne życia.

Leroy promieniał.

– To mój najlepszy rysunek – powiedział – ale możesz go zatrzymać. Zrobię jeszcze lepszy.

Angie z dumą oprawiła rysunek i powiesiła go w kuchni nad lodówką, obok plakatu z białymi lwami.

– Czy nie powinnaś zdejmować obrazków, zamiast wieszać nowe? – zapytał Graham.

– Nie martw się, mam swoje plany. – Angie spojrzała na niego chłodno.

– Zechcesz je zdradzić?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Wzięła mnie na ręce i wyszliśmy na dwór. Południowe słońce oślepiało nas swoim blaskiem, gałęzie jabłonki połyskiwały szronem. Na jednej z gałęzi wisiało samotne jabłko, przypominając o czasie obfitości. Przebiśniegi drżały lekko, jakby poruszane przez jakieś stworzenie.

– Pszczoła! – krzyknął Leroy. – Zobacz, Angie. Jest ogromna. Czemu tu lata? Jest za zimno dla pszczoł. – Wypuścił z ust obłok pary.

– Och, ona ma futerko – wyjaśniła Angie.

– Ale gdzie ona mieszka? I skąd wiesz, że to ona?

– To pewnie królowa trzmieli – odparła Angie. – Ma przytulne gniazdo pod ziemią.

– Jest odważna – stwierdził Leroy. – Królowa pszczoł musi być odważna.

Nie pierwszy raz słowa Leroya podziały na Angie mobilizująco. Wyprostowała się i zaniósła mnie do furtki, skąd rozciągał się rozległy widok na okolicę.

– Widzisz te ciemne wzgórza, Timba? – zapytała. – Tam pojedziemy. Daleko stąd, za te wzgórza, za lśniąca rzekę. Odnajdziemy tam mały szeregowy domek z ogródkiem, należący do mojej mamy.

– Ja też pojedę? – spytał zaniepokojony Leroy, przysuwając się bliżej.

– Tak, pojedziesz. – Angie uśmiechnęła się. – I Timba, i Vati. Tylko musimy trzymać kciuki, żeby dostała pracę.

– Czy twoja mama jest tam teraz? – dążył Leroy. – Mogłaby być moją babcią.

– Niestety nie. Na pewno chciałyby być twoją babcią, ale umarła trzy lata temu i zostawiła mi domek. Wynajmowała go młoda para, ale teraz jest pusty, więc możemy tam zamieszkać. Może będziemy musieli go odnowić... Ale pomożesz mi, prawda? Będzie fajnie.

– Będę mógł namalować lwy na ścianach?

– Tak, będziesz mógł namalować jednego lwa na każdej ścianie. Wspaniały pomysł. – Oczy Angie błyszczały i znów przypominała dawną siebie.

– A co z moją mamą? – spytał Leroy. – Nie będzie wiedziała, gdzie jestem.

– Będzie wiedziała. Podamy jej adres i będzie mogła przyjechać w odwiedziny.

– Nie wiem, czy się pojawi – mruknął ze smutkiem Leroy, kopiąc swoją małą stopą oszronioną trawę. – Mama mnie nie chce, prawda, Angie?

– Ależ chce, Leroy. Po prostu nie czuje się dobrze i musi przez jakiś czas pobyc sama.

Leroy pokręcił głową.

– Nie chce mnie. Wiem o tym.

Angie przytuliła Leroya.

– Ja cię chcę – powiedziała miękko. – Będę przy tobie, niezależnie od wszystkiego. Okej?

– I Timba?

– I Timba. On cię kocha, prawda, Timba?

Zamruczałem i Leroy wyciągnął rękę, żeby mnie pogłaskać. Staliśmy na zimnie i patrzyliśmy na odległe wzgórza. Angie przedstawiła mi zarys naszej podróży. Ciemne wzgórza, lśniąca rzeka, miejsce odległe od tego, w którym się urodziłem. Nie chciałem jechać.

– Nie bój się, Timba – powiedziała Angie, jakby czytała mi w myślach. – Ty i Vati będziecie bezpieczni w eleganckim koszyku na tylnym siedzeniu mojego auta.

Parę dni później Angie otworzyła swój laptop i jej aura pojaśniała. Przez chwilę wpatrywała się w ekran, a potem poderwała się, krzyząc:

– TAK! – Zaczęła tańczyć po pokoju, pstrykając palcami. – Mam pracę! Dziękuję ci, wszechświecie!

W dniu wyprowadzki byłem tak zły na Vatiego, że go zaatakowałem... na poważnie.

– Zostaję z Grahamem – powiedział stanowczo.

– Nie możesz tego zrobić! – zaprotestowałem. – Jesteśmy braćmi. Potrzebujemy siebie nawzajem.

– W takim razie powinieneś zostać. – Vati dał mi buziaka w nos, ale nie odwzajemniłem się tym samym. Byłem zbyt zły na całowanie.

– Ale przecież jestem twoim obrońcą – przypomniałem mu. – I zawarliśmy pakt... Dwa czarne kocięta kontra reszta świata.

– To było dobre dla kociaków – odparł Vati. – Teraz jesteśmy kotami.

– Angie uratowała cię, żebyśmy mogli być razem.

– I byliśmy razem. Teraz nadszedł czas, żeby pójść dalej.

– Graham nie będzie dbał o ciebie tak jak Angie – ostrzegłem. – A Lisa nie lubi kotów.

– Mnie lubi. Uważa, że jestem fajny.

– Ale może ci zrobić coś strasznego, Vati. – Ledwie wypowiedziałem te słowa, stanęła mi przed oczami niepokojąca wizja chorego Vatiego, leżącego na stole u weterynarza. Potem zobaczyłem go skulonego żałością w kącie sofy, zszokowanego i przygnębionego, tak samo jak wcześniej Angie. – Proszę, nie rób tego, Vati – błagałem.

– Zostaję z Grahamem – odparł uparcie. Jego łapy były złączone, a koniuszek ogona drgał.

Ogarnięty furją, rzuciłem się na niego. Toczyliśmy się po podłodze, piszcząc i miaucząc. Po raz pierwszy mieliśmy wysunięte pazury i raniliśmy się nawzajem. Ugryzłem Vatiego w ucho i uciekł na górę. Pognałem za nim i osaczyłem w kącie korytarza. Wachlując ogonami, patrzyliśmy na siebie jak dwa wściekłe smoki. Z otwartego pyszczka Vatiego wydobywało się groźne warczenie, ale jego szeroko otwarte oczy były pełne niedowierzania.

Vati był gibki i silny, ale ja byłem wystarczająco ciężki i wściekły, żeby go zdominować. Moglibyśmy się poważnie poranić, gdyby Leroy nie zainterweniował.

– Timba i Vati walczą ze sobą! – krzyknął do Angie, która pakowała książki do kartonów.

– Och, tylko się bawią.

– Nie... walczą naprawdę. Vati ma w pysku kępkę sierści Timby.

Leroy złapał Vatiego, żeby go odciągnąć. Mój brat szamotał się dziko, z wysuniętymi pazurami, zostawiając na dłoniach i ramionach Leroya długie czerwone zadrapania. Leroy pogonił Vatiego na dół i położył się na podłodze, patrząc gniewnie pod sofę i złorzecząc:

– Ty wstrętny kocie, skrzywdziłeś mojego Timbę i podrapałeś mnie.

– Nigdy nie wkraczaj między dwa walczące koty – poradziła mądrze Angie, opatrując zadrapania Leroya i uspokajając go.

Jeść, pomyślałem i udałem się do kuchni, miaucząc. Jak można się było spodziewać, przyszła Angie i mnie nakarmiła.

– Wszystko w porządku, Timba? – zapytała, przeczesując palcami moje futerko. – Jesteś trochę potargany, ale masz tak gęste futro, że nie będzie ci brakowało małego ubytku.

Vati został pod sofą.

Wkrótce nadszedł czas odjazdu i Angie włożyła mnie do luksusowego koszyka podróżnego. Było w nim wystarczająco dużo miejsca dla dwóch kotów.

Graham stał milczący w oknie, z Vatim na rękach.

Nawet się nie pożegnałem z moim ukochanym bratem.

A Angie nie pożegnała się z Grahamem, tylko wsiadła do samochodu, wyprostowana, z dzielnym uśmiechem na twarzy.

Rozstania były bolesne.

Odjeżdżając, mijaliśmy bramę końskiej łąki. Stała tam Poppy, rżąc przeraźliwie i kopiąc kopytem w bramę. Angie zatrzymała samochód i wysiadła.

– Zostań tu, ja zaraz wrócę – powiedziała Leroyowi i pobiegła do Poppy.

Przeraźliwe rżenie ustąpiło miejsca cichemu, powitalnemu. Poppy pochyliła łeb, jej kasztanowa grzywa łopotiała na wietrze, a kochające oczy były pełne niepokoju. Angie zarzuciła ręce na szyję klaczy, przywierając do niej, jakby nie zamierzała jej nigdy puścić. Jej ramiona drżały i wiedziałem, że płacze.

– Do widzenia, moja kochana Poppy – załkała. – Laura będzie się tobą opiekować, a pewnego dnia... pewnego dnia znów będziemy razem. Dziękuję ci za wszystkie przejażdżki – urwała, próbując walczyć ze łzami. – Angie... zawsze... zawsze będzie cię kochać – wykrztusiła łamiącym się głosem.

Może jeszcze długo ścisłałaby Poppy, gdyby nie to, że zatrzymał się za nami samochód, który nie mógł nas wyminąć na wąskiej drodze.

– Sorry, chłopaki! – Angie wróciła do auta i odjechała, zostawiając Poppy patrzącą za nami smutnym wzrokiem.

Nasza trójka wyruszyła w wielką podróż. Za ciemne wzgórza, za lśniącą rzekę. Angie, Leroy i ja. Dzielna połowa rozbitej rodziny.

12. Po drugiej stronie rzeki



Duch Lwa zdołał porozmawiać ze mną, gdy pędziliśmy samochodem Angie. Ciągle miauczałem, chcąc, aby świat dowiedział się, jak bardzo jestem smutny z powodu rozłąki z Vatim i jak bardzo nie chcę być samotnym kotem zmuszonym podejmować samodzielnie decyzje. Jak bardzo się boję mimo wspaniałego koszyka podróżnego. Jak bardzo pragnę wrócić do domu.

Leroy stale odwracał się i mówił do mnie:

– Wszystko w porządku, Timba. Będziemy mieszkać w WALII. Są tam góry i pociągi parowe.

– Na Timbie nie robi to wrażenia – powiedziała Angie. – Lepiej powiedz mu, że będziemy mieszkać w przytulnym domu z kominkiem i kuchnią, gdzie znajdzie miskę tuńczyka.

– Rozchmurz się, Timba. Dostaniesz ogromną miskę whiskasa – oznajmił Leroy. – I może w sąsiednim domu mieszka kot, z którym będziesz mógł się bawić.

Słyszałem go, ale nie mogłem przestać miauczeć. To było jak płacz. Jednak obecność Leroya trochę pomagała. Jego duże oczy patrzyły na mnie z troską, jego palec przeciskał się przez zamknięcie koszyka, niosąc odrobinę pociechy kotu pogrążonemu w żalu i smutku.

Ciemne wzgórza, które pokazała mi Angie, wydawały się tak samo odległe jak na początku podróży. A co do lśniącej rzeki... Nigdy nie widziałem lśniącej rzeki, ale wiedziałem, że rzeki mają coś wspólnego z wodą. Złe wieści dla kota!

Wyczerpany zamartwianiem się umilkłem i próbowałem zasnąć. Kiedy zamknąłem oczy, usłyszałem głos Ducha Lwa.

– Nie śpij, Timba – zagrzmiał. – Zachowaj czujność podczas tej podróży, bo któregoś dnia będziesz musiał znaleźć drogę powrotną. Wypatruj kamiennych wież i samotnych sosen na szczytach wzgórz. Zapamiętaj kształt wzniesień.

Kiedy mówił, przypomniałem sobie wzgórze z kamienną wieżą widoczne z czubka jabłonki. Teraz zbliżaliśmy się do niego.

- Wzgórze Glastonbury – powiedziała Angie.
- Kto mieszka w tej wieży? – zapytał szeptem Leroy. – Olbrzym?
- Nie. Nikt tam nie mieszka. To stara wieża kościelna.
- Mieszka tam Bóg?
- Kto to wie – odparła Angie.

Duch Lwa powiedział, że bym zapamiętywał kształty wzniesień, więc wyteżalem wzrok, usiłując zapisać w pamięci widok wzgórze z kamienną wieżą. Jechaliśmy dalej i ciemne wzgórze zmieniły barwę na zieloną, kiedy się do nich zbliżyliśmy. Na szczycie jednego z nich była wysoka metalowa wieża, która sięgała nieba. Czulem zmieniającą się energię. Powietrze było chłodniejsze, ziemię porastały brązowe wrzosa, na zielonych łąkach trawy wypasały się owce. Na grzbiecie wzgórze poczułem, że nie ma już odwrotu, i zacząłem opłakiwać dom, który kochałem. I Vatiego. Grahama i Poppy, i ciepły dywanik przy kominku.

To było niesprawiedliwe.

Żałowałem, że nie jestem tak dzielny jak Angie. Parła naprzód, czujna i ożywiona jak wiewiórka, gotowa na zmianę, gotowa podjąć ryzyko i dać szansę nieznanemu.

- Dom to nie musi być miejsce – powiedziała. – Dom to ci, z którymi jesteś.

Leroy też się nie bał. Dla niego była to przygoda.

– Wdrapałbym się tam. Na sam czubek – powiedział, kiedy mijaliśmy metalową wieżę. – Wcale bym się nie bał. Z góry mógłbym zobaczyć Afrykę i białe lwy!

Angie uśmiechnęła się.

- Może i mógłbyś.

Drogocenny plakat z białymi lwami z Timbavati leżał zrolowany w bagażniku, na torbach, pudłach z książkami i zabawkach Leroya.

Duch Lwa w dalszym ciągu kazał mi zapamiętywać charakterystyczne elementy krajobrazu, ale wyczerpany stresem w końcu przysnąłem. Samochód sunął monotonnie, a kiedy się obudziłem, słońce było wyżej na niebie, a wzgórze wyglądały jak ciemna smuga, tym razem daleko za nami. Otrzeźwił mnie podekscytowany krzyk Leroya.

– Rety, ale OLBRZYMI! – zawołał. – Spójrz na ten most. To most wiszący, prawda? Prawda, Angie?

Usiadłem, żeby zobaczyć.

– Patrz, Timba! Tam jest rzeka – powiedział Leroy. – Mógłbyś łowić w niej ryby. Czy żyją w niej tuńczyki, Angie?

Zobaczyłem lśniącą rzekę wijącą się jak gigantyczny wodny wąż i rozpięty nad nią długi, długi most. Dalej były kolejne wzgórze, porośnięte drzewami.

– Nie odzywaj się do mnie przez chwilę, muszę się skupić – powiedziała Angie. Wyglądała na zestresowaną, gdy włączaliśmy się w głośny sznur

samochodów.

Zebrałem siły, czując dudnienie otaczających nas ciężarówek, kiedy pędziliśmy w stronę rzeki. Z ich rur wydechowych wydobywały się gorące, trujące spaliny. Huczało mi w uszach od ryku silników, gardło piekło mnie od miauczenia. Leroy spojrzał na mnie.

– Wszystko okej, Timba.

Ale ja byłem przerażony. Dotknął mnie.

– Timba się jeży! – powiedział, ale Angie mocniej ścisnęła kierownicę i jechała dalej, jeszcze bardziej przypominając podekscytowaną wiewiórkę.

Znowu zamiauczałem; tym razem był to głośny jęk udręczenia. Moje życie wymknęło się spod kontroli. Byłem uwięziony. Bez mojej zgody wieźli mnie w nieznane.

Leroy piszczał z podniecenia, podskakując na swoim siedzeniu.

– Możemy się zatrzymać? Proszę, Angie... Chcę popatrzeć na rzekę. I wdrapać się na most. Mógłbym się wdrapać wysoko... Och, proszę, zatrzymaj się.

– Nie mogę. Jesteśmy na autostradzie.

– Proszę, Angie. Nigdy nie robisz tego, czego ja chcę. To nie fair. – Leroy kopał podłogę samochodu.

Angie odezwała się do niego surowo:

– Siedź spokojnie, bo jeszcze stracę panowanie nad samochodem. Tylko, na litość boską, nie wpadnij teraz w histerię, Leroy. Zostaw to sobie na później!

Na policzku Leroya błysnęła łza, ale pozostał cicho. Angie prawie nigdy na niego nie krzyczała i kiedy to robiła, wywierało to na nim wrażenie.

Pędziliśmy przez most. Rzeka płynęła daleko w dole i miałem wrażenie, jakbyśmy jechali niebiańską autostradą.

– Zapamiętaj ten most – powiedział Duch Lwa.

Jak mógłbym zapomnieć!

Gdzie jest teraz Vati? Jak daleko stąd? Gdyby tylko Angie zatrzymała się i otworzyła koszyk podróżny, wyskoczyłbym i pobiegł co sił w łapach do domu. Ale jakie szanse miałby kot na tej zatłoczonej drodze?

Moje miauczenie stało się jeszcze głośniejsze i bardziej żałosne. Prześladowała mnie myśl, że Vati, ten mądry, podjął dobrą decyzję, zostając w domu, a ja podjąłem złą.

– Musisz nauczyć się ufać – powiedział Duch Lwa. – Zaufaj Angie. Ona jest twoim ziemskim aniołem.

Teraz jechaliśmy spokojniejszymi drogami przez ciemny las, który przykuł moją uwagę. Nawet z samochodu czułem zapach drzew i mieszkających tam stworzeń.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powtarzała Angie i w końcu opuściliśmy las, zjeżdżając w dół w stronę miasteczka w zielonej dolinie.

Angie jechała dalej, ale ja chciałem, żeby się zatrzymała. Wyczuwałem niebezpieczeństwo. Ostrzeżenie przyszło w postaci zapachu... zapachu, który nie pasował do tej spokojnej, zielonej okolicy. Robił się coraz intensywniejszy.

– Timba się boi, Angie – powiedział Leroy. – Ma najeżony ogon.

Dlaczego Angie się nie zatrzyma? Dlaczego pcha się w to niezidentyfikowane niebezpieczeństwo? Nie chodziło o zapach... Chodziło o uczucie... gniewu i zniewolenia. Nie było ludzkie! Było zwierzęce. Bardziej zwierzęce niż kiedykolwiek byłbym w stanie to sobie wyobrazić.

– Zoo! – krzyknął Leroy i Angie zwolniła. Nie była przerażona jak ja, ale wyraźnie nie zachwycał jej ten widok. – Możemy tam pójść? – zapytał Leroy i zaraz sam odpowiedział na swoje pytanie, głośno wzdychając: – Rozumiem. Nie teraz! Ale pójdziemy tam kiedyś?

Angie przejechała powoli obok wysokich murów zwieńczonych drutem kolczastym i dwóch wysokich żelaznych bram.

– Nie wiedziałam, że wciąż istnieje – powiedziała. – Nie mogę uwierzyć, że go nie zamknęli. To prywatne zoo i zwierzęta nie są tu szczęśliwe. Czuję ich rozpacz. Jedźmy stąd.

Przyspieszyła i trochę się uspokoiłem, kiedy intensywny zapach osłabł. Miałem nadzieję, że nie będziemy mieszkać w pobliżu tego zoo.

– Nie pozwoliłaś zrobić mi niczego, co chciałem. – Leroy wyduł wargi i zaczął płakać. – Chciałem wspiąć się na most. I chciałem zobaczyć, czy są ryby w rzece. Potem chciałem zobaczyć, czy w lesie są niedźwiedzie... i nie pozwoliłaś mi. – Kopnął gniewnie podłogę samochodu.

Angie była dla niego łagodna.

– Och, nie płacz – powiedziała. – Biedny Leroy... Wiem, że nie jest ci łatwo, a mimo to byłeś TAKI grzeczny. Zrobimy te wszystkie rzeczy, kiedy się zadomowimy. Będziesz musiał mi pomóc z Timbą. Biedaczek jest przerażony, a ty tak dobrze sobie z nim radzisz.

Leroy od razu się uspokoił. Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

– Jestem teraz grzeczny, Timba – powiedział. – Nie bój się. Zaopiekuję się tobą.

Mimo planów ucieczki próbowałem zadomowić się w nowym miejscu. Angie postawiła mój koszyk w kuchni obok pieca, więc było mi przytulnie. Dom nie był cichy jak ten Grahama. Słyszeliśmy ludzi i ruch uliczny, a także huk wielkich, lśniących samolotów, sprawiający, że drżały filizanki. Z początku Leroy ciągle na nie patrzył i pytał Angie, dokąd lecą i dlaczego.

– Latają do Afryki?

Angie wzruszyła ramionami.

– Może... Tak, zdaje się, że jest połączenie z Johannesburgiem.

– To niedaleko Timbavati?

– Nie wiem, Leroy. Sprawdzimy później w internecie.

Angie nie przywiązała do tego zbyt wielkiej wagi, ale ja widziałem marzenia kłębiące się w głowie Leroya. Marzenia zbyt wielkie i śmiałe, by się nimi dzielić.

Kiedy pierwszy raz wypuścili mnie do małego ogródka, przypomniałem sobie, czego uczył mnie Vati. Sprawdziłem teren, chodząc powoli po trawie i wyczuwając łapami różne rodzaje energii. Odkryłem, w którym miejscu pod ziemią mieszkają krety. Odkryłem podziemne źródło. I znalazłem strumień energetyczny. W dziwnym miejscu, przy wielkim kamieniu w ścianie domu. Rozmowa z Vatem wydawała się możliwa, kiedy tam usiadłem, ale nie udało mi się nawiązać połączenia. Bardzo za nim tęskniłem.

Obserwowałem Angie, która przyzwyczajała się do nowej pracy i poznawała nowych przyjaciół. Wracała do domu zmęczona, a Leroy wymagał dużo uwagi. Domagał się jej miłości i pochłaniał całą pozostałą jej energię.

Miał obsesję na punkcie zoo i codziennie zamęczał tym Angie.

– Czemu nie możemy pójść? Nigdy nie byłem w zoo.

– Nie będę wyrzucać pieniędzy na wizytę w TAKIM MIEJSCU – oświadczyła Angie. – Jak będę miała czas, zabiorę cię do zoo z prawdziwego zdarzenia, gdzie troszczą się o zwierzęta.

– Ale ja chcę do tego – upierał się Leroy.

Widziałem wyraz jego oczu. Zamierzał udać się tam niezależnie od wszystkiego, z Angie lub bez. Czułem, że to pragnienie trawi jego duszę.

Na wiosnę Angie kupiła Leroyowi rower i kask. Leroy natychmiast zniknął. Kiedy żegnał się ze mną, jego oczy płonęły podnieceniem.

– Mam rower, Timba – powiedział szeptem. – Teraz mogę pojechać do zoo.

Siedziałem na parapecie i patrzyłem, jak wyjeżdżał rowerem na ulicę.

– Nie oddalaj się za bardzo, Leroy – zawołała z kuchni Angie. – Tylko do końca ulicy i z powrotem. I bądź ostrożny.

– Taak... okej. Na razie – odkrzyknął Leroy.

Oddalił się na pełnym gazie, pedałując z takim zapalem, że bałem się, czy rower się nie rozpadnie. W trakcie jazdy podrywał do góry przednie koło, które potem gwałtownie opadało.

Usiadłem w progu, czekając na jego powrót.

Wkrótce na ulicę wyszła Angie, wypatrując go pełnym niepokojem wzrokiem.

– Gdzie on pojechał?

Ja wiedziałem, ale jak miałem powiedzieć o tym Angie? Podążałem za nią w tę i z powrotem ulicą, z podniesionym ogonem, chcąc pomóc, i w końcu wzięła mnie na ręce. Próbowałem wysyłać jej obrazy, ale ich nie odbierała. Pozostało mi jedynie przytulać się do niej i mruzczyć, podczas gdy ona była coraz bardziej zmartwiona i zła na siebie.

– Jak mogłam być taka głupia? Boże, jeśli coś mu się stanie na głównej

drodze, nigdy sobie nie wybaczę.

W sprawę zaangażowała się nasza najbliższa sąsiadka, Issy. Na dwór wyszedł również jej kot. Usiadł i patrzył na mnie złym okiem. Był to gruby pręgowany kocur z klapniętym uchem, z którym nie udało mi się zaprzyjaźnić, choć skorzystaliśmy już nawzajem ze swoich kocich drzwiczek.

– Leroy jest takim impulsywnym, porywczym dzieckiem – powiedziała Angie do Issy.

– W dzisiejszych czasach nie można spuszczać małych z oczu – odparła Issy. – Zwłaszcza chłopców. Cieszę się, że moi są już dorośli. Wszyscy mieli rowery i deskorolki i pół życia spędziłam z nimi na ostrym dyżurze. Ale czasami musisz po prostu dać im wolną rękę i pozwolić, żeby uczyli się na własnych błędach. Tak myślę.

– Masz rację – przyznała Angie, choć nadal przeczesywała wzrokiem ulicę. – Ale Leroy miał taki kiepski start w życiu. Muszę go chronić przed nim samym.

– Chodź, wstawimy wodę na kawę – zaproponowała życzliwie Issy. – Zanim zdążymy ją wypić, będzie z powrotem. Zobaczysz, Angie.

Angie wyraźnie miała na to ochotę, ale pokręciła głową.

– Dzięki, Issy, to miło z twojej strony, ale nie mogę. Muszę go znaleźć. Lepiej pójść po samochód. – Postawiła mnie na murku otaczającym ogródek. – Zwrócisz na niego uwagę, Issy? Sprawdź park i inne miejsca. Nie mógł pojechać daleko.

Zamiauczałem. Leroy był już daleko, wiedziałem to i bardzo chciałem powiedzieć o tym Angie. Ale mogłem tylko patrzeć, jak odjeżdża, co gorsza w złym kierunku. Poszedłem usiąść w punkcie energetycznym przy wielkim kamieniu, żeby przywołać Ducha Lwa. Pojawił się natychmiast, roztaczając wokół siebie blask. Zapytałem go, dlaczego ludzie są tak ograniczeni, jeśli chodzi o zdolności komunikacyjne.

– Wieki temu pozbawili mowę ducha, przenosząc ją rylcem na kamień – powiedział. – Teraz mają do tego długopisy i klawiatury. Tylko to, co mogą zobaczyć i przeczytać, jest dla nich prawdą. Całkiem się odwrócili od telepatii, nazywając ją czarami.

– Czarami? – powtórzyłem. Czulem chłód rozchodzący się po moim ciele. Czy byłem kiedyś kotem czarownicy? Do mojej głowy napłynęły wspomnienia. Dumne wspomnienia. Byłem kotem czarownicy, a czarownicą była Angie! Porozumiewaliśmy się bez słów. Uzdrawialiśmy zwierzęta i rośliny, przemieszczaliśmy się złotymi drogami. To było moje najlepsze życie.

Duch Lwa widział moje myśli.

– Ludzie nadal mogą to robić – powiedział. – Muszą tylko sobie przypomnieć... i niektórym się to udaje. Dlatego koty są takie ważne. Ludzie są nimi zafascynowani. Koty komunikują się bez słów i są dobrymi nauczycielami.

– Jak mogę nauczyć Angie? Jak mogę się z nią teraz skontaktować?

– Kiedy będzie chciała się uczyć, przyjdzie i usiądzie z tobą – odparł Duch Lwa. – Tymczasem możesz jedynie być przy niej, pozwalać jej popełniać błędy i po prostu ją kochać. Niektóre błędy, jak pojechanie w złym kierunku, miały się wydarzyć. Są częścią planu. Angie nie może kontrolować Leroya. To, co on teraz robi, jest częścią jego przeznaczenia.

– A co on teraz robi? – spytałem, a Duch Lwa na chwilę umilkł. Jego oczy napotkały mój pytający wzrok.

– Połącz się ze mną – powiedział – to ci pokażę.

Staliśmy się jednością, gdy moja aura zlała się z jego blaskiem. Nie trzeba było słów, bym poznał jego myśli.

Najpierw pokazał mi rower Leroya. Leżał w plamach światła pod dębem, a czerwony kask połyskiwał wśród zgniłych liści i omszałych korzeni. Nigdzie nie było widać Leroya. Ale sierść na moim grzbiecie się podniosła i drgały mi wąsy. Ten zapach! Smród ścieśnionych zwierząt... ich odchodów, nagrzanym futer, ich strachu i rozpacz.

Kiedy zapachy zadomowiły się już w naszej świadomości, pojawiły się dźwięki. Nieznane, przeraźliwe ptasie krzyki i trzepot skrzydeł, szcęk zardzewiałego metalu, cienkie piski aktywnych, energicznych stworzeń, których nie potrafiłem zidentyfikować. Słuchaliśmy dalej. Wiatr zrywał płatki kwiatów i rozwiewał je, lwie łapy szurały po betonie w stałym, beznadziejnym rytmie. Lew chodził w tę i z powrotem, od ściany do ściany, nigdy nie docierając nigdzie indziej.

A potem zobaczyliśmy Leroya.

Uczepiony muru, ze stopami w szczelinach między cegłami, patrzył w górę, szukając przejścia między nitkami drutu zainstalowanego na szczycie ogrodzenia. Byłem poruszony. Leroy jest odważny. Odważniejszy ode mnie, a jestem kotem!

Bezpieczny w objęciach mojego Ducha Lwa przyglądałem się Leroyowi i próbowałem przesłać mu swoją miłość. Z trudem wdrapywał się coraz wyżej, czepiając się bluszczu, aż wreszcie był na tyle wysoko, żeby widzieć krążącego po klatce lwa. Na jego twarzy pojawił się pełen podziwu uśmiech. Lew uniósł łeb, pociągnął nosem i chodził dalej, jak gdyby nigdy nic. Widok człowieka nie był dla niego niczym nowym i nie zamierzał zawracać sobie tym głowy.

Leroy wyciągnął ręce w stronę drutu. Kiedy go dotknął, rozpętało się piekło. Ogłuszający ryk alarmu sprawił, że zwierzęta wpadły w panikę, a z budynku wyskoczył mężczyzna z łopatą w ręce. Omiótł groźnym wzrokiem szczyt muru i zobaczył Leroya.

– Co, U DIABŁA, tam robisz?! – ryknął. – Złaż natychmiast albo tam przyjdę i sam cię ściągnę.

Trzęsąc się ze strachu, Leroy zaczął się wycofywać. Usłyszeliśmy trzask

gałęzi bluszczu i Leroy spadł w ulewie liści. Rzucił się do ucieczki, wycierając krew z rąk, potem złapał rower i na niego wskoczył. Zostawiwszy kask w zgniłych liściach, popedałował jak szalony na drogę, kierując się w stronę domu.

W tym momencie Duch Lwa delikatnie oddzielił się ode mnie. Obaj wiedzieliśmy, że będę musiał wypełnić swoje obowiązki wspierającego kota, gdy Leroy dotrze do domu.

Kiedy w końcu pojawił się na ulicy, Angie chodziła w tę i z powrotem jak lew.

– Gdzie BYŁEŚ? – zapytała.

Leroy wzruszył ramionami.

– Nigdzie – powiedział.

Podbiegłem do niego z podniesionym ogonem i podczas gdy Angie rzucała gromy, mruczałem, łasiłem się i pokazywałem jej, jak należy witać zmęczone, strapione dziecko.

Przyzwyczailem się do nowego domu, ale i tak tęskniłem za starym. Kiedy byliśmy we trójkę, było w porządku, ale gdy Angie szła do pracy, a Leroy do szkoły, spędzałem długie godziny samotnie. Strasznie brakowało mi Vatiego. Tęskniłem też za Grahamem, Poppy, kurczakami i swobodą, jaką dawał duży ogród. Nasz ogródek był wciśnięty między inne, w których rządziły koty, które nie chciały się przyjaźnić. Moje terytorium było bardzo ograniczone. Wiosna była zimna i deszczowa, więc siedziałem całymi dniami w domu, albo przy kuchennym piecu, albo w oknie. Angie i Leroy bawili się ze mną, czesali mnie i wtedy byłem szczęśliwym kotem. Mimo to tęskniłem za szalonymi zabawami z Vatim.

W głębi serca nie czułem się tu jak w domu.

Angie siadała ze mną na kolanach, kiedy Leroy już spał, i dzieliła się ze mną swoim smutkiem. Tęskniła za Grahamem. Nienawidziła Lisy. Czuła się zdradzona.

– Ale musimy żyć dalej, Timba – mówiła. – Myśleć pozytywnie.

Mówiła też o Leroyu.

– Kocham tego chłopca. Bardzo chcę mu pomóc. Ma wielki talent i niezwykle marzenia. Musimy mu pomóc w ich spełnieniu, Timba. Prawda?

Zawsze zgadzałem się z nią, miauczając na „tak” i dużo mrużąc.

Pewnej niedzieli Angie i Leroy siedzieli przed jego laptopem, a ich aury iskrzyły. Zaciekawiony wskoczyłem na stół i popatrzyłem na ekran. Oglądali białe lwy!

– Nie chodź po klawiaturze, Timba.

Leroy delikatnie odsunął mnie na bok, ale ja chciałem dotknąć nosem nosa jednego z tych lwów. Wpatrywałem się jak urzeczony i czułem, że moja szyja robi się coraz dłuższa. Powoli wyciągnąłem się do przodu, z mrowiącymi z podniecenia wąsami, i delikatnie zrobiłem noski–noski. Lew nie zareagował. Angie i Leroy śmiali się ze mnie, ale ja wiedziałem, że udało mi się przekazać miłość temu

dzielnemu, wspaniałemu lwu z drugiego końca świata.

– Piszą tu, że ich futro może być bielsze od najbielszego śniegu – powiedziała Angie. – Biały lew jest najświętszym zwierzęciem Afryki.

– Ale one nie są albinosami – oznajmił Leroy. – Nikt nie wie, skąd się wzięły. To tajemnica! Przeczytajmy legendę jeszcze raz, dobrze, Angie? – Kliknął coś i z ekranu zniknęły interesujące zdjęcia lwów, ustępując miejsca tekstowi. – Prawie mogę już to przeczytać, ale musisz mi pomóc z długimi słowami.

– Posłuchaj tego – rzekła Angie i przeczytała: – „Nazwa Timbavati pochodzi ze starożytnego języka shangaan i oznacza miejsce, gdzie gwiazdne lwy przybyły na Ziemię”. WOW.

Leroyowi błyszczały oczy. Teraz on zaczął czytać na głos.

– „Timbavati leży wzdłuż trzeciej linii...” – przerwał, bo utknął na wyjątkowo długim i trudnym słowie. – Nie mogę tego przeczytać, Angie.

– Pomogę ci – odparła Angie i przeczytała: – „Timbavati leży wzdłuż trzeciej linii geomantycznej” – dokończyła.

– Co to jest? – zainteresował się Leroy.

– To linia energetyczna, złota droga oplatająca kulę ziemską – szepnęła Angie, a jej słowa tak mnie podekscytowały, że wydałem z siebie głośne, przeciągłe miauknięcie.

Znowu się roześmiali. Nie uważałem, żeby było to zabawne. Urażony wpatrywałem się w oczy Angie.

– Timba to rozumie, prawda, kochany kotku? – powiedziała czule, a ja odpowiedziałem potakującym miauknięciem.

Leroy pośpiesznie czytał dalej.

– „Sfinks znajduje się na tej samej linii”. – Znowu przerwał i spytał: – Co to jest sfinks?

– Wygoogluj sobie – odparła Angie.

Leroy wystukał coś na klawiaturze, po czym kliknął. Na ekranie pojawił się obraz ze starożytnym kamiennym sfinksem na pustyni. Przeszedł mnie dreszcz, gdy obudziły się wspomnienia. Przypomniałem sobie odległe czasy, sprzed wielu wieków, kiedy Vati i ja byliśmy dumnymi egipskimi kotami. Bawiliśmy się w gorącym słońcu i spaliśmy między potężnymi kamiennymi łapami sfinksa.

– To też rozumie. – Leroy spojrzał w moje oczy i w tym momencie zrozumiałem coś jeszcze. Leroy rozwijał umiejętność porozumiewania się za pomocą telepatii. Potrafił odczytać moje myśli. – Tęsknisz za Vatim, co, Timba?

Przeszedłem po zakazanej klawiaturze i pocałowałem Leroya w nos.

13. Wędrówka na południe



Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

W jednej chwili byłem zadowolonym kotem, a w następnej stałem przed największym wyzwaniem w moim życiu.

– Jesteś najlepszym kotem na świecie, Timba. – Angie przytuliła policzek do mojego futerka, a ja spojrzałem na nią, mrucząc z zadowoleniem. – Mam nadzieję, że nigdy cię nie stracimy.

Dziwne, że powiedziała coś takiego. Zupełnie jakby wyczuwała, że stoję u progu podjęcia bardzo ważnej decyzji. Traktowałem moje obowiązki wspierającego kota bardzo poważnie. Większość kotów czuwa tylko nad jednym podopiecznym. Ja miałem pod opieką dwoje ludzi. Angie, która ciągle cierpiała po rozstaniu z Grahamem, tęskniła za Poppy i starała się być ziemskim aniołem dla Leroya. I Leroya, który potrzebował mnie nawet bardziej.

Tamtego sennego popołudnia u schyłku lata powinienem był uważać moje życie za szczęśliwe. Powinienem być wdzięczny za dom, w którym kochano mnie i rozpieszczano. Byłem najprzystojniejszym kotem na ulicy i kiedy siedziałem na ogrodzeniu, podziwiali mnie wszyscy przechodnie. Mówili: „Jakiś ty śliczny!”, „Co za wspaniały kot” albo „Jesteś taki puszysty i przyjazny, szkoda, że nie jesteś moim kotem”. Napawałem się tymi pochwałami, które były jak hołdy od fanów. I jak zabezpieczenie. Wiedziałem, że gdybym poszedł za którymkolwiek z moich wielbicieli, zostałbym przez niego adoptowany.

Ale w moim życiu czegoś brakowało: Vatiego. Próbowałem przyzwyczaić się do jego nieobecności, tak jak Angie radziła sobie bez Grahama. Nadal śmiała się i uśmiechała, i po prostu żyła dalej. Ja też jakoś dawałem sobie radę aż do chwili, gdy ciemna chmura przesłoniła słońce i nie mogłem dłużej zwlekać z podjęciem przełomowej decyzji.

Siedziałem przy ścianie obok wielkiego kamienia, w miejscu, gdzie wykryłem strumień energetyczny, za pomocą którego mogłem kontaktować się z bratem. Jak dotąd, toczyliśmy pogodne rozmowy, nawet jeśli przekaz był trochę niewyraźny. Vati pojawiał się z podniesionym ogonem, lśniący i elegancki. Mówił, że jest mu dobrze z Grahamem i Lisą. Dowiedziałem się, że Lisa urodziła córeczkę,

Heidi, która chodziła po domu na czworakach jak kot.

Duch Lwa nauczył mnie, jak wyczuwać strumień energetyczny poduszkami łap i robiłem to teraz, nawiązując połączenie. Zobaczyłem uroczy mały pyszczek Vatiego z białą plamką na nosie. Otworzył na chwilę oczy, czarne i przerażone. Łapy zapiekły mnie boleśnie.

– O co chodzi? Co się stało? – zapytałem, ale Vati wydawał się niezdolny do podjęcia rozmowy. Próbowałem i próbowałem, ale nie odpowiadał. Złotą drogę zalała ciemność, docierając do mojego serca.

Siedziałem oszołomiony.

Coś strasznego stało się z Vatim.

Pobiegłem do Angie. Stała oparta o ogrodzenie i patrzyła na ulicę.

– Leroy powinien wkrótce wrócić ze szkoły – powiedziała, biorąc mnie na rękę.

Normalnie bym mruczał i inne takie, ale teraz pękało mi serce.

Musiałem ruszać w drogę.

Musiałem odnaleźć Vatiego.

Smutny i milczący polizałem moją ukochaną Angie po twarzy, która była nagrzana od słońca. Miałem ostatnią okazję, by okazać jej miłość. Myślałem o tym, że powinienem pożegnać się we właściwy sposób. Powinienem mruzczyć. Ale nie mogłem. Czuję się rozdarty.

Zdobyłem się tylko na długie spojrzenie w jej czule oczy i Angie natychmiast poznała, że coś jest nie tak.

– O co chodzi, Timba?

Nie będąc w stanie się pożegnać, wysunąłem się z jej ramion i zeskoczyłem na chodnik.

– Timba? Wszystko w porządku? Timba...

Miauknąłem cicho do Angie, a potem ruszyłem zdecydowanym truchtem w dół ulicy, ze zwieszonym ogonem i ciężkim sercem. Nie odwróciłem się, nawet gdy usłyszałem szkolny autobus i odgłos plecaka ciągniętego przez Leroya po ziemi. Miał ciężki dzień. A ja jestem wspierającym kotem. Co ja robię?

Jedyną pocieszającą myślą było to, że wyjadłem do ostatniego okruszka przepyszne jedzenie, które Angie podała mi na lunch. Byłem zdrowy i silny, miałem gęste i lśniące futerko. Powinno być mi ciepło w samotne noce podczas wędrówki na południe... z powrotem przez ciemny las, za lśniącą rzekę, ku zielonym wzgórzom, gdzie się urodziłem.

Angie myślała, że wrócę jak zawsze. Ufała mi i dawała dużo wolności; żaden kot nie mógłby sobie wymarzyć lepszego życia. Cierpliwie uczyła Leroya, jak powinien ze mną postępować, a on był pojętym uczniem. Nauczyłem się go kochać. A teraz będzie myślał, że go opuściłem.

Jeszcze długo słyszałem, jak Angie i Leroy mnie wołali, ale biegłem

automatycznie, jakby mój umysł i ciało funkcjonowały zupełnie niezależnie. Biegłem i biegłem przez kolejne ulice, nie przystając nawet na chwilę, by podnieść ogon i pozwolić komuś się pogłaskać, nie przejmując się ruchem ulicznym ani psami, nie zastanawiając się nad tym, którądy biec. Po prostu to wiedziałem. Zawierzyłem swojemu instynktowi i pozwoliłem, by mnie prowadził na południe. W końcu głosy i wspomnienia osłabły, a poczucie osamotnienia towarzyszyło mi jak mroczny cień.

Przekroczenie ulicy było czymś PRZERAŻAJĄCYM. Spędziłem dużo czasu skulony pod zaparkowanymi samochodami, czekając, aż droga będzie wolna. Oszacowanie prędkości samochodu było umiejętnością, której nie posiadałem, i po paru pomyłkach moja pewność siebie mocno ucierpiała. Wszystkie te ulice i spaliny przyprawiły mnie o ból głowy. Późnym popołudniem schroniłem się w ogrodzie. Furtka była otwarta, więc zakradłem się i schowałem pod krzewem z czerwonymi owocami. Oznaczyłem go i oparłem się o jego pień, czując, jak spokojna energia rośliny stabilizuje przyspieszone bicie mojego serca. Dobrze było odgrodzić się od ruchu ulicznego.

Wyteżałem słuch w nadziei, że usłyszę ostatnie nawoływania Angie i Leroya, ale byłem za daleko, zagubiony w głośnym mieście, którego nigdy nie zbadałem. Byłem domowym kotem, którego terytorium ograniczało się do sąsiednich ogródków. Nasłuchiwanie poruszyło bolesną strunę w moim sercu; pragnąłem po raz ostatni usłyszeć znajomy głos wołający: „Timba. TIMBA”. Kto teraz będzie wołać do mnie Timba?

Nikt nie będzie wiedzieć, kim byłem. Zdecydowałem się porzucić dom, a teraz stało się jasne, że porzuciłem także swoją tożsamość. Od teraz byłem zwykłym kotem. Bezdomnym i bezimiennym. Skoro zamierzałem żyć bez miłości, musiałem być twardy.

Burczenie głodnego brzucha sprawiło, że obudził się mój instynkt łowcy. Rozejrzałem się po nieznanym ogrodzie i zobaczyłem kosa skaczące po trawniku. Mój ogon drgnął. Schwytanie któregoś nie byłoby trudne. Niestety nie tak wygodne, jak zatopienie zębów w smacznej kolacji, którą teraz nakładałby mi Leroy.

Ale zaraz, w tym domu są kocie drzwiczki! Byłem silny i zdeterminowany. Czuję, że poradzę sobie z każdym kotem, jakiego mogłem tam zastać. Naprzód, pomyślałem. Ostrożnie podkradłem się ścieżką i prześliznąłem przez drzwiczki. W środku zastałem rząd naczyń ustawionych na podłodze. W jednym znajdowała się pokaźna porcja kocij karmy o zapachu ryby. Nie było nikogo, więc zabrałem się do jedzenia.

– Ty bezczelny kocie! WYNOCHA! – usłyszałem nagle.

Podniosłem głowę znad miski i zobaczyłem idącą w moją stronę kobietę o wyglądzie ropuchy z mopem w ręce. Jeszcze nikt mnie tak nie potraktował!

Zacząłem unosić ogon. Chciałem obdarzyć kobietę kocim uśmiechem, ale moje przyjazne nastawienie tylko jeszcze bardziej ją rozżłościło.

– To jedzenie mojego kota! – zaskrzeczała. – WYNOCHA! No, już, WYNOŚ SIĘ!

Nigdy nie bałem się żadnego człowieka i teraz też tak było. Pomyślałem, że podniesiony ogon i parę minut czułego ocierania się o nogi kobiety powinny zmiękczyć jej twarde serce. Ale nic z tego nie wyszło.

Z chrobotem pazurów o podłogę do kuchni wpadł mały, zwalisty pies, niezwykle podniecony. Patrzyłem na niego pogardliwie, żałując, że nie umiem się śmiać. Pies trząśł się cały od histerycznego szczeku, nie wyłączając jego nedorzecznie krótkich łap i małych, oklapniętych uszu.

Nie odwraca się tyłem do psów. Tylny koniec jest wtedy bezbronny, zwłaszcza ogon. Moja mama, Jessica, opanowała do perfekcji sztukę wychodzenia tyłem przez kocie drzwiczki, ale ja tego nigdy nie próbowałem i aż do teraz nie było mi to potrzebne.

Burcząc, wygiąłem grzbiet i zrobiłem groźną minę. Jak można się było spodziewać, z psa uszła para i pozostał w bezpiecznej odległości. Drżał, a wzrok miał niepewny. Majestatycznie cofałem się do kocich drzwiczek, wachlując przy tym ogonem. Potem obróciłem się szybko i dałem susa na zewnątrz. Poczułem ból, gdy pies wyrywał kępkę sierści z mojego ogona. Co za zniewaga!

Pomknąłem przez ogród i wypadłem na ulicę prosto pod koła białego vana. Rozległ się pisk opon i posypały się przekleństwa. Zawróciłem i musnąwszy wąsami gorącą gumę opony, pognałem z powrotem do ogrodu. Śmiertelnie przerażony wpelzłem pod znajomy krzak i tam zostałem. Koniuszek mojego ogona bolał i krwawił. Ogony są bardzo wrażliwe i ogromnie ważne, a ten pokraczny mały pies uszkodził mój. Natychmiast zabrałem się za jego pielęgnację. Lizalem go, myłem i poprawiałem futerko, które na nim pozostało.

Przypomniałem sobie, co powiedziała Angie, kiedy Leroy mnie ścisnął: „Jego małe kosteczki są jak zapalki”.

Poczułem niespodziewany przyływ szacunku dla mojego ciała. Zrozumiałem, że powinienem odpocząć. Mimo to coś pchało mnie naprzód. Nie ustałem w wędrówce, dopóki nie opuściłem hałaśliwego miasta.

Wiele ulic dalej w końcu znalazłem spokój. Przede mną rozciągały się ścierniska, na ich skraju rosły polne kwiaty i trawa. Moje zmęczone łapy zanurzyły się w miękkim podłożu, ciągle nagrzanym od słońca. Fajna sprawa, tym bardziej że zapadał zmrok i w powietrzu czuć było chłód, jakby nocą mogła przyjść zima.

Ułożyłem się pod jesionem. Vati uczył mnie o różnych drzewach i o tym, jak działają na koty. Jesiony miały właściwości lecznicze i stabilizujące. Ten rozpościerał nade mną gałęzie niczym strażnik. Spałem pod nim przez wiele godzin, a kiedy się obudziłem, moje futerko było wilgotne.

Nocą pola i krzaki były w kolorze jeżyn. Spojrzałem w górę. Miałem wrażenie, jakby gwiazdy zaplątały się w gałęzie jesionu.

W domu o tej porze kręciłem się po łóżku Leroya, obdarzając go swoją miłością, gdy spał. Albo szedłem na dół, gdzie zastawałem Angie przy stole, pochyloną nad stosem szkolnych zeszytów z czerwonym długopisem w ręce. Czasami znajdowałem ją w kuchni, zajętą nocnymi wypiekami. Przytulaliśmy się, a jeśli noc była pogodna, Angie wynosiła mnie do ogródka i patrzyliśmy na gwiazdy. Te same, na które patrzyłem teraz.

Te wspomnienia sprawiły, że poczułem ogromną tęsknotę za domem. Co ja zrobiłem? Jak to się stało, że moja miłość do Vatiego wygrała ze wszystkim, co było dla mnie cenne? Przysiągłem, że kiedy odnajdę brata, sprowadzę go do domu. Jego miejsce było w domu, w którym mieszkaliśmy ja, Angie i Leroy.

Wdrapałem się na jesion, zadowolony, że tak dobrze widzę w nocy. Z góry miałem doskonały widok na wszystko. Na połyskujące srebrem ścierniska, pomarańczową poświatę na horyzoncie i migające światła miasta, które opuściłem. Zwróciłem wzrok na południe. W oddali majaczył las, mój następny cel. Mimo tęsknoty za domem poczułem dreszcz ekscytacji. Las był tą częścią mojej podróży, która pociągała drzemiącego w moim wnętrzu dzikiego kota.

Duch Lwa pojawił się o świcie. Leżałem w moim legowisku z suchej trawy i słuchałem świergotu gromadzących się jaskółek, których stada szybowały i nurkowały nad polami, przemieszczając się jakby od niechcienia na południe.

Lew zbliżał się przez przystrojone pajęczynami ścierniska i krzaki jeżyn rosnące wokół jesionu. Nadchodził ze wschodu, milczący, prawie niewidoczny, ale prawdziwy. Nie spieszył się, jakby chciał zrobić jeszcze większe wrażenie.

Czekałem. Już sama świadomość, że jest tutaj dla mnie, że to on postanowił odszukać mnie, sprawiała, że czułem się lepiej. Czy chce odesłać mnie z powrotem do Angie? Czy powie mi, co dolegało Vatiemu?

Powoli i ostrożnie otoczył mnie wielkimi łapami. Jego grzywa spływała kaskadami niczym wodospad, oczy skrywały tajemnicę znacznie większą niż zmartwienia puszystego czarnego kota.

Zaczął od komunikacji niewerbalnej, obdarzając mnie miłością, zachęcając, żebym odprężył się i mrucał. Mruczenie dodało mi otuchy i tym razem mrucałem dla SIEBIE. Mruczenie nie jest przeznaczone tylko dla ludzi; dzięki niemu mogłem się uspokoić, ukoić swój ból. Wysłać wiadomość na drugi koniec Ziemi.

Duch Lwa wyglądał na zadowolonego, kiedy pojąłem tę zdumiewającą prawdę, mającą związek z tym, czego Vati próbował mnie nauczyć o strumieniach energetycznych.

– Planeta Ziemia pełna jest wiadomości – powiedział. – Musisz nauczyć się innego sposobu słuchania, Timba. Słuchania za pomocą dotyku. Wyciągaj się na ziemi i słuchaj całym ciałem. Rób to często podczas swojej podróży. Inaczej się

zgubisz.

– Vati pilnie potrzebuje mojej pomocy – odparłem. – Przede mną długa droga, a ja nie jestem w stanie przemieszczać się wystarczająco szybko.

Duch Lwa milczał, chłonąc oczami moje słowa. Potem przemówił:

– Zbliża się zima, Timba. Musisz iść szybko. Ale nie wykorzystuj swoich łap tylko do biegu. Myśl za ich pomocą i bądź sprytny. Chwile spokoju przeznaczaj na dostrajanie się i medytację.

– Medytację? – spytałem zaciekawiony. Angie często używała tego słowa, ale nie zwracałem na nie większej uwagi, pochłonięty jedzeniem i zabawą.

– Medytacja – wyjaśnił Duch Lwa – jest jak śnienie na jawie. Ciało pozostaje nieruchome, a umysł podróżuje w czasie i przestrzeni. Cofnij się do minionych wieków i zanurz w źródle pierwotnej kociej mądrości. Koty często wykorzystywały swoją mądrość i inteligencję do uzdrawiania i wspierania ludzi, ale ty możesz dzięki nim skłonić ich, by pomogli ci w podróży.

– Vati potrafi takie rzeczy – oznajmiłem.

– Vati jest wysoko rozwiniętą, bardzo wrażliwą istotą – rzekł Duch Lwa. – Dlatego stanowicie idealny tandem. Jesteście bliźniaczymi duszami. Razem posiadacie wszystkie potrzebne talenty.

– Jesteśmy braćmi – odparłem dumnie. – Synami Salomona.

– Tak, ale teraz musisz wziąć wszystko na swoje barki, Timba. Vati nie może współpracować. Potrzebna jest twoja siła i pragmatyzm oraz wrażliwość Vatiego. Masz rację, on pilnie potrzebuje twojej pomocy, naprawdę pilnie.

Powiedziawszy to, Duch Lwa pograżył się w złowieszczym milczeniu. Zaczął się rozmyślać, a światło wokół niego migotało niepokojąco.

– Nie odchodź – poprosiłem. Nasza rozmowa nie była jeszcze skończona, a on powoli się oddalał. – Nie powiedziałaś mi, co dolega Vatiemu.

Duch Lwa pociemniał, jego falującą grzywą przenikały barwy kończącej się nocy. Jego czoło było zmarszczone.

– Nie odchodź – powtórzyłem, ogarnięty nagłym przerażeniem. Pierwszy raz doświadczałem czegoś takiego. Nie bałem się, że coś mi się stanie albo że się zgubię. To był nieokreślony, kosmiczny lęk. Lęk przed nieświadomym, fatalnym w skutkach błędem.

Ostatnie słowa Ducha Lwa, wypowiedziane szeptem, odbiły się głuchym echem w mojej duszy.

– Nie mogę – rzekł i z porannego nieba zstąpił kosmiczny smutek. Ptaki umilkły. Powietrze było nieruchome, krople rosy na pajęczynach straciły swój blask. Jesion płakał opadającymi liśćmi. – Nie mogę – powtórzył Duch Lwa. – To prawdziwe barbarzyństwo, coś strasznego... Boją się tego koty na całym świecie... na... całym... – szepnęła i chwilę później zniknęła.

Siedziałem zszokowany i odrętwiały, patrząc na biały obłok mgły unoszący

się znad doliny. Czy był to Duch Lwa, którego energia zmieniła postać, stając się chmurą? Tak mi się wydawało.

Mój Duch Lwa odszedł pogrążony w smutku. Co było tak straszne, że nie mógł o tym mówić? Obdarzył mnie miłością i mądrością. A potem mnie zostawił. Kolejny raz, gdy byłem w największej potrzebie, zostałem sam.

Mgła wisiała nad polami, zasłaniając okolicę przed moim wzrokiem. Musiałem wykombinować, w którą stronę pójść. Próbowałem porozmawiać z Vatim, powiedzieć mu, że jestem w drodze, by mu pomóc, ale widziałem tylko jego nieruchome, skulone ciało i puste czarne oczy. Z jakiegoś powodu nie ruszał się ani nie odzywał. Żył, ale całkiem zamknął się w sobie. Był obojętny, odrętwiały, pozbawiony jakiegokolwiek motywacji.

Co się stało z tym pięknym, mądrym kotem?

W głębi duszy wiedziałem, że jeśli nie dotrę do niego szybko, Vati umrze.

14. Ciemny las



Duch Lwa radził mi, żebym najpierw myślał, a dopiero potem biegł, ale obawa o Vatiego sprawiała, że gnałem przed siebie jak szalony. Wiedziałem, że muszę dotrzeć do niego jak najszybciej. Nie myślałem o dzielącej nas odległości, skupiałem się na pokonywaniu kolejnych kilometrów. Biegłem wzdłuż żywopłotów rosnących przy drogach. Stada ptaków żywiących się czerwonymi jagodami z krzaków umykały przede mną. Czułem się jak intruz. Sroki i wrony przeklinały mnie swoimi skrzekliwymi głosami, kosy ostrzegały się nawzajem przede mną. Nikt nie chciał czarnego kota w swoim otoczeniu. Przyzwyczajony do tego, że obdarzano mnie miłością i uwagą, czułem się samotny i przygnębiony.

Późne popołudnie było czasem, kiedy lisy opuszczały swoje nory, głodne i pełne energii. Byłem wobec nich nieufny, ale szybko okazało się, że mogę odstraszyć zaciekawionego lisa spojrzeniem albo przechytrzyć go, wdrapując się na drzewo. Jednak po kilku spotkaniach moja nieufność zamieniła się w strach. Lis mógłby mnie zabić, gdyby zaskoczył mnie podczas odpoczynku lub snu.

Zanim dotarłem do lasu, wystraszyło mnie kolejne stworzenie: myszołów, który podrywał się z drzew na skrzydłach przypominających gigantyczne dłonie. Jego krzyk, podobny do kociego miauczenia, budził mój niepokój, a kiedy zanurkował, rozkładając nade mną skrzydła, poczułem podmuch powietrza i zobaczyłem potężne szpony i bezlitosne żółte oczy. Był też drugi myszołów. Para polowała razem, wypatrując najmniejszego poruszenia w trawie.

Napięcie, jakie we mnie rosło, powodowało zmęczenie, ale nie pozwalało na odpoczynek, którego bardzo potrzebowałem.

Pod wieczór mgła się roziała, a wiszące nisko nad horyzontem słońce wyglądało jak płonąca brzoskwinia. Po drugiej stronie nieba wschodził księżyc. Był różowy. Pospiesznie wspinałem się na wzgórze, cały czas kierując się na południe, które znajdowało się pomiędzy słońcem i księżycem. Zmęczenie spowolniło mnie i teraz biegłem równym truchtem. Nie odrywałem oczu od lśniącego nieba nad szczytem wzgórza. Czy ta wspinaczka nigdy się nie skończy?

Zapadał zmierzch, kiedy wreszcie dotarłem na wierzchołek. Na niebie

zaczęły rozlewać się barwy nocy. Wyczerpany ułożyłem się pod sosną, na miękkim dywanie z mchu i igieł. Było to idealne łóżko dla kota, który chciał patrzeć na gwiazdy i studiować odległy krajobraz.

Jedynym, czego potrzebowałem, była miska rozgniecionej mięsa z kurczaka z sosem. Nawet gdyby w zasięgu mojego wzroku pojawiła się mysz, byłem zbyt zmęczony na polowanie. Spałem i spałem, a moje łapy drgały, gdy śnił mi się koszmar, w którym przekraczałem ulice. Miałem pusty żołądek i głód dręczył mnie także we śnie. Nic więcej nie zakłócało mojego wypoczynku i jak zwykle obudziłem się o północy. Księżyc był daleko na południowym niebie. Obok przeleciała cicho sowa. Odwróciła twarz w kształcie serca, przypatrując mi się mądrymi oczami. Spojrzałem na nią dumnie. Nie przerażała mnie ta nocna istota, która kiedyś napędziła mi takiego strachu.

Sowa zawróciła szerokim łukiem, żeby jeszcze raz mi się przyjrzeć. Pomyślałem o Vatim, który umiał porozumiewać się z dzikimi stworzeniami. Potrafił zajrzeć w ich umysły, dostrzec w nich dobro i dowiedzieć się o nich wszystkiego.

Kiedy sowa przelatywała obok po raz trzeci, wysłałem jej telepatycznie wiadomość. „Jestem Timba i jestem w podróży. Muszę odnaleźć mojego brata Vatiego, bo go kocham”. Zobaczyłem w czarnych oczach sowy błysk zrozumienia i wiedziałem, że moja wiadomość dotarła. Patrzyłem, jak zawisła w powietrzu nad gęstą kępą trawy, a potem usłyszałem świst pierzastych skrzydeł, gdy sowa rzuciła się na jakieś stworzenie, które odważyło się wyjrzeć ze swojej nory.

Chwilę później powróciła, wpatrując się we mnie intensywnie. Zawisła nade mną, a jej jasne skrzydła lśniły w blasku księżyca.

Rozległ się głuchy odgłos. Martwa mysz, gotowa do spożycia, wylądowała tuż przy moich łapach. Co za uczta dla wygłodzonego kota!

Podniosłem wzrok i miauknąłem zdumiony. Sowa skinęła przyzwalająco głową i odleciała, skrzecząc.

Od lasu dzieliła mnie olbrzymia łąka, na której pasło się stado bydła. Jak dotąd biegłem wzdłuż żywopłotów, dzień po dniu, czasami przecinając jakąś drogę. Raz zatrzymałem się przy samotnym domku, żeby sprawdzić, czy ma drzwiczki dla kota. Miał. Były otwarte, więc przekradłem się za kamienny próg i zobaczyłem stół, na którym leżało jedzenie. Angie nie pozwalała mi wchodzić na kuchenny stół, ale nie czułem tak wielkiego głodu od czasu, kiedy byłem kociakiem. Podbiegłem, wskoczyłem na blat, porwałem kanapkę z serem i natychmiast uciekłem na dwór, by schować się pod żywopłotem. Masło i ser smakowały dobrze, ale chleb nie. Był nie dla mnie, nawet posmarowany.

Nie mogłem oprzeć się pokusie. Postanowiłem trochę tam zabawić i zostać wykwalifikowanym złodziejem. Znalazłem słoneczny zakątek i próbowałem doprowadzić się do porządku. Po bliskim kontakcie z łopianem moje wspaniałe

futerko było zmierzwione i pełne kłujących rzepów. Próbowałem je usunąć, ale ku mojej rozpaczy, w żaden sposób nie mogłem się ich pozbyć. Tarzałem się po ziemi, drapałem i szarpałem do bólu moje skołtunione futerko, lecz rzepy nie chciały się odcepić. Angie nigdy nie dopuściłaby, żeby moja sierść była w takim stanie.

Mijał czas. Liście spadały z drzew, śpiewające ptaki ucichły, noce były coraz dłuższe. Zbliżała się zima, a ja miałem cierpieć zimno i samotność. Tymczasem stało przede mną nie lada wyzwanie – łąka z bydłem. Nie były to przyjazne krowy mleczne, tylko zwaliste młode byki, czujne i zainteresowane wszystkim, co się ruszało. Łąka była ogromna, a ja nie byłem przyzwyczajony do szybkiego biegu na długim dystansie. Co innego sprinty. Łąka tej wielkości, na której nie było gdzie się schować, wydawała się niemożliwa do pokonania. Byki mogły mnie otoczyć, owionąć swoimi gorącymi oddechami i wyrzucić w powietrze albo nawet stratować.

Usiadłem więc na bramie pośród morza wonnych dzikich rumianków. Byki zauważyły mnie i zaczęły prychać, przebierając racicami, ale szybko straciły zainteresowanie i odeszły. Musiałem poczekać, aż odejdą na drugi koniec łąki, i puścić się biegiem. To była moja jedyna szansa.

Przekonywałem sam siebie, że zdołam pokonać w szybkim tempie tak długi dystans, choć byłem zmęczony po całym dniu wędrówki. Czekałem całe wieki, aż byki się oddalą, i byłem coraz bardziej podenerwowany.

Wystartowałem, kiedy ostatni byk znalazł się w bezpiecznej odległości. Zamierzałem biec jak najszybciej, trzymając się nisko przy ziemi, ale na łące było całe mnóstwo ostów i krowich placków, więc musiałem kluczyć i skakać.

Nagle usłyszałem porykiwania, a ziemia zatrzęsała się od tętentu racic. Biegłem jak szalony, nie zważając na błoto tryskające spod moich łap. Stawką było moje życie. Byki zbliżały się w błyskawicznym tempie, galopując z uniesionymi ogonami. Groziło mi, że rozstanę się z tym światem w błocie, czując byczy odór. Próbowałem biec jeszcze szybciej, ale nie miałem gdzie się schować. Kiedy wreszcie skręciłem, byłem już otoczony przez prychnące czerwonobrazowe pyski.

W tej kryzysowej sytuacji pomyślałem o Vatim. Przypomniałem sobie, jak wykorzystywał swój ujmujący mały pyszczek i ogon, by oczarować dowolne zagrażające mu zwierzę. Kocia moc! Śmiało, Timba, skorzystaj z niej!

Usiadłem w środku kręgu byczych pysków, zajrzałem do ich umysłów i zrozumiałem, że one wcale NIE chcą mnie zabić. Tylko się bawiły. Gdyby mnie zabiły, to przypadkiem, nie celowo.

Byłem przerażony, ale panowałem nad sytuacją. Siła mojego spokoju promieniowała na zewnątrz. Siedziałem nieruchomo, skupiając się na jednym konkretnym byku. Patrząc mu w oczy, nawiązałem z nim porozumienie i przekazałem telepatycznie:

„Ja, Timba, jestem pełnoprawnym mieszkańcem Ziemi, nawet jeśli jestem

mniejszy od ciebie. Ja, Timba, jestem kotem, a koty są na tym świecie dłużej od bydła. Ty skończysz na jakimś talerzu, obok ziemniaków, polany sosem. Natomiast ja, Timba, będę ukochanym, wypieszczonym kotem, mającym ogromny wpływ na swoich ludzi. Dlatego pozwolisz mi bezpiecznie opuścić tę łąkę wybranym przeze mnie tempem, z podniesionym ogonem”.

A potem zrobiłem coś BARDZO odważnego. Podeszedłem do przywódcy kręgu i pocałowałem go w wyciągnięty nos. Myślałem o sobie jak o wspaniałym, świetlistym kocie, którego oślepiający blask nie pozwoli nikomu go skrzywdzić.

Z rozmyślnym spokojem i z bezwstydnie podniesionym ogonem odszedłem, kierując się w stronę lasu. Byki powlekły się za mną, zbite w stado, zachowując pełną szacunku odległość. Idź powoli, Timba, idź powoli, nakazywałem sobie w duchu i w końcu... w końcu opuściłem łąkę. Nawet odwróciłem się i mrugnąłem oczami, żegnając się z oszołomionymi bykami.

Od tej pory nigdy nie miałem żadnych problemów z bydłem.

Nie można zapominać o zabawie, nawet jeśli jesteś nieszczęśliwy, myślałem, idąc o zmierzchu przez wysoki las. Bolały mnie łapy, moje kiedyś wspaniałe futerko było skołtunione i pełne rzepów, a serce przygniecione ciężarem tajemniczego problemu Vatiego. Gdybym teraz usiadł i zaczął rozmyślać, dopadłaby mnie tęsknota za domem i chciałbym zawrócić. Ale byłem młodym, silnym kotem o pogodnym usposobieniu, a przebywanie w tak magicznym miejscu było fascynujące.

Magia była wszędzie. W migoczących gałęziach drzew, w tańczących plamach światła. Suche liście spadały z góry, wirując w ciszy i lądując leciutko jak serowe chrupki. Pragnienie zabawy nimi przewyciężyło moje przygnębienie i wpadłem w prawdziwy szał. Nurkowałem w liściach, wpadałem w poślizgi, wyskakiwałem wysoko w górę.

Czułem się wspaniale. Znowu byłem Timbą. Moja zabawa stawała się coraz bardziej kreatywna. Chowałem się za grubymi pniami dębów, skąd wyskakiwałem z dzikim wzrokiem i wygiętym w pałak grzbietem, po czym pędziłem przez polanę. Magia zabawy sprawiła, że byłem jak nowy, zupełnie jakbym odrodził się ze sfatygowanych szczątków zmęczonego czarnego kota z rzepami w skołtunionej sierści.

Czułem obecność Vatiego i miałem wrażenie, że swoją zabawą rozjaśniam spowijającą go ciemność.

Biegałem i skakałem, aż nagle usłyszałem śmiech. W domu uwielbiałem być przyczyną śmiechu. Nic nie cieszyło mnie bardziej. Ale kto śmiał się ze mnie w tym wyludnionym lesie?

Zatrzymałem się i uświadomiłem sobie, że robię dokładnie to, co radził mi Duch Lwa: leżę wyciągnięty na ziemi, nasłuchując całym ciałem.

Zamknąłem zmęczone oczy, pogrążając się w transie. Źródłem dźwięcznego

śmiechu były setki pięknych świetlnych istot. Ich oczy migotały, kiedy się śmiały, ale nie ze mnie, tylko ze mną. Istoty te były uosobieniem czystej radości. Zgromadzone wysoko na drzewach, słuchały odwiecznej pieśni wszechświata.

Trwałem w bezruchu i maleńkie istoty zaczęły opadać z drzew jak brokat, zbliżając się do mnie. Widziałem ich kolory i poczułem miłość otulającą mnie pod baldachimem gwiazd. A potem spałem jak zabity na leśnym poszyciu, śniąc o sekretnej drodze prowadzącej mnie do Vatiego. Porastała ją miękka, błyszcząca zielona trawa, będąca ukojeniem dla moich łap. Po obu jej stronach rosły gęste, wysokie drzewa, chroniące mnie jak gwardia honorowa.

Dzień po dniu wędrowałem przez las. Czasami biegłem i przeskakiwałem przez kępy roślin, czasami podążałem wąskimi ścieżkami wijącymi się między paprociami. W lesie było mnóstwo myszy i nornic, na które polowałem, a także szpaków, opadających całym świergoczącym stadem na drzewo z owocami, które ogołacały za jednym posiedzeniem. Stanowiły łatwą zdobycz, kiedy chodziły po ziemi, wypatrując robaków i larw. Ich jednomyślność była dla mnie zagadką. Podrywały się jednocześnie, z głośnym łopotem skrzydeł, zaciemniając niebo kłębiącą się chmarą.

W lesie znajdowały się wysokie wzniesienia, które mnie przyciągały. Za każdym razem spodziewałem się zobaczyć lśniąca rzekę i odległą ziemię, gdzie czekał na mnie Vati. Chciałem zobaczyć kres mojej podróży. Ale widziałem tylko kolejne porośnięte drzewami wzgórza. Wydawało się, że to się nigdy nie skończy, i czułem się przygnębiony. Noce były teraz zimne, postanowiłem podróżować w świetle księżyca, a spać za dnia, w słońcu grzejącym moje futerko.

Pewnej nocy srebrzystobiały księżyc widoczny za czarnymi drzewami zdawał się podążać w podskokach razem ze mną. Powietrze było przejrzyste i mroźne, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszałem, był chrzęst moich łap na oszronionym podłożu. Przede mną wznosiło się bezdrzewne wzgórze. Niebo nad nim miało miedziany kolor i przemieszczały się po nim światła. Usiadłem na szczycie i patrzyłem urzeczony, a mój ogon drgał z podniecenia. W oddali widziałem rzekę błyszczącą w świetle księżyca, a rozpięty nad nią most jarzył się na pomarańczowo. W powietrzu czuć było spaliny i słyszałem szum samochodów, których światła odbijały się w wodzie.

Były tak daleko... Chciałem tam dotrzeć, ale jednocześnie czułem strach. Czy kot ma szansę przedostać się bezpiecznie przez zatłoczony most? Musiałem jednak spróbować.

Przez wiele dni szalała wichura i zachodni wiatr huczał w konarach drzew. Na dole lasu, gdzie się ukrywałem, było spokojniej, ale i tak całkiem straciłem orientację i zaczynałem się zastanawiać, czy nie marnuję cennego czasu, podczas gdy Vati jest coraz bliżej śmierci.

Totalnie przybity, zwinąłem się w kłębek w liściach i próbowałem zasnąć.

Chciałem się wyłączyć, zapomnieć, że jestem teraz bezdomnym, bezimiennym kotem. Deszcz moczył moją sierść, ale nie zadałem sobie trudu, żeby się ruszyć. Na ziemię sfrunęły szpaki, ale nie chciało mi się polować.

Po co miałbym się fatygować? I tak jestem zgubiony.

Futerko, z którego byłem kiedyś taki dumny, doprowadzało mnie do szału. Swędziało, było potwornie skołtunione i pełne rzepów. Próbowałem doprowadzić się do porządku, ale moje wysiłki skończyły się mdłościami, bo nałykałem się kłaków. Nawet w ogniu miałem ciernie jeżyn.

Tak bardzo niepokoiłem się o Vatiego, że kiedy w końcu znów zobaczyłem most, nie wahałem się ani chwili. Nie zatrzymałem się, żeby wykombinować, jak najlepiej go przekroczyć. Naprzód, Timba, pomyślałem i pobiegłem truchtem trawiastym poboczem drogi, która do niego prowadziła.

Nie spodziewałem się, że mnie zemdli, ale zemdliło zaraz na początku, od cuchnących wyziewów z rur wydechowych. Żółtawobiała mgła unosząca się nad rzeki mieszała się z oparami spalin. Powietrze było ciężkie i gęste.

Droga prowadząca do autostrady to było nic. Prawdziwe piekło zaczęło się na żelaznym moście. Skończyła się trawa i szedłem asfaltem. Nic nie dzieliło mnie od ogromnych ciężarówek. Siła ich pędu spychała mnie na bok i przywierałem do ziemi z zamkniętymi oczami. Ogłuszający hałas nie ustawał ani na chwilę, prawie rozsadał mi czaszkę. Kolejne samochody mijały mnie ze świstem, podmuchy powietrza targały moją sierść, niemal odrywając mnie od ziemi.

Spojrzałem parę razy na kierowców, rozpaczliwie pragnąc jak najszybciej pokonać ten most. Czy nikt mnie nie widzi? Nikogo nie obchodzi puszysty czarny kot, zupełnie sam, walczący o przetrwanie? Ktoś musi się w końcu zlitować i mnie zabrać, prawda? Byłem niewiarygodnie zmęczony. Całą siłę wkładałem w to, by utrzymać się na drodze; gdybym stracił równowagę, mógłbym wylądować w rzece.

Nikt się nie zatrzymał. Pomyślałem o całej miłości, którą ofiarowałem ludziom. Czy jestem niewidzialny? Wyglądam jeszcze jak kot czy może jak porzucony śmieć? Próbowałem podnieść ogon i wyglądać jak pewny siebie kot, ale nic z tego nie wyszło. Gwałtowny podmuch następnej ciężarówki sprawił, że przekoziółkowałem i zatrzymałem się na żelaznej konstrukcji mostu. Ledwo się pozbierałem. A potem jakiś mężczyzna krzyknął do mnie z pędzącego samochodu:

– Złaż z mostu, głupi kocie! Wracaj, bo zginiesz!

Otrzeźwiło mnie to. Zdałem sobie sprawę, że nie robię żadnych postępów. Jedynym moim osiągnięciem było, że ciągle żyłem, ale jak długo jeszcze?

Spojrzałem za siebie. Przebyłem żałośnie krótki dystans, a czułem się skrajnie wyczerpany. Oczy piekły mnie tak bardzo, że z najwyższym trudem trzymałem je otwarte. Trzęsły mi się łapy, brudny ogon ciągnąłem za sobą. Nawet oddychanie sprawiało mi ból.

Zrozpaczony, zwinąłem się w kłębek i przycisnąłem pyszczek do zimnego

żelaza. Co za okropne miejsce, pomyślałem. Nie chciałem umierać na tym strasznym moście, bez nikogo, kto by mnie kochał, w samotności. Chciałem umrzeć na kolanach Angie albo w jej uroczym ogródku. Nie tutaj. Nie tak.

Ta myśl sprawiła, że postanowiłem nie dać za wygraną. Nie mogłem pokonać mostu, ale mogłem zawrócić. Nawet życie w lesie ze skołtuniona sierścią i załamany sercem było lepsze niż to. Ciągle oddychałem, więc dam radę powlec się w bezpieczne miejsce, gdzie w najgorszym razie spokojnie umrę.

Przez chwilę nic nie jechało. To wystarczyło, żebym przeniósł się myślami w uzdrawiające miejsce. Z niezwykłą jasnością przypomniałem sobie kobietę sowę, panią Lanbrow, która uratowała mnie przed wózkiem sklepowym. Nie tylko ją widziałem, ale i czułem, jakby była tu ze mną i trzymała mnie w kołysce swoich magicznych dłoni. To wspomnienie dodało mi odwagi.

Nie śmiałem podnieść się na chwiejnych łapach, bo przejeżdżające z łoskotem ciężarówka mogłyby znowu mnie zdmuchnąć. Trzymałem się blisko ziemi, pełzając po brudnym asfalcie. Skradałem się jak polująca pantera, chwytając otwartym pyszczkiem powietrze o gryzącym smaku spalin. Przed sobą widziałem kobietę sowę, która wołała mnie i uczyła czekać na przerwy w ruchu, kiedy można było biec. Za każdym razem, gdy zbliżała się ciężarówka, przypadałem do ziemi i czekałem, aż olbrzymie szare koła przetoczą się obok mnie.

Wreszcie dotarłem do drogi dojazdowej i z rozkoszą zanurzyłem łapy w miękkiej trawie. Gdyby nie kobieta sowa, która bezustannie dopingowała mnie, żebym szedł dalej, położyłbym się na poboczu i pewnie tam umarł.

– Musisz oddalić się od drogi, Timba – powtarzała. – Wracaj do lasu, gdzie jest czyste powietrze. Znajdź wodę i odpocznij.

Zastanawiałem się, skąd wiedziała, że mam kłopoty.

Było ciemno, kiedy znalazłem się pod kojącym baldachimem drzew. Wilgotny mech wydał mi się czymś wspaniałym. Zlizywałem krople rosy z liści i trawy. Chciałem się umyć, ale moje futerko smakowało jak trucizna. Zapadłem więc w sen, ledwie świadomy padającego deszczu, który mnie obmywał.

Gdy się obudziłem, przypomniałem sobie pomoc kobiety sowy. Nie było jej teraz, ale powiedziała, że wkrótce znów się spotkamy. Nie wiedziałem, czy miała na myśli, że spotkam ją w moich wspomnieniach, czy naprawdę.

Byłem kompletnie przemoczony, zziębnięty, ale wreszcie czysty! I znowu mogłem oddychać. Wstałem, żeby się przeciągnąć.

Pragnienie powrotu do domu było przytłaczające. Marzyłem, by usłyszeć głos Angie, która wyszczotkowałaby mnie z troską. Pragnąłem zobaczyć radosny uśmiech Leroya i usłyszeć, jak mówi: „Cześć, Timba”. Kochałem moich ludzi. Byli dla mnie cudowni i uwielbiałem okazywać im moją wdzięczność. To było takie łatwe... Wystarczyło mruzczyć, żeby ich rozbawić albo pocieszyć.

Chciałem wrócić, ale czy odnalazłbym drogę przez ciągnące się milami pola

i dróżki i przez ten koszmarny labirynt ulic?

Smutny i zrezygnowany, wpełźłem pod potężny stary dąb. Znalazłem wygodne suche miejsce pod jego zwisającym gałęziami i przespałem tam większość dnia, tylko od czasu do czasu otwierając oczy, by popatrzeć na płaczące deszczem szare niebo.

Stworzenia leśne były coraz rzadszym widokiem. Zaszływały się na zimę głęboko pod ziemią. O tym, gdzie są, informowały mnie poduszki łap. Kiedy czułem głód, podkradałem się do mysich dziur i czekałem, ale tylko z rzadka jakaś dziwaczka decydowała się wyrzeć na zewnątrz. Stałem się więc zależny od szpaków. Jeśli nie przyleciały, nie jadłem nic.

Byłem coraz chudszy. Moja skóra obwisała, wąsy opadły i nie miałem już siły, żeby się bawić.

Nie mogłem nawiązać połączenia z Vatim. Nasza telepatyczna linia była głucha. Zastanawiałem się, czy jeszcze żyje, czy też wrócił do świata duchowego, zostawiając mnie samego, ostatnie z kociąt Salomona.

Dręczyła mnie obawa, że się spóźniłem, ale któregoś dnia w mojej głowie rozbrzmiał jakiś głos. Był natarczywy i... znajomy.

– Timba! Timba! Gdzie jesteś, Timba?

Od razu się ożywiłem. Słuchałem, ale nie uszami, tylko duszą.

– Timba! Timba! – wołał głos.

A potem usłyszałem płacz i modlitwę. Kto modlił się za mnie tym ochryplym głosem? Usiadłem. Drgały mi wąsy i poczułem dreszcz, jakby przepłynął przeze mnie prąd elektryczny.

Leroy!

Czyżby szukał mnie w lesie? Nie czułem jego zapachu, nie słyszałem odgłosu biegnących stóp. Nie było go tu. Leroy rozmawiał ze mną telepatycznie. W moim sercu pojawiła się nadzieja.

– Wiem, że żyjesz, Timba – mówił Leroy. – Razem z Angie zrobiliśmy plakaty i rozwiesiliśmy je wszędzie. Szukamy cię codziennie, a Angie nauczyła mnie medytować, żebym mógł z tobą rozmawiać. Mówię teraz do ciebie. Słyszysz mnie? Tęsknię za tobą, Timba.

Słyszałem. Podniesiony na duchu, odpowiedziałem:

– Wyruszyłem, by odnaleźć Vatiego. To długa podróż, ale kiedyś wrócę. Trzymaj się, Leroy.

Poczułem, że płacze. Czy odebrał moją wiadomość? Płacz na chwilę ucichł i Leroy powiedział:

– Pamiętaj o Białym Lwie, Timba, i o lwie na niebie. Składa się z gwiazd i jest na południu.

Lew na niebie! W mojej głowie zaskoczyły odpowiednie trybiki i przypomniałem sobie gwiazdzistą noc w ogrodzie, kiedy Angie pokazywała

Leroyowi Gwiazdozbiór Lwa, w którego łapie świeciła jedna z najjaśniejszych gwiazd w kosmosie. Leroy był tym strasznie podekscytowany i każdej gwiazdzistej nocy zabierał mnie do ogrodu, gdzie zwracaliśmy głowy na południe, by odnaleźć lwa na niebie.

Przeciagnałem się z ziewnięciem i podreptałem na polanę. Deszcz przestał padać. Wróciła magia. Między nagimi drzewami zobaczyłem niebiesko świecąca gwiazdę. Czy to gwiazda z łapy Lwa?

Szedłem w stronę gwiazdy i pierwszy raz od tygodni miałem podniesiony ogon. Małe światła migotały w mokrej trawie, oświetlając mi drogę, ich oczy mrugały do mnie z najciemniejszych miejsc. Opuściłem polanę inną drogą, niż przyszedłem, i przystanąłem, by wyczuć poduszkami łap energię, tak jak uczył mnie Duch Lwa. Poczulem mrowienie; płynący pod ziemią strumień energii był bardzo silny. Szedłem ostrożnie między drzewami, trzymając się strumienia, który prowadził mnie na południe, w stronę gwiazdy.

Odnalazłem złotą drogę.

15. Pokonanie mostu



Cały ranek podążałem złotą drogą. Tak łatwo jeszcze mi się nie podróżowało. Prosty jak strzała szlak wiódł mnie przez las, bez trudu pokonywałem kolejne wzniesienia. Złota droga nie była widoczna dla oczu. Była rodzajem pieśni pochodzącej z wnętrza Ziemi, pieśni, której dźwięki rezonowały w poduszkach moich łap, powodując łaskotki. Przypomniałem sobie, jak Graham wydawał z siebie jeden dźwięk przez dłuższy czas, od czego drżały szklane i porcelanowe naczynia.

Vati powiedział mi, że niektóre dźwięki mogą uzdrawiać. Więc dlaczego nie zdrowiał, będąc w domu Grahama? Znałem odpowiedź. Vati zamknął się w sobie. Nie jadł, nie mruczał, nie bawił się. Był jak zamrożony, coraz bliższy osiągnięcia punktu, z którego nie ma odwrotu. Ta świadomość pchała mnie naprzód, nawet kiedy byłem zmęczony.

Mchy nasiąkły deszczem i czułem pod łapami sprężystą miękkość. Tu i ówdzie napotykałem kałuże czystej wody, która dobrze smakowała i obmywała moje zabrudzone łapy. Odzyskiwałem siły i znów zacząłem się czuć jak młody, radosny kot. Moje wąsy migotały w promieniach zimowego słońca, a kiedy dotarłem na szczyt pierwszego wzniesienia, gdzie wylegiwało się stado jeleni, po moim grzbiecie rozeszło się przyjemne ciepło.

Gdzieniedzie szlak gwałtownie się obniżał i wiódł wąwozami, których zbocza porastały rozłożyste paprocie. Magia była również tam. Małeńkie świetlne istoty przyglądały mi się oczami błyszczącymi jak krople deszczu.

Na trzecim wzgórzu niespodziewanie zjeżyła mi się sierść. Wyczułem niebezpieczeństwo, którego nie potrafiłem zidentyfikować. Usiadłem przy dębie, gotów wdrapać się na niego, gdybym musiał uciekać.

Tym, co mnie uderzyło, była zmiana energii na szlaku. Odbierałem intensywne wrogie wibracje. To były kroki! Lasem szli ludzie w ciężkich butach. Czułem ich zapach, ostrą woń skór i dymu. Wywęszyłem też psy. Ciche, drżące z podniecenia.

Tuż obok mnie przemknęły dwa zające. Normalnie żaden zając nie zbliżyłby się aż tak do kota. Widziałem ich podskakujące ogony, gdy oddalały się ścieżką. Z drzew zerwały się w panice leśne gołębie, głośno trzepocząc skrzydłami. Jelenie gnały jak niesione wiatrem, z wybałuszonymi oczami. Siedziałem osłupiały przy dębie, przyglądając się kolejnym pierzchającym zwierzętom.

Kiedy rozpoznałem zapach strachu, wdrapałem się na drzewo i siedziałem tam skulony.

Pierwszy wystrzał tak mnie przeraził, że prawie spadłem na ziemię. Potem rozległa się cała seria strzałów, których głośny huk rozsadał mi głowę. Bolały mnie uszy i zacząłem się trząść. Żałowałem, że nie poszukałem schronienia w jakiejś dziurze, zamiast włączyć na to odsłonięte drzewo.

Padły kolejne strzały i po chwili zobaczyłem spadającego z nieba bażanta, bezradnie wymachującego kolorowymi skrzydłami. Wylądował na ziemi niedaleko mojego drzewa, a wtedy, o zgrozo, spomiędzy paproci wyskoczył biało-brązowy pies, który wziął w zęby umierającego ptaka i oddalił się z nim, energicznie machając ogonem.

Strzelanie nie ustawało ani na chwilę. Do lasu przysła śmierć; ptaki, których był domem, spadały z nieba jeden po drugim. Spanikowany i zmartwiony, przywarłem do dębu, starając się nie ruszać. Dróżką szło dwóch mężczyzn, roztaczając zapach krwi. Martwe bażanty i zające przytroczone do ich pasków dyndały bezwładnie do góry nogami.

Przeraziłem się, że to samo mogą zrobić ze mną. Psy wyczuły mój zapach. Jeden z nich biegał wokół dębu, patrząc w górę i szczekając.

– Co tam jest? – Mężczyźni zatrzymali się pod drzewem. Spojrzeli na mnie. Widziałem ich błyszczące oczy i brudnoczerwone aury.

– To kot! – powiedział młodszy, a jego oczy się zwężyły. – Cholerne zdziczałe koty. Nienawidzę ich.

Uniósł broń i wycelował we mnie. Wpatrywałem się w niego. Mrużąc oczy, patrzył na mnie znad lśniącej lufy. Rozległo się kliknięcie.

– Nie! – krzyknął drugi mężczyzna, unosząc rękę, by przesunąć wycelowaną we mnie lufę w bok. – Nie zabijaj biedaka. Mógł się komuś zgubić.

Wyczułem życzliwość w głosie tego twardego mężczyzny, który miał przytroczone do paska martwe ptaki i zające. Zrobiłem coś, co przyszło mi naturalnie. Zamiauczałem do niego. Wydawał się ucieszony.

– Widzisz, jest przyjazny – powiedział. – Zdziczałe koty nie miauczą do ludzi.

Miauknąłem znowu, tym razem głośniejszym głosem. Chciałem mu powiedzieć, jak bardzo się boję i że jestem kotem w trakcie podróży.

– Co robisz tak daleko od domu, kotku? – zapytał. – Zgubiłeś się?

Jego troska chwyciła mnie za serce. Wydałem z siebie przeciągłe

miauknięcie, które odbiło się echem wśród drzew. Jednocześnie utkwilem wzrok w psie, który zaskowyczał, wycofując się za nogi swojego pana. Chciałem się zbliżyć do tego mężczyzny; zabijał ptaki, ale nie był pozbawiony serca. Zszedłem na niższą gałąź i przemaszerowałem nią z podniesionym ogonem.

– Moja stara będzie tobą zachwycona – rzekł, a chociaż byłem brudny i skołtuniony, dodał: – Śliczny jesteś.

Poczułem się lekko, jakby olbrzymi kamień spadł mi z serca. Wiedziałem, że ten mężczyzna mi pomoże. Przypomniałem sobie słowa Ducha Lwa. Bądź sprytny, powiedział. Zrobiliśmy noski-noski i mężczyzna już był mój.

– Trzeba będzie doprowadzić cię do porządku, stary – powiedział i odwrócił się do swojego młodszego kolegi, tego, który chciał mnie zabić. – Zabierz psy i zamknij je w samochodzie. Wezmę tego kota, o ile będzie chciał.

– Chcesz zabrać tego brudnego sierściucha? Chyba nie mówisz poważnie, Alf – odparł młodszy mężczyzna, zapinając psa Alfa na smyczy. – Popatrz na niego. To worek pcheł.

Alf westchnął.

– Trzeba odwdzińczyć się naturze – powiedział, poklepując czerwono-pomarańczowe pióra martwych bażantów przytroczonych do jego paska. – Też czasem mógłbyś spróbować.

– Ale z ciebie mięczak. – Młodszy mężczyzna wzruszył ramionami i odszedł, obładowany swoimi martwymi ptakami i strzelbami. – Na razie.

Alf usiadł ciężko pod dębem. Odczepił martwe bażanty i położył je na trawie. Kroki młodszego myśliwego ucichły w oddali i do lasu wrócił spokój. Znów szeleściły liście i trawy – zwierzęta przestały się ukrywać. Rudzik podskakiwał, mysz wyrzała ze swojej nory, ruszając wąsikami. Z drzewa sfrunął zielony dzięcioł, atakując swoim ostrym dziobem mrowisko.

Alf się nie ruszał. Nie zachęcał mnie do zejścia na dół ani na mnie nie patrzył. Po prostu siedział, wpatrując się w odległe wzgórza i drzewa. Nie zastrzelił dzięcioła, co więcej, wydawał się zadowolony z jego towarzystwa.

Obserwowałem Alfa ze swojej gałęzi i zauważyłem, że jego aura nie jest już taka czerwona. Zaczęło zalewać ją światło, niebieskie, białe i złote... Takie światło otacza stare, mądre dusze. Alf spojrział na mnie.

– Zejdiesz, kotku? – zapytał i czekał dalej.

Dopiero kiedy byłem absolutnie pewien, że strzelby i psy znikną, zostawiając nas samych na złotej drodze, zszedłem z drzewa, chętny poprzytulać się z Alfem. Od tygodni nie miałem bliskiego kontaktu z człowiekiem i byłem tego spragniony.

Obszedłem ostrożnie martwe bażanty i położyłem niepewnie łapę na kolanie Alfa. Uśmiechnął się oczami.

– Chodź – powiedział, poklepując się po piersi, abym odważył się wejść na

niego.

Wspiąłem się po jego tweedowej kurtce i położyłem brodę na jego sercu, by czuć moje mruczenie. Chciałem płakać jak Leroy. Po wszystkich trudach mojej długiej, samotnej podróży cudownie było czuć bliskość innej żywej istoty.

– Och... jesteś kocim uzdrowicielem – rzekł cicho, głaszcząc mnie od głowy aż po ogon, jakby mnie masował. Uzdrawialiśmy siebie nawzajem. Nie obchodziło go, że moje futro jest w fatalnym stanie. Kochał mnie takiego, jakim byłem.

Drugą ręką gładził martwe bażanty, a w jego oczach był smutek.

– Czasami mam wyrzuty sumienia z powodu zabijania – wyznał. – I zastanawiam się, czy kiedy umrę, one będą na mnie czekać przy niebiańskiej bramie... te wszystkie ptaki, które uśmierciłem.

Byłem kotem i miałem wspaniałą zdolność bezwarunkowej miłości, zacząłem więc mruczyć głośniej, a gdy Alf na mnie spojrzał, obdarzyłem go kocim uśmiechem, który przeniknął jego duszę. Potem Alf powiedział coś niesamowitego:

– Wiesz, co, kotku, jesteś uroczy. Zabiorę cię za most, do domu, do mojej starej. Zgoda?

Jadąc z Alfem, czułem się jak członek rodziny królewskiej, nawet jeśli dzieliłem samochód z martwymi bażantami. Ale one leżały porzucone z tyłu, a ja siedziałem na przednim siedzeniu. Alf najwyraźniej nie przejmował się tym, że nie ma dla mnie transportera. Poprosił, żebym siedział spokojnie, i tak też zrobiłem. Samochód Alfa był cichy i miał wysokie zawieszenie. Nie wibrował jak auto Angie.

Tym razem przeprawa przez rzekę nie była taka straszna. Woda była daleko w dole i miałem wrażenie, że przemierzamy się po niebie jak szpaki, którym zazdrościłem. Myślałem o Vatim i czułem, że byłby ze mnie dumny, że załatwiłem sobie podwózkę. Sprytny kot!

Za mostem Alf wjechał na wzgórze, a potem na kolejne i moje serce podskoczyło radośnie, kiedy zobaczyłem wysoką metalową wieżę, na którą chciał się wspiąć Leroy. Było pochmurne popołudnie i na szczycie wieży migotało światło. Teraz nie mogę się już zgubić, pomyślałem. Wieża będzie wskazywać mi drogę do Vatiego.

Planowałem, że kiedy Alf wypuści mnie z samochodu, pożegnam się z nim grzecznie i popędzę przez tę szaro-zieloną wiejską okolicę w stronę wieży. Moja podróż miała wkrótce dobiec końca.

Stało się jednak inaczej. Alf zatrzymał samochód na podwórku, na którym kury grzebały w słomie. Wziął mnie na ręce i zaniósł do otwartych drzwi domu.

Natychmiast zjeżyła mi się sierść, a w mojej głowie rozległ się głos: „Nie wchodź tam, Timba”.

Głos był natarczywy i należał do Ducha Lwa. Byłem strasznie głodny i marzyłem o posiłku. Lekkim, smacznym posiłku na talerzu. Marzyłem też o ogniu,

przy którym mógłbym się ogrzać w ten zimny dzień na obcej dla mnie ziemi, która zaczynała pograżać się w wieczornym mroku. Zasługiwałem na odrobinę komfortu. Tak więc przytuliłem się do Alfa, kiedy wnosił mnie do środka. W fotelu przy kominku siedziała kobieta, która robiła na drutach, ale ledwie ją widziałem.

Znieruchomiałem, wczepiony pazurami w kurtkę Alfa.

Patrzył na mnie lis. Prawdziwy lis ze szklistymi oczami i obnażonymi zębami. Nie ruszał się, ale mógłbym przysiąc, że jego futro się jeżyło, a czarny nos wdychał mój zapach.

– Nie przejmuj się nim – powiedział Alf. – Stoi tu od dwudziestu lat. Mówię na niego Bert. Nie ma się czego bać, jest wypchany.

Wypchany? Nie śmiałem się poruszyć z obawy, że lis mógłby skoczyć i mnie rozszarpać.

– Jaki śliczny kiciuś! – odezwała się kobieta, ale jej głos docierał do mnie jak zza szyby.

Byłem spanikowany. Nie chodziło tylko o lisa. Ściany były obwieszane zwierzęcymi głowami o szklistych oczach. Jeleń, zając i jeszcze więcej lisów.

Nie mogłem tego znieść.

Odepchnąłem się tylnymi łapami, uciekając z objęć Alfa na podłogę. Szok sprawił, że nie zwróciłem uwagi, gdzie jest wyjście, i w rezultacie wbiegłem przez otwarte drzwi do innego pomieszczenia. A tam było coś jeszcze straszniejszego. Mój grzbiet wygiął się w łuk, oczy pociemniały z przerażenia.

– Zostaw go. Przyzwyczaj się – usłyszałem głos Alfa.

Gdyby Angie tu była, na pewno zaczęłaby krzyczeć.

Na środku pokoju leżała olbrzymia tygrysia skóra. Na jej końcu znajdowała się głowa. Czując wewnętrzny przymus, by zobaczyć oczy tygrysa, obszedłem ostrożnie skórę, ciągle wygięty w łuk, z położonymi płasko uszami. Kiedy dotarłem przed tygrysie oblicze i zobaczyłem z bliska lśniące zęby i złote oczy, zacząłem syczeć i warczeć. Tygrys nie zareagował. Tak jak lis, od dawna nie żył. Przytłaczający żal został na zawsze zamknięty w jego twardych szklanych oczach.

Ze smutkiem patrzyłem na łapy tygrysa. Nie miały poduszek ani pazurów. Została tylko skóra porośnięta bujnym pręgowanym futrem, rozciągnięta nieruchomo na podłodze. Tygrys był kotem, ale w przeciwieństwie do mnie nikt go nie uratował, nie zajął się nim z troską. Dlaczego? To pytanie nastroszyło moje futro jak zimny wiatr.

Alf stał w drzwiach, obserwując mnie.

– Wszystko w porządku, kotku – powiedział. – On nie żyje, nie żyje od lat. Teraz to chodnik, możesz po nim chodzić. Zobacz.

Ruszył naprzód, stawiając swoje zabłocone buciory na przepięknym tygrysim futrze. Byłem zbulwersowany.

Jednocześnie poczułem wielki smutek. Nie ogarniałem tego. Jak ludzie

mogli mieć taki lekceważący stosunek do zwierząt? Spojrzałem na Alfa. Poczucie winy skumulowało się w głębi jego duszy, szukając ujścia.

– Nie zabiłem go – rzekł, jakby się tłumaczył. – Kupiłem go dawno temu na aukcji. Wspaniały, prawda? Uwielbiamy go.

Uwielbiamy go! Nie mogłem zostać w tym domu ani chwili dłużej.

Spanikowany uciekłem przez otwarte drzwi i zobaczyłem kobietę. W ręce trzymała miskę z kocim jedzeniem.

– Proszę, kotku – powiedziała życzliwie.

Położyłem płasko uszy i minawszy ją pędem, wypadłem na dwór. Kury uskakiwały na wszystkie strony, kiedy gnałem jak wichher przez podwórko, ścigany przez psa. Biegłem bez tchu przez nieznaną okolicę, kierując się ku wysokim wzgórzom porośniętym przez wrzosa i janowce. Z bezgwiezdnego nieba spadały duże płatki śniegu; był to pierwszy śnieg tej zimy. W głowie dzwięczały mi słowa Alfa: „Wszystko w porządku, kotku”.

Nie było w porządku. Nie było i nigdy nie będzie.

Dzień po dniu biegłem przez śnieg. Moje łapy były mokre i przemarznięte. Dokuczał mi głód. Jedzenie było trudne do zdobycia; myszy siedziały ukryte pod ziemią, ptaki, które tropiłem, z łatwością mogły wypatrzyć czarnego kota na tle białego śniegu. Byłem coraz chudszy i słabszy.

Wreszcie dotarłem do metalowej wieży. Mrugające światło na jej szczycie prowadziło mnie w bezgwiezdne noce i pochmurne dni. Ile czasu minęło, od kiedy ostatni raz jadłem? Nie wiedziałem, ale w sumie było to nieistotne.

Śnieg przykrył grubą warstwą krzaki janowca i wrzosa. Kiedy natrafiłem na wejście do śniegowej pieczary, zobaczyłem inny świat: pogrążone w półmroku korzenie i suche gałęzie. Było tam zaskakująco ciepło i przestronnie. Nic dziwnego, że tyle stworzeń znalazło schronienie pod kryształową powłoką śniegu: myszy, padalce, jeże. Wdzięczny za tak idealną kryjówkę, spędziłem pod śniegiem kilka dni. Kilka długich dni, podczas których nie widziałem nieba, ale kiedy wyęczałem słuch, słyszałem płatki śniegu lądujące miękko na „dachu”, który robił się coraz grubszy. Promienie słońca przeciskające się przez szczeliny w śnieżnej powłoce skłoniły mnie do wyjścia na powierzchnię.

Poranne powietrze było mroźne i przejrzyste, słychać było świst wiatru atakującego metalową wieżę. Schowałem się pod rozłożystą paprocią, gdzie spałem przez cały ranek, świadomy, że sam sen nie przywróci mi sił. Potrzebowałem jedzenia.

Po tej sytuacji z Alfem postanowiłem unikać ludzkich siedzib, ale teraz głód prowadził mnie przez skrzypiący śnieg do rzędu domów. Nie mogłem dać się złapać. Zaczekałem, aż się ściemni, i dwukrotnie włamałem się przez kocie drzwiczki, łapczywie zjadając to, co zostawiły szczęśliwe koty, które tam mieszkały.

Po posileniu się tanią mokrą karmą (twarde kocie chrupki je się zbyt długo, by zabierać się za nie podczas włamu) poczułem się lepiej, ale brakowało mi możliwości dokonania niespiesznej toalety w jakimś ciepłym miejscu.

Obejrzałem bolące łapy; między wrażliwymi poduszczkami tkwiły twarde grudki lodu. Kiedy siedziałem pod śniegiem, udało mi się umyć pyszczek, ale poległem na próbie doprowadzenia do porządku mojego gęstego futra. Tylko nałykałem się kłaków, od czego było mi niedobrze. Miałem ochotę się poddać. Kusiło mnie, żeby podejść z podniesionym ogonem do drzwi jakiegoś przyjaznego domu i dać się zaprosić do ciepłego wnętrza.

W południe tego dnia próbowałem porozmawiać z Vatim.

– Jestem już niedaleko, ale jest ciężko. Jestem przemarznięty i głodny, a moje futro wygląda fatalnie. Nie mógłbyś wyjść mi naprzeciw? – zapytałem.

Cisza. Czarne, udręczone oczy patrzyły obojętnie w moją duszę. Nic się nie zmieniło.

– Czemu nie mogę nawiązać z tobą kontaktu? – wysłałem pytanie, ale zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

A potem pojawił się biały jak śnieg Duch Lwa. Tym razem nie położył się, by otulić mnie swoją miłością. Poprosił, żebym poszedł za nim. Ruszyłem jego śladem, skupiony na emanującym z niego jasnym świetle, a on poprowadził mnie na grań, gdzie błyszczwały w słońcu zasy.

– Spójrz, Timba – powiedział. – Jesteś już prawie na miejscu.

Usiadłem obok niego, wpatrując się w dolinę, i moje serce podskoczyło z radości, bo była zielona. Zielona jak latem. Na dole nie było śniegu!

Uradowany, chciałem usiąść między jego łapami, ale nie pozwolił mi na odpoczynek.

– Odszukaj kamienną wieżę – polecił.

Rozejrzałem się i po chwili ją zobaczyłem, majaczącą w oddali. Zaczęły mrowić mnie poduszki łap. Święta energia, ta sama, którą czułem wcześniej, była tu, nawet w śniegu. Strumień energii przecinał ziemię jak srebrny miecz, a na jego końcu widziałem Vatiego. Siedział w swojej beczce, czekając na mnie...

– Musisz iść – powiedział Duch Lwa. – Nadchodzi śnieżycy. Śnieg przykryje zieloną ziemię na wiele tygodni. Jesteś słaby, Timba. Ruszaj natychmiast... NATYCHMIAST... dopóki masz jeszcze siłę.

Próbował mi uświadomić, że jeśli nie będę dostatecznie szybki, mogę zginąć w śniegu. Zapomniałem o przygębieniu i rozpaczy i pogałem w dół wzgórza, pokonując żywopłoty i bramy, przecinając drogi i zagajniki. Przed końcem dnia dotarłem do zielonej doliny, gdzie ciągle były myszy!

Złota droga stała się prawdziwą drogą; biegła wałem między głębokimi rowami, obsadzona szpalerem wierzb. Praktycznie nie było na niej ruchu, czasem tylko przetaczał się z warkotem jakiś traktor, a wtedy chowałem się w suchych

trzcinach. Parę pól dalej znajdowała się zatłoczona szosa z ciężarówkami i samochodami osobowymi.

Kiedy przystanąłem, by obejrzeć się na pokryte śniegiem wzgórza i metalową wieżę, zobaczyłem płynące szybko po niebie ciemnoszare chmury. Słyszałem północy wiatr zawodzący w gałęziach wierzb i zrozumiałem, że goni mnie śnieżycą. Duch Lwa nadal czuwał nade mną, emanując światłem jaśniejszym od śniegu. Pokrzepiony tą świadomością, biegłem dalej, wypatrując znajomych widoków. Pragnąłem jak najszybciej znaleźć się w domu. Ciągle uważałem, że dom Grahama jest moim domem. Moim pierwszym prawdziwym domem, który kochałem.

Tęsknota i ból samotności pchały mnie naprzód. Myślałem o błogim wypoczynku przy kominku i misce pełnej whiskasa w przytulnej kuchni. Wyobrażałem sobie serdeczne powitanie. Chciałem znów znaleźć się w objęciach Grahama, rozciągnąć się na wygodnej sofie, zobaczyć błysk w oczach Vatiego. Czuć dotyk i zapach mojego ukochanego brata.

Nie mogłem się już tego doczekać, więc biegłem coraz szybciej i szybciej, zatrzymując się tylko po to, by strzepnąć z futra mokry śnieg. Łapy szczypały mnie od zimna i byłem piekielnie zmęczony. Ale Vati był blisko. Czułem go.

Pokonałem pole i wyszedłem na drogę. Wszystko wyglądało inaczej, przykryte świeżym śniegiem. Podążałem śliskimi śladami kół, co było łatwiejsze niż brnięcie przez śnieg.

Z jedną łapą w powietrzu przystanąłem przy bramie i nasłuchiwałem. Padał śnieg, skrzypiały gałęzie drzew targanych przez północny wiatr. Płakało dziecko. Rozległ się kobiecy głos. A potem usłyszałem znajomy dźwięk, który powiedział mi, że jestem w domu.

– Aa, aa, aa, aa, aa, aa, AA.

Biegłem przez trawnik tak szybko, że pęd powietrza zwiewał śnieg z mojego futra, a kiedy wskoczyłem do domu przez kocie drzwiczki, znów byłem kociakiem, pełnym nadziei i bezwarunkowej miłości. Otrzeptałem się, podniosłem ogon i pomaszero wałem do salonu.

16. Stary, śmierdzący kot



Vati leżał skulony w kącie sofy. Jego futro straciło połysk, po obu stronach kręgosłupa sterczały kości biodrowe. Mały pyszczek był wychudzony, a oczy czarne i wystraszone. Zobaczył mnie, ale nie podszedł, żeby się przywitać. W ogóle się nie ruszył.

Wskoczyłem na sofę, cały przemoczony. Czy Vati wie, że pada śnieg? Czemu nie siedzi w oknie, żeby na niego patrzeć? Byłem uradowany, znowu widząc brata, i szczęśliwy, że jestem w ciepłym domu, który kiedyś był moim domem. Chciałem okazać Vatiemu swoją miłość i zabrać się za jego uzdrawianie. Lizałem go, ocierałem się policzkiem o jego policzek i mruczałem, ale nie reagował.

– Już jestem – powiedziałem. – Zaopiekuję się tobą.

Opowiadanie mu o mojej długiej podróży nie wydawało się odpowiednim pomysłem na tę chwilę. Vati zamknął się w swoim cierpieniu, a ja prawdopodobnie byłem jedyną istotą, która mogła go z tego wydobyć. Uznawszy słowa za zbyt ciche, mruczałem i ogólnie robiłem wokół Vatiego dużo szumu. Leżał bez ruchu, jak figurka chińskiego kota. Spojrzałem mu w oczy; jego górne powieki były zmarszczone. Ostatecznie położyłem się przy nim, obejmując ogonem jego grzbiet, i starałem się, by moje głośne mruczenie wypełniło nas obu.

Vati wreszcie na mnie spojrzał, z wahaniem, jakby obawiał się ruszyć. A potem do pokoju weszła mała pyzata dziewczynka. Zapiszczała radośnie na mój widok i podbiegła, żeby mnie pogłaskać.

– Nowy kotek! – zawołała i z kuchni wyłoniła się Lisa.

Zachłysnęła się powietrzem, kiedy zobaczyła mnie na sofie z Vatim.

– Nie dotykaj go, Heidi – powiedziała podniesionym głosem, odciągając małą. Potem krzyknęła do mnie: – WYNOŚ SIĘ, ty stary, śmierdzący kocie!

Patrzyłem na nią i mruczałem przyjaźnie. Posłałem jej nawet koci uśmiech. Ale ona wpadła w szał. Złapała gazetę i trzepnęła mnie nią, jakbym był osą.

– WYNOŚ SIĘ! – wrzasnęła. – NATYCHMIAST!

Nie ruszyłem się, ale byłem wstrząśnięty tym, że mnie uderzyła. Z

pewnością nie chciała tego zrobić, prawda?

Lisa zawołała do Grahama:

– Na sofie jest wstrętny, śmierdzący kot! Nie chce się ruszyć!

Liczyłem, że Graham zaraz przyjdzie i ucieszy się na mój widok. Byliśmy przecież kumplami.

– Przykro mi, skarbie. Jestem już spóźniony, a do tego pada śnieg. Muszę lecieć – zawołał z przedpokoju. – Ty się tym zajmij. Do zobaczenia później. Pa.

– FACECI – mruknęła gniewnie Lisa. – NIE, Heidi, zostaw tego kota w spokoju. Nie dotykaj go. NIE!

Heidi zaczęła płakać. Lisa podniosła wrzeszczącą małą i wsadziła ją do okrągłego kojca w kuchni. Kiedy wróciła, w ręce trzymała szczotkę do zamiatania.

– WYNOCHA – warknęła, próbując zmieść mnie z sofy.

Byłem zbulwersowany i trochę przestraszony. Nie zamierzałem jednak opuścić Vatiego po tym, jak pokonałem tyle mil, żeby go odnaleźć. Cofnąłem się do oparcia, zamknąłem oczy i wczepiłem się pazurami w sofę.

– Jesteś mokry i obrzydliwy! IDŹ SOBIE! – krzyczała Lisa. – Nie chcę cię tutaj. Dociera to do ciebie, ty stary, śmierdzący kocie? Nie chcę cię!

Vati trwał w bezruchu. Wydawał się pogodzony z tego rodzaju zachowaniem. Spojrzałem pewnie w oczy Lisy i zrozumiałem, że boi się mnie podnieść czy dotknąć. Robiła przedstawienie ze szczotką, żeby mnie przepłoszyć.

Zostałem na swoim miejscu i zobaczyłem błysk wdzięczności w oczach Vatiego. Potrzebował mnie. Wróciłem, żeby być jego wspierającym kotem. Przesłałem tę myśl Lisie, a kiedy dotarło do niej, że nie dam się przegonić, dała za wygraną i cisnęła szczotką o ścianę.

– Poczekaj, aż Graham wróci do domu – ostrzegła. – Już on się tobą zajmie – dodała i zabrała Heidi na górę.

Tymczasem Vati znowu zamknął się w swojej skorupie. Napracowałem się, żeby nawiązać z nim kontakt, a histeria Lisy wszystko popsowała. Musiałem zacząć od nowa. Musiałem ożywić mojego skostniałego brata.

Ale najpierw musiałem coś zjeść. Poszedłem do kuchni, gdzie znalazłem miskę z suchą karmą. Co za nuda. Potrzebowałem czegoś soczystego i odżywczego. Tak długo ciągnąłem obiema łapami drzwi lodówki, aż otworzyły się na oścież. Stałem, wdychając rozmaite smakowite zapachy. Wyciągnąłem kawałek sera, ale ponieważ był szczelnie zapakowany w plastik, zostawiłem go na podłodze na później. Stojąc na tylnych łapach, sprawdziłem następną półkę. Pociągnąłem zębami za folię aluminiową, która sfrunęła z szelestem na podłogę. Pod folią był talerz z kawałkami gotowanego kurczaka. WOW! Miauknąłem, wołając Vatiego, ale nadal siedział jak figurka chińskiego kota.

Ściągnąłem kilka kawałków na podłogę i zabrałem się za pałaszowanie. Był to najlepszy posiłek, jaki jadłem od miesięcy. Kiedy się nasyciłem, wybrałem

naprawdę ładny kawałek kurczaka i zaniósłem go Vatiemu. W jego oczach dostrzegłem przelotny błysk zaskoczenia. Powąchał mięso. Polizał. A potem odepchnął je nosem. Kurczak spadł na dywan, a Vati znów był jak skamieniały.

Miałem ochotę trzepnąć go łapą.

Zamiast tego usiadłem obok niego i zacząłem myć się i mrużyć. Potem przytuliłem się do niego i zapadłem w sen. Pierwszy raz, od kiedy opuściłem Angie i Leroya, było mi tak ciepło i przyjemnie. Północny wiatr walił śniegiem w okna, a zegar matki Grahama tykał i wybijał godziny. Słyszałem równe bicie mojego serca i niespokojne bicie serca Vatiego. Zawsze spaliśmy objęci. Teraz to ja byłem tym, który obejmował, bo Vati nadal siedział nieruchomy jak głaz.

Zaskakujące, ale to właśnie mój sen i moja milcząca obecność zaczęły powoli odblokowywać Vatiego. Chwila, w której poczułem, że się odprężyła, była magiczna. Wtulił się w moje futro z cichym westchnieniem, jakby od dawna czekał na ukojenie, jakie dawała braterska miłość. Zamruczałem w półśnie, dodając mu odwagi, i poczułem, jak powoli wyciąga łapy, przytulając się do mnie.

Spaliśmy głęboko, a magia lasu była z nami. Maleńkie świetlne istoty nie opuściły mnie, tylko czuwały nade mną. Teraz skupiły się wokół nas obu i ciepły blask mojej aury przenikał słabe światło Vatiego, dodając mu energii i przywracając do życia. Nie musiałem nic robić. Wystarczyło, że kochałem. Miłość jest światłem życia.

Ożywanie Vatiego miłością było takie proste, a zarazem piękne i pouczające. Było nagrodą po trudach długiej podróży i wiedziałem, że niezależnie od tego, co robili ludzie, nie mogli nam odebrać naszej miłości. Byliśmy bliźniaczymi duszami. Byliśmy Timbą i Vatim, nazwanymi tak na cześć białych lwów, które przybyły, by ocalić świat.

Przebudziwszy się na chwilę, zobaczyłem wtulonego we mnie Vatiego i jego uśmiechnięty pyszczek. Potrzebowałem czasu, by go całkowicie uzdrowić, zanim wtrącą się ludzie i nas rozdziela. Zażękniałem za Angie i Leroyem. Tutaj, z Grahamem i Lisą, nie byłem pewien, co się stanie.

Lisa nazwała mnie starym, śmierdzącym kotem! Może widziała tylko moje skołtunione futro, nie MNIE. To bolało. Bardzo. Ale starałem się o tym nie myśleć. Skupiłem się na Vatim. Miał takie pogodne usposobienie. Był wspaniałym towarzyszem zabaw i istną skarbnicą tajemnej wiedzy. Był superwrażliwym kotem, prawdziwym darem dla ludzkiej rasy... Więc co się z nim stało? Ciągle nie wiedziałem.

Ucieszyłem się na widok Grahama, który wrócił wieczorem do domu. Otupał buty ze śniegu i zostawił je na macie. Rozpoznał mnie natychmiast po wejściu do salonu.

– Timba!

Wpatrywał się we mnie, a ja posłałem mu koci uśmiech i zamruczałem. Nie

chciałem obudzić Vatiego.

– Nie wierzę własnym oczom! – powiedział zdumiony Graham. – Skąd się tu wzięłeś, Timba? Chyba nie przyszedłeś tu z Południowej Walii!

Wydałem z siebie potakujące miauknięcie, które Graham zrozumiał, bo dobrze mnie znał. Usiadł na podłodze, patrząc na mnie z szacunkiem i współczuciem. Było to bardzo miłe, zwłaszcza po tym, w jaki sposób potraktowała mnie Lisa! Chciałem zrobić z nim noski-noski, ale czułem się zobowiązany pozostać w bezruchu dla dobra Vatiego. Doceniałem, że Graham przybliżył twarz, byśmy mogli się przywitać. Byłem wzruszony, on też, sądząc po łzach w jego oczach. Głaskał mnie delikatnie, pomimo rzepów i kołtunów.

– Jesteś w oplakany stanie, Timba – powiedział. – Musiałeś przedzierać się przez śnieg, biedaku! A jak się przedostałeś przez rzekę? Timba, to taki kawał drogi! Co za dzielny, mądry kot.

Przemawiał do mnie tak czule, że chciało mi się płakać. Przez cały ten czas miauczałem potakująco. Graham spojrzał na Vatiego, który w dalszym ciągu leżał z błogim wyrazem pyszczka, wtulony w moje gęste futro.

– Vati cię potrzebował – rzekł. – Wiedziałaś o tym, prawda, Timba? Biedny mały Vati. Czuję się taki winny... Żałuję...

Zamierzał powiedzieć mi, co się stało. Spiałem się, słysząc schodzącą na dół Lisę. Otworzyła ostrożnie drzwi i zajrzała do salonu.

– Pozbyłeś się go? – spytała.

Graham wyglądał na zmieszanego, ale nie przestał mnie głaskać.

– Lisa, to jest Timba – powiedział. – Sam pokonał drogę aż z Południowej Walii, na litość boską! Dwieście mil.

– Mam to gdzieś, Graham. Jest WSTREŃNY. Musi zniknąć z naszego domu.

Graham trzymał rękę na moim futrze, jakby mnie chroniąc.

– Nie wyrzucę Timby na śnieg – odparł stanowczo. – Ma za sobą długą wędrówkę. Nic dziwnego, że jest trochę zaniedbany.

– Trochę zaniedbany! – Lisa spojrzała na mnie gniewnie. – Śmierdzi jak nieboskie stworzenie, ma pchły i zapaskudził całą sofę. No i co z Heidi?

– A co ma być? Wszystko z nią w porządku, prawda? Położyłaś ją?

– Zasnęła, dzięki Bogu. Inaczej nie można by jej było oderwać od tego brudasa. Graham, on stanowi zagrożenie dla zdrowia. Chcę, żeby stąd zniknął.

– Przesadzasz, skarbie. Już mówiłem, nie wyrzucę go. Zostanie tu, dopóki Angie go nie zabierze.

– Dzwoniłeś do niej?

– Nie. Wróciłem do domu zaledwie pięć minut temu. Jeszcze zdążę do niej zadzwonić.

– Ach, tak! A tymczasem twój dom, dom twojej córki, zamienia się w chlew... O, Boże... czy na podłodze leży kawałek kurczaka?

– Gdzie?

– Prawie na nim usiadłeś.

Graham odwrócił się i zobaczył kawałek kurczaka, którym wzgardził Vati. Podniósł go i położył na sofie.

– Zabierz to z sofy! Wystarczy, że dywan jest zatłuszczony. Wszędzie będą bakterie. Chcesz, żeby Heidi złapała salmonellę?

Graham nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Dotknął kurczaka, puszczając do mnie oczko.

– Ktoś tu się włamał do lodówki, co? – powiedział rozbawiony. – A niech mnie! Wiesz co, Lisa? Ten kot umie otwierać lodówkę. Przyniósł Vatiemu jedzenie. Czy to nie urocze?

– Przestań mnie wkurzać. – Aura Lisy była ciemna jak chmura burzowa. Tupnęła nogą i oznajmiła: – Albo zrobisz coś z tym kotem, albo pakuję się i zabieram Heidi do mojej mamy.

Odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami. Vati podskoczył. Zamruczałem do jego ucha, polizałem po głowie i ułożył się z powrotem do snu.

Graham westchnął, przewracając oczami.

– Lepiej zadzwonię do Angie – powiedział. – Będzie uszczęśliwiona.

W nocy dowiedziałem się wreszcie, co dolega Vatiemu. Prawda była straszniejsza niż moje najczarniejsze obawy.

Jak zawsze obudziłem się o północy. Zegar matki Grahama zabił dwanaście razy. Wyswobodziłem się z objęć Vatiego i wskoczyłem na mój ulubiony parapet. Śnieżycy się skończyła, świecił srebrny księżyc. Ośnieżone gałęzie i konary jabłonki lśniły w jego blasku.

Uświadomiłem sobie, że rano nie muszę ruszać w drogę. Mogłem spokojnie najeść się i bawić! Najpierw znowu włamałem się do lodówki i wyciągnąłem resztę kurczaka. Najlepszy, najbardziej soczysty kawałek zaniósłem Vatiemu. Tym razem spojrzał na mnie i postanowił spróbować. Potem zjadł jeszcze trochę i usiadł, wpatrując się we mnie. Odwzajemniłem jego spojrzenie i zobaczyłem, że chce, abym dostrzegł ból w jego oczach.

– Co się stało? – zapytałem.

Vati wyciągnął do mnie łapę. Wyglądała dziwnie. Obwąchałem ją i wyczułem rozpalenie i ból. Wyciągnął drugą łapę. To samo.

– Co się stało? – powtórzyłem.

Czekałem, a Vati zaczął płakać. Buczał i wydawał z siebie ciche popiskiwanie. Był to płacz bardzo udręczonego kota. Jego ból był niewyobrażalny. Ale nie chodziło o ból fizyczny, spowodowany wypadkiem czy chorobą. Vati został znieważony. Jego piękne łapy, tak istotna część ciała każdego kota, zostały celowo uszkodzone.

Mogłem zapomnieć o zabawie z Vatiem w śniegu. Pozwoliłem mu płakać.

Siedziałem przy nim, liżąc go i pocieszając najlepiej, jak umiałem. Kiedy się wyplakał, wreszcie wyznał przerażającą prawdę.

– Amputowali mi pazury – powiedział, pokazując mi palce.

Jego wspaniałe pazury zniknęły! Po prostu zniknęły! Vati stracił przez to całą chęć do życia. Nie mógł się bawić ani wspinać. Nie mógł się bronić. Został okaleczony.

Nic dziwnego, że czułem, że pragną umrzeć.

– Dlaczego? – zapytałem wstrząśnięty.

– Heidi ciągnęła mnie za ogon, naprawdę mocno – odparł. – Ból przeszywał moje ciało, a ona nie przestawała ciągnąć. Więc ją podrapałem. Lisa chwyciła szczotkę i wypędziła mnie na dwór. Następnego dnia, kiedy jadłem śniadanie, złapała mnie i wsadziła do transportera. Zabrała mnie do weterynarza i powiedziała, że chce, żeby amputował mi pazury. Rick odmówił, więc zawiozła mnie do innego weterynarza, który to zrobił. Uspiał mnie, a kiedy się obudziłem, czułem w przednich łapach palący ból. Nie mogłem chodzić, nie byłem w stanie utrzymać równowagi. Nie mogłem uwierzyć w to, co mi zrobili.

– To okropne – powiedziałem, czując jego ból we własnych łapach i w sercu.

– I nieodwracalne – dodał Vati.

Czułem bezsilną wściekłość. Czy właśnie to czuł wtedy Duch Lwa? Czy jemu też ludzkie okrucieństwo nie mieściło się w głowie? Poważnie rozważałem zabranie Vatiego w dzicz. Podążylibyśmy złotą drogą i zamieszkali w lesie. Ukryci, z dala od ludzi, spędzilibyśmy tam resztę życia. Przysięgłem sobie, że nigdy więcej nie zostawię swojego brata.

Duch Lwa pojawił się, ledwie o nim pomyślałem. Oczy Vatiego zrobiły się okrągłe i świejące, jego aura pojaśniała. Leżeliśmy obok siebie, a Duch Lwa otoczył nas swoimi aksamitnymi łapami i zaczął mruczeć. Mruczenie lwa różni się od kociego. Lew mruczy tylko na wydechu, ale jego mruczenie jest głośne, jakby grały werble. Tuliliśmy się z Vatiem w ciepłym blasku światła, którym emanował Duch Lwa. Czułem, że Vati nie mruczał, od kiedy został pozbawiony pazurów, ale teraz to robił. Słuchanie jego cichych pomruków, mieszających się z moimi głośnymi, uspokajało mnie i podnosiło na duchu.

– Nie jesteś bezsilny, Timba – powiedział Duch Lwa – ponieważ umiesz kochać, a na miłość nigdy nie jest za późno. – Spojrzał z czułością na Vatiego. – Wy dwaj musicie wypełnić swoje przeznaczenie. I musicie być teraz razem, ale nie w dziczy. Vati potrzebuje opieki. Nie odzyska pazurów, ale może nauczyć się żyć na nowo, z twoim wsparciem, Timba. Jesteś w tym naprawdę dobry.

Promieniałem z radości. Taka pochwała to było coś.

– Obaj możecie uczyć i inspirować – dodał Duch Lwa, pokazując mi Leroya, który w odległej Południowej Walii nie spał, tylko stał przy oknie i patrzył na ten sam srebrny księżyc. – Ludzie nie nauczą go tego co wy. Leroy posiada wiedzę,

która nie jest dostępna dla wszystkich, i ma odwagę podążać za swoimi marzeniami. Potrzebuje dużo miłości, wybrał bowiem drogę samotności. Każdego dnia musi stawiać czoło okrucieństwu i wrogości ze strony tych, którzy chcą go osłabić, a mimo to nie traci ducha.

– Czego możemy go nauczyć? – spytałem.

– Bezwarunkowej miłości, która trwa wiecznie. Bezwarunkowa miłość jest źródłem wszelkiego dobra. Daje siłę, odwagę i zrozumienie. Uzdrawia i otwiera drzwi do prawdziwej wiedzy. – Duch Lwa głośno westchnął. – Przypominajcie mu... i Angie... żeby nie zapominali o zabawie. Dobry humor jest mostem rozpiętym nad wzburzonymi wodami życia.

Zaczął się rozpląwać w ciszy spowitej śniegiem nocy.

– Trzymajcie się razem – szepnął i opuścił nas, przytulonych do siebie w kącie sofy.

O świcie Lisa zeszła na dół i obrzuciwszy mnie nienawistnym spojrzeniem, ruszyła w moją stronę z żółtymi gumowymi rękawicami na rękach. Potem zmieniła zdanie i poszła do kuchni. Zatrasnęła drzwi lodówki, wyjęła z szuflady rolkę taśmy klejącej i zakleiła kocie drzwiczki! Otworzyła drzwi do ogrodu i do środka napłynęło zimne powietrze.

Z rozłożonymi szeroko rękami znowu zaczęła iść w moją stronę. Była spięta i oddychała szybko, nie spuszczając ze mnie oczu. Zrozumiałem, że zamierza mnie złapać i wyrzucić na śnieg.

Vati też się zorientował, co jest grane. Spojrzał na Lisę i wydał z siebie przeciągłe miauknięcie. Była to prośba płynąca prosto z serca:

– Nie wyrzucaj mojego brata.

Jednak ona szła dalej. Wczepiłem się pazurami w sofę.

Lisa chwyciła mnie i zaczęła ciągnąć. Ciągnęła i ciągnęła, ale się nie dawałem.

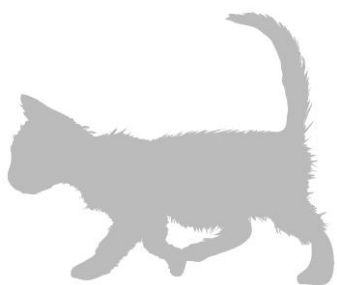
– No już... puść się. Wypadasz stąd – mamrotała, dysząc ciężko.

Wtedy zrobiłem coś, czego nie robiłem nigdy wcześniej. Zawarczałem jak pies, patrząc na nią złowrogo. Vati przyłączył się do mnie, warcząc z groźną miną.

– Ty uparty, stary łajdaku – wycodziła, dając za wygraną. Była cała roztrzęsiona. Wróciła do kuchni, zdarła taśmę z kocich drzwiczek i rzuciła gumowe rękawice na kredens.

Vati i ja popatrzyliśmy na siebie z triumfem. Runda pierwsza... dla Timby i Vatiego!

17. Uzdrawianie



Czemu ciągle słyszę, że jestem stary? – zapytałem Vatiego. – Jestem młodym kotem.

– Chodzi o twoje futro – odpowiedział taktownie. – Trzeba je doprowadzić do porządku.

– Angie by wiedziała, co robić – stwierdziłem, jednocześnie uświadamiając sobie, że Vati wygląda teraz lepiej i jest z nim kontakt. Ale był zbyt poważny. Przypomniałem sobie, co Duch Lwa mówił o zabawie. – Nie bądźmy tacy poważni – powiedziałem, rozglądając się za myszką z kocimiętką.

Lisa poszła na górę, więc zszedłem z sofy i znalazłem myszkę schowaną w małym koszyku pod oknem. Zabrałem ją na sofę i położyłem przed Vatim. Na chwilę rozbłysły mu oczy i już myślałem, że zacznie się bawić. Jednak on odsunął myszkę, schował łapy pod siebie, a jego oblicze znów nabrało kamiennego wyrazu.

Wobec tego postanowiłem, że sam poszaleję... w tym domu, który tak dobrze znałem. Może Vati się przyłączy, pomyślałem, wyrzucając myszkę w powietrze. Zaniósłem ją do butów Grahama i wepchnąłem w palce jednego z nich. Dobrze się bawiłem, wyciągając ją z powrotem, a potem goniąc za nią wszędzie. Odważyłem się nawet zanieść ją na szczyt schodów, skąd ją zaraz zrzuciłem. Vati wodził za mną zaciekawionym wzrokiem, ale udawałem, że tego nie zauważam. Chciał się bawić. Dajcie mi parę dni i będzie się bawić jak dawniej, pomyślałem.

Rozkręcałem się coraz bardziej. Biegałem w tę i z powrotem po schodach, atakowałem oparcie sofy, ślizgałem się po podłodze w kuchni, ściągając przy okazji chodnik, który tam leżał. Znalazłem pluszowego misia Heidi i spuściłem mu manto. Wskoczyłem na niego i kopałem tylnymi łapami. Potem chwyciłem go zębami za ucho i ciągałem za sobą po blatach, ostatecznie porzucając pluszaka w zlewie. Nie bawiłem się tak dobrze od tygodni.

Ale kiedy usłyszałem, że na górze otworzyły się drzwi, wróciłem czym prędzej na sofę i usadowiłem się obok Vatiego. Miałem rozbiegany wzrok i strasznie swędziała mnie sierść. Drapałem się wściekle, rozrzucając kłaki po całej

sofie.

Z góry zszedł Graham. Co za ulga!

Chciałem mu powiedzieć, jak bardzo mnie zabolalo, gdy po długiej, męczącej podróży Lisa nazwała mnie starym, śmierdzącym kotem, więc wydałem z siebie głośniejsze, przeciągłe miauknięcie. Graham słuchał, siadając obok nas. Miał na sobie puchaty niebieski szlafrok i pachniał żelem pod prysznic.

– Nie martw się, Timba – powiedział. – Zostałem wykopany z łóżka, żeby zadzwonić do Angie. Muszę ją złapać, zanim wyjdzie do pracy.

Wpatrywałem się w oczy Grahama i widziałem w nich dziwną mieszaninę życzliwości i poczucia winy. Rzadko wydawałem z siebie dwa wzmocnione przeciągłe miauknięcia... jedno zazwyczaj wystarczało... ale chciałem, żeby wiedział, jak bardzo Vati cierpiał, więc miauknąłem jeszcze raz, kładąc łapę na małej główce brata.

– Boże... wiem, wiem, Timba – rzekł Graham z westchnieniem. – Vati nie jest szczęśliwy. Będę musiał powiedzieć o tym Angie. Wścieknie się.

Zaprosił mnie na kolana, żebym lepiej słyszał rozmowę telefoniczną, ale byłem zdecydowany zostać przy Vatiem. Obaj nasłuchiwalismy dźwięków dobiegających ze słuchawki.

– Halo, tu Angie.

Kiedy po tak długim czasie znów usłyszałem jej piękny, ciepły głos, przepełniła mnie radość. Vati też go słyszał. Czy to się dzieje naprawdę? – zapytał mnie wzrokiem. Jego oczy lśniły zielenią. Usiedliśmy prosto, wgapiając się w telefon. Niemal spodziewałem się, że zaraz zmaterializuje się przede mną miska whiskasa. I szczotka. Angie na pewno by mnie wyczesala, żeby uzdrowić moje futro, i wyściskała, żeby uzdrowić moją duszę.

– Graham! – powiedziała pogodnie. – Czemu dzwonisz tak wcześnie?

– Próbowałem dodzwonić się do ciebie wczoraj wieczorem – odparł.

– Miałam zebranie z rodzicami – wyjaśniła Angie. – Ciągnęło się w nieskończoność. No dobra... mów, Graham. To niepodobne do ciebie, żeby dzwonić o tak wczesnej porze. Ktoś umarł?

– Nie – zaprzeczył Graham. Jego oczy lśniły; wyraźnie nie mógł się doczekać, by przekazać jej dobrą nowinę. – Zgadnij, kto się tu zjawił?

– Kto?

– Timba.

– TIMBA! Żartujesz?

– Nie, jest tu. Wszystko z nim w porządku. Siedzi obok mnie na sofie.

Na chwilę zapadła cisza. A potem usłyszeliśmy krzyk radości, który sprawił, że Graham się uśmiechnął. Nawet Vati zmrużył oczy, a po jego pyszczku przemknął cień uśmiechu. Zrozumiałem wtedy, jak bardzo potrzebuje Angie i jej uzdrawiającej miłości.

– Ale przecież Timba zaginął jesienią, a teraz jest luty – powiedziała Angie.
– Jesteś pewien, że to on?

– Na sto procent – zapewnił Graham, głaszcząc mnie po głowie. – Zamrucz dla Angie.

Przystawił mi telefon do pyszczka, a ja wydałem z siebie kolejne przeciągłe miauknięcie, za co zostałem nagrodzony drugim okrzykiem radości.

– Brzmi jak Timba. To ON! Boże... nie mogę przestać płakać. Och, Timba, pokonałeś taką drogę... dwieście mil... Och, ty kochany, mądry kotku. Nie mogę przestać płakać... Och, DZIĘKUJĘ CI, WSZECHŚWIECIE!

– Dawno TEGO nie słyszałem – powiedział Graham, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Naprawdę nic mu nie jest? – dopytywała Angie. – Sprawdziłeś jego łapy, ogon? Nie ma żadnych obrażeń?

– Nie. Jest w pełni sprawny – odparł Graham. – Ma skołtunione futro i był wygłodzony, ale nie zapomniał, jak się otwiera lodówkę.

– BOSKO! – wykrzyknęła Angie. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby dowiedziała się, że Lisa nazwała mnie starym, śmierdzącym kotem. – Poczekaj chwilę, Graham... muszę obudzić Leroya. – Usłyszeliśmy jej szybkie kroki i skrzypnięcie drzwi pokoju Leroya. Nie krzyczała. Budziła go szeptem: – Obudź się Leroy. Mam wspaniałe wieści. Obudź się.

Rozległ się przytłumiony pomruk protestu.

– Timba jest u Grahama. Nic mu nie jest.

– Naprawdę, Angie? Nie żartujesz?

– Nie żartuję. Timba się ODNALAZŁ.

Przybili piątkę, krzycząc:

– TAK!

– Daj mi telefon – poprosił Leroy i po krótkiej chwili usłyszałem coś, za czym również strasznie się stęskniłem podczas mojej samotnej wędrówki: – Cześć, Timba.

Odpowiedziałem na jego ochryple powitanie, miauczając i pomrukując.

– Gdzie się podziewałeś, Timba? Tęskniłem za tobą. Dużo płakałem – powiedział Leroy.

– Timba całuje telefon – oznajmił Graham, śmiejąc się ze mnie.

Wyobraziłem sobie rozpromienioną twarz Leroya. Nie czułem już bólu w sercu. Czułem miłość płynącą od dwojga moich ludzi. W tym momencie byłem najszczęśliwszym kotem na świecie.

– Teraz mruczy. – Graham nadal uśmiechał się szeroko, pozwalając mi mrużyć do telefonu. Starłem się mrużyć jak najgłośniej. Moje mrużenie musiało pokonać wiele mil, przedostać się przez lśniąca rzekę i ciemny las, by dotrzeć do moich ukochanych. – Możesz po niego przyjechać, Angie? Czy ja mam

ci go przywieźć?

– Oczywiście, że po niego przyjadę. Nic mnie nie powstrzyma – zapewniła Angie. – Jest u was śnieg?

– Topi się – odpowiedział Graham, spoglądając w okno.

Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem. Kawałki lodu odrywały się od pokrywającej szybę kryształowej skorupy i ześlizgiwały, błyszcząc w porannym słońcu.

Graham przestał się uśmiechać, dopiero kiedy zobaczył Lisę. Była wyprostowana jak struna, a z jej napiętej twarzy biła nienawiść. Wpatrywaliśmy się w nią wszyscy trzej, czując, jak zmienia się otaczająca nas energia. Odgrodziłem Vatiego od niej i wczepiłem się pazurami w sofę. Stary, śmierzdzący kot, tak? Jeszcze się przekona, na co mnie stać.

Przysięgłem sobie, że nikt, nawet Angie, nie rozdzieli mnie z Vatim. Tyle że jeszcze nie wiedziałem, co zrobię, kiedy ona po mnie przyjedzie.

Graham próbował zabrać mnie do weterynarza przed przyjazdem Angie. Nie chciałem jechać, zwłaszcza że już wiedziałem, co spotkało Vatiego. Lisa mogła zafundować amputację pazurów również mnie! Tak więc po raz kolejny wczepiłem się pazurami w sofę. Graham usiłował mnie odczepić, ale ledwie oderwał którąś łapę, natychmiast zatapiałem pazury z powrotem w obiciu.

– Ale z ciebie uparciuch, Timba – mruknął poirytowany. Kiedy jednak spojrzałem na niego i zamiauczałem żałośnie, zrozumiał, o co chodzi. – Wiem, nie chcesz zostawić Vatiego, prawda? Cóż, może jechać z nami.

Vati posłał Grahamowi miazdzące spojrzenie i uciekł pod sofę. Graham usiadł, chowając głowę w dłoniach.

– Skaranie boskie z tymi kotami... i kobietami... – Westchnął, zerkając na Lisę, która stała w progu z Heidi na rękach i nadzorowała całą akcję.

– Cóż, nie zamierzam... powtarzam, nie zamierzam przygotowywać dla NIEJ lunchu – powiedziała Lisa, a ja wiedziałem, że ma na myśli Angie. Co ciekawe, Angie mówiła o Lisie w taki sam sposób, to znaczy też nie używała jej imienia. – I chcę nową sofę. Jutro.

Graham załatwił, że weterynarz przyjechał do nas. Był to Rick, którego dobrze pamiętałem. Otaczała go niezwykle jasna poświata. Nawet Vati się wynurzył, żeby go zlustrować wzrokiem, a gdy zobaczył, że Graham wyniósł transporter, wrócił na swoje miejsce w kącie sofy. Rick usiadł na sofie, wyciągając swoje długie nogi. Przytuliłem się do niego, a jemu zdawało się nie przeszkadzać moje zapuszczone futro.

– Jesteś uroczy, staruszkule – powiedział.

– To młody kot – sprostował Graham. – Ale ma za sobą długą drogę. Pokonał dwieście mil, żeby wrócić do swojego brata. Dlatego jego futro jest w tak koszmarnym stanie.

– Trzeba będzie je obciąć – orzekł Rick, głaszcząc mnie swoimi długimi, świetlistymi palcami. – Ale ja tego nie zrobię. Zostawię wam ulotkę o długowłosych kotach i najlepiej będzie, jeśli zrobi to Angie, kiedy zabierze go do domu. Musimy działać rozważnie, krok po kroku. Timba przeżył ogromną traumę.

Rick był genialnym weterynarzem. Prawdziwym czarodziejem. Zrobił mi dwa zastrzyki tak, że ledwie to zauważyłem. Zapłacił mi krople na pchły i nasmarował maścią moje zaświerzbione uszy. Wszystko to robił bardzo delikatnie, cały czas przemawiając do mnie.

Kiedy skończył, nie zostawił mnie samemu sobie, tylko pozwolił, żebym wyciągnął się na jego piersi, dzięki czemu czułem moją wdzięczność i mruczenie. Kątem oka dostrzegłem, że Vati usiadł prosto, wpatrując się w Ricka.

– A co dolega temu drugiemu? – zapytał. – Vati, prawda?

Graham miał winę wypisaną na twarzy.

– Moja żona kazała pozbawić go pazurów – wyjaśnił. – To bardzo wrażliwy kot o niezwyklej osobowości, ale amputacja pazurów całkiem go zmieniła. Od tamtej pory nie jest sobą. Nie bawi się, prawie nie je... zresztą sam widzisz.

Vati wyciągnął łapę do Ricka, a jego zielone oczy były pełne bólu. Obaj mężczyźni wyglądali na poruszonych. Vati opuścił łapę i wyciągnął drugą. Rick ujął ją delikatnie i zamknął w swojej dłoni, szepcząc:

– Biedny Vati.

Jego dłoń promieniowała nieziemskim światłem, które zmieniało kolor od śnieżnobiałego po kojący, szmaragdowy, obmywając okaleczoną łapę Vatiego uzdrawiającą miłością.

Zamarliśmy wszyscy w pełnym szacunku bezruchu, bo to była magia. Coś tak niezwyklego i ulotnego wymagało całkowitego spokoju, by zadziałać. Słyszeć było tylko kapanie topniejącego śniegu za oknem, tykanie zegara matki Grahama i moje mruczenie.

Rick zamknął oczy, jakby czemuś się przysłuchiwał. Połyskujący strumień słów płynął powoli, lecz każde słowo było na tyle silne, by wnikać do spowitego bólem kociego serca. Vati słuchał, chłonąc uzdrawiającą energię, jakby to były promienie słoneczne ogrzewające jego ciało.

– Nie możemy zwrócić ci pazurów, Vati – powiedział Rick – ale możesz na nowo nauczyć się chodzić i bawić. Wspinanie się na drzewa odpada, ale będziesz mógł skakać i biegać, i bawić się z Timbą.

Dłonie Ricka promieniowały teraz silnym niebieskim światłem. Przeniósł je na głowę Vatiego i mówił dalej:

– Uwolnij się, Vati, uwolnij się od złości. Pozwól jej odpłynąć i zniknąć na zawsze.

Vati westchnął głośno i zobaczyłem, że jego aura odzyskuje swoją poprzednią jasną barwę.

– Nie będzie cię więcej dręczyć – powiedział Rick. – Jesteś wolny.

Pojąłem, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Tak miało być. Rick miał się tu zjawić, żeby uzdrowić Vatiego. Kiedy Graham usiłował oderwać mnie od sofy, spłynęła na mnie lwia siła, żeby stawić mu opór. Dzięki temu Rick przyjechał do domu Grahama – w swoim wolnym dniu, jak się okazało – i poświęcił nam swój czas.

Zobaczyłem Lisę. Na jednej ręce trzymała Heidi, a drugą ciągnęła za sobą walizkę przez hol. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi samochodu, a potem warkot silnika. Lisa opuściła dom. Na zawsze, powiedział głos w mojej głowie. Opuściła ten dom na zawsze.

– Nie masz nic przeciwko, żebym został jeszcze z godzinę? – zapytał Rick.

– Chciałbym dokończyć pracę z Vatiem... i zobaczyć się z Angie.

– Jasne, że nie – odparł Graham. – Zrobię kawę.

– Nie – zaprotestował Rick. – Zostań. Nie przerywaj uzdrawiającego kręgu, który utworzyliśmy dla Vatiego. Potrzebujemy twojej energii.

Graham przewrócił oczami, jakby zamierzał powiedzieć, że to jakiś nonsens, ale Rick spojrział na niego stalowym wzrokiem.

– Weźmiesz Timbę? – spytał. – Chcę zobaczyć, czy Vati do mnie przyjdzie.

Przekazał mnie w objęcia Grahama, gdzie nadal mruczałem, sadowiąc się w taki sposób, by widzieć brata.

Vati wiedział, że znajduje się wewnątrz magicznej bańki. Z gracją przemieścił się na klatkę piersiową Ricka. Leżał z wyciągniętymi łapami, wpatrując się w jego twarz. Zegar matki Grahama tykał nieprzerwanie, za oknem nadal kapał topiący się śnieg. I nagle zobaczyłem, jak rozbłysły gwiazdy. Na każdą łapę Vatiego przypadała jedna lśniąca gwiazda, a ta świecąca niebiesko symbolizowała jego umysł.

Prawdziwa magia.

Kiedy kuracja dobiegła końca, Vati zeskoczył z sofy i przeciągnął się. Podniósł ogon i zaczął ocierać się o nogi Grahama.

– Pierwszy raz ma uniesiony ogon! – zauważył Graham, a Vati miauknął do niego i poszedł do kuchni.

– Nie dawaj mu suchej karmy – powiedział Rick. – Potrzebuje czegoś soczystego.

Graham otworzył dwie saszetki whiskasa i wycisnął ich zawartość do miski, do podziału dla nas obu. Vati jadł zachłannie, lecz nie warczeliśmy na siebie. Spożywaliśmy posiłek w pełnej zgodzie, w końcu byliśmy najlepszymi przyjaciółmi i braćmi.

Wkrótce siedzieliśmy obok siebie, wpatrując się w ogień buzujący w kominku i ciesząc się jego ciepłem, podczas gdy Rick i Graham rozmawiali przy kawie.

– Gdzie nauczyłeś się tego sposobu leczenia? – spytał Graham. – To uzdrawianie duchowe, prawda? Założę się, że nie uczą tego na uniwersytecie.

– No nie – odparł Rick. – Nauczyła mnie tego pewna urocza staruszka, pani Lanbrow.

Miauknąłem, spoglądając na Ricka.

– Tak, Timba, to ona uratowała cię i przyniosła do mnie, kiedy byłeś kociakiem.

– To naprawdę działa – powiedział Graham, marszcząc brwi. – Nigdy nie wierzyłem w tego rodzaju rzeczy... ale wystarczy spojrzeć na Vatiego!

Najważniejszą rzeczą było dla mnie zostać z Vatiem. Jasno określiłem swoje stanowisko. Ale nadal nie wiedziałem, co będzie, kiedy przyjedzie po mnie Angie.

Gdy usłyszałem jej samochód, doświadczyłem mieszanych uczuć. Przez całą moją długą, samotną podróż niosłem w sercu miłość i tęsknotę. Pragnąłem być z Angie. I z Leroyem. Teraz jednak mojemu niecierpliwemu wpatrywaniu się w drzwi towarzyszył niepokój. Na upragniony dźwięk szybkich, znajomych kroków przyszła mi do głowy myśl o ucieczce. Ale czy Vati przetrwałby na wolności bez pazurów? Czy byłbym w stanie zatroszczyć się o nas obu? Czy mógłbym spędzić resztę życia ze skołtunionym futrem, cierpiąc głód i tęsknotę?

– Nie rób tego, Timba. Nawet o tym nie MYŚL – głos Ducha Lwa rozbrzmiał w mojej głowie. Był tutaj z nami, choć nie wiedziałem jeszcze, z jakiego powodu. Widziałem jego jasną poświatę, kiedy krążył wokół nas.

– Wejź, Angie – zawołał Graham, podrywając się pospiesznie.

Ciągle ją kocha, pomyślałem.

Do środka wpadł Leroy i uśmiechnął się szeroko na mój widok. Wydałem z siebie najgłośniejsze w całym moim życiu miauknięcie i popędziłem do niego z podniesionym ogonem.

– TIMBA! – Leroy podniósł mnie delikatnie i schował twarz w moim futrze.
– Kochany kotek!

Po chwili byłem już na rękach Angie. Obejmowałem ją łapami za szyję, mrużąc jak oszalały i zlizując łzy z jej twarzy.

– Kiedy to powiesz? – zapytał z szerokim uśmiechem Graham.

– Co?

– Dziękuję ci, wszechświecie.

Angie uśmiechnęła się do niego. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Jak tylko przestanę płakać – odezwała się wreszcie Angie, a Graham wyjął z kieszeni płócienną chustkę do nosa i jej podał. – O rety... Brakowało mi tych twoich chustek... Dobrze cię widzieć, Graham... i owszem... dziękuję ci, wszechświecie!

– Daj mi Timbę, proszę – powiedział Leroy i wróciłem w jego objęcia.

Mrucząc, ocierałem się nosem o jego nos. Leroy urósł i zmężniał. Jego aura była silniejsza, a on sam wydawał się spokojniejszy, bardziej dorosły.

– Macie za sobą długą drogę – rzekł Graham. – Zostaniecie na lunch? Lisy nie ma, ale możemy zjeść tosty i zupę.

– Chętnie, dzięki – odparła Angie. – Potem zabierzemy Timbę do domu.

Przez cały ten czas nikt nie zwracał uwagi na Vatiego, który siedział na chodniku, patrząc na to zamieszanie smutnym, niespokojnym wzrokiem. Nie chciał, żebym jechał. Co powinienem zrobić? Spojrzałem w okno. Słońce osuszało ostatnie krople stopionego śniegu.

– Nie uciekaj więcej, Timba – powiedział Leroy, jakby czytając w moich myślach. Głaskał mnie delikatnie. – Musimy doprowadzić twoje futro do porządku, żebyś znowu był śliczny i błyszczący.

Podczas lunchu ludzie gadali jak najęci. Vati spał, ale ja czuwałem, przysłuchując się rozmowie i patrząc na białe światło roztaczane przez Ducha Lwa zza sofy, na której siedzieli Rick i Leroy z tacami na kolanach. Duch Lwa na coś czekał. No i się doczekał.

Leroy wyciągnął z kieszeni komórkę i pokazał ją Rickowi.

– Mam teraz smartfona – oznajmił z dumą. – Chciałbyś zobaczyć moje rysunki?

– Owszem, pokaż – zgodził się Rick z umiarkowanym entuzjazmem.

– Są fantastyczne – powiedziała Angie.

Leroy przesuwiał palcem po ekranie telefonu, a jego oczy błyszczały podnieceniem.

– Rysuję tylko lwy – poinformował i zaczął pokazywać Rickowi swoje prace. – To białe lwy z Timbavati w Afryce.

Rick wpatrywał się w obrazki z wyraźnym zaskoczeniem.

– Ty je narysowałeś?

Leroy potwierdził skinieniem głowy.

– Są... niesamowite. Genialne! – pochwalił Rick. – Czemu akurat białe lwy?

– Zjawily się, żeby ocalić świat – wyjaśniał rozentuzjasmowany Leroy. – Niewiele ich zostało... Trzysta jest na wolności, trochę żyje w ogrodach zoologicznych. W Afryce ludzie wierzą, że białe lwy zstąpiły z gwiazd... Angie czyta mi książkę na ten temat.

– Jestem zorientowany w temacie – powiedział Rick. – Byłem w Timbavati i widziałem białe lwy. Pojechałem tam jako wolontariusz, kiedy studiowałem weterynarię.

Leroy popatrzył na niego z szacunkiem i podziwem.

– Pojadę tam, kiedy dorosnę. Prawda, Angie? Pomogę białym lwom zmienić świat.

– Nic mi nie wiadomo o zmienianiu świata – rzekł Rick – ale pobyt tam

zmienił moje życie. Nie chciałem wracać do domu. Nie jest jednak łatwo zbierać pieniądze, Leroy. Musisz być twardy...

– Wiem – odparł Leroy. – Umiem być wytrwały, prawda, Angie?

– Twoje rysunki są naprawdę nadzwyczajne. Byliby nimi zachwyceni w Timbavati Centre.

– Kiedy będę miał ich wystarczająco dużo, Angie pomoże mi oprawić je w ramki. Zrobię wystawę i sprzedam je za kupę kasy. Potem będę mógł kupić bilet na samolot i polecieć do Timbavati, żeby pracować z białymi lwami.

– Serio o tym myślisz?

– Jak najbardziej serio. – Leroy, otulony blaskiem Ducha Lwa, patrzył na Ricka. – Nie chcę robić nic innego i nie obchodzi mnie, co myślą inni. Nikt mnie nie powstrzyma.

Mówił z taką pewnością siebie, że nawet Graham i Angie słuchali go jak urzeczeni. Vati krążył wzrokiem po pokoju w ślad za świetlistą poświatą Ducha Lwa.

– Wierzę ci – powiedział Rick. – Jesteś niezwykłym młodym człowiekiem. Ile masz lat?

– Dwanaście.

– I już tak wspaniale rysujesz. Masz naprawdę wielki talent. I determinację. Jestem przekonany, że zrobisz dokładnie tak, jak mówisz. Życzę ci powodzenia! Na pewno przyjdę na twoją wystawę i z przyjemnością kupię jeden z twoich niesamowitych rysunków.

Leroy uśmiechał się promiennie.

– Dasz mi swój numer telefonu i maila? – zapytał. – Dołączę cię do mojej listy kontaktów. ALE – dodał, wymachując palcem w stronę Ricka – te rysunki będą naprawdę DROGIE.

Mój dylemat rozwiązał się sam, kiedy jakiś czas później Angie wzięła Vatiego na rękę.

– Biedny mały Vati, jest taki chudziutki – powiedziała czule, a Vati wpatrywał się w nią uważnie. – Nie jest sobą, Graham. Co mu dolega?

Graham westchnął i zaczął bębnić palcami w oparcie krzesła.

– Cóż, obawiam się, że nie jest sobą, od kiedy Lisa pozbawiła go pazurów.

Twarc Angie zrobiła się purpurowa.

– CO?!

Vati tak się przestraszył, że niemal wyskoczył z jej objęć. Natychmiast ściszyła głos, uspokajając go.

– Wszystko w porządku, skarbie – szepnęła łagodnie. – Pokaż mi swoje łapki.

Vati zaczął się trząść, a zaraz potem wyswobodził się z jej ramion. Usiadł przy mnie, wtulając się w moje futro. Chciał być tak blisko mnie, jak tylko się dało.

Naprawdę mnie potrzebuje, pomyślałem, zerkając w okno, które mieniło się w promieniach popołudniowego słońca. Jeśli mieliśmy uciec, musiało to być wkrótce.

– To barbarzyństwo! – powiedziała Angie. – Jak ona mogła?! I jak ty mogłeś na to pozwolić, Graham?

– Zrobiła to bez mojej wiedzy. Panicznie się bała, że Vati podrapie Heidi.

– Biedny mały Vati. Nie mogę tego znieść!

Graham nic nie powiedział, tylko otoczył Angie ramieniem. Straciła jego rękę.

– Nie dotykaj mnie – warknęła. – Jestem taka wściekła. Mogłeś ją powstrzymać. Na pewno coś wspominała na ten temat. – Zdawała się gotować ze złości, którą tłumiła w sobie od lat. – Ty i TA CHOLERNA LISA! – wybuchła. – Najpierw zniszczyła moje życie, a teraz życie Vatiego. Ciekawe, jak by się czuła, gdyby to jej usunięto paznokcie?

Leroy siedział po turecku na dywaniku przed kominkiem, głaskał nas obu i nie spuszczał oczu z Angie.

– Wiem, co zrobić – powiedział pewnie i wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. – Vati dojdzie do siebie, jeśli będzie razem z Timbą. Możemy zabrać Vatiego z nami?

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie. Potem Angie spojrzała na Grahama.

– Co ty na to?

Palce Grahama bębniły w oparcie krzesła jeszcze szybciej niż przedtem.

– Kocham tego kota – rzekł – ale Leroy ma rację. Timba i Vati powinni być razem. Vati jest znacznie żywszy, od kiedy zjawił się tu Timba. Więc tak, możecie go zabrać.

Problem rozwiązany!

Vati i ja pojedziemy razem w luksusowym koszyku. Będziemy mieszkać z Leroyem i Angie. W domu za wzgórzami, za lśniącą rzeką, za ciemnym lasem.

Żałowałem tylko, że Graham nie pojedzie z nami. Otaczała go wyczuwalna aura samotności i smutku. Tak jak reszta nas, potrzebował Angie. Popełnił fatalny błąd i teraz za to płacił.

Graham i ja byliśmy kumplami. Obronił mnie przed Lisą i jej szczotką. Musiałem do niego pójść i mu podziękować. Ludzie mówią, że prawdziwi mężczyźni nie płaczą, ale kiedy leżałem wyciągnięty na piersi Grahama, wpatrując się w jego twarz i mrucząc, wyraźnie widziałem, że z trudem powstrzymywał łzy.

Gdy Leroy przyniósł koszyk podróżny, Vati nie schował się pod sofę, jak się spodziewałem, tylko podszedł do niego, żeby go obejrzeć. Następnie z gracją i z podniesionym ogonem przeciął pokój, aby pożegnać się z Grahamem.

– Będzie mi ciebie brakowało, kotku – wyszeptał Graham. – I proszę,

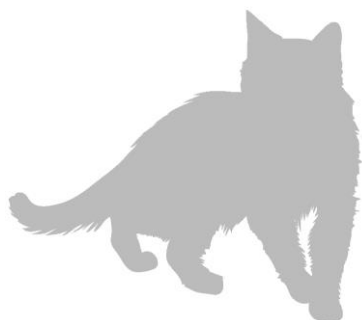
wybacz mi.

Vati potarł nosem o nos Grahama i pobiegł do koszyka.

Siedzieliśmy w nim razem, nie bojąc się przyszłości.

Dwa czarne koty kontra reszta świata.

18. Zmienianie świata



Vati i ja mamy dziesięć lat, tak mówi Angie. Niedawno obchodziliśmy urodziny. Moje futerko jest lśniące i porządnie wyszczotkowane i ciągle jestem najprzystojniejszym kotem na ulicy. Vati nauczył się na nowo bawić i codziennie szalejemy przez pół godziny w naszym szczęśliwym domu. W księżycowe noce słyszę, jak woła mnie las, ale nie pójdę tam. Jestem wspierającym kotem i moim obowiązkiem jest dbanie o Vatiego, Angie i Leroya.

Leroy jest teraz młodym mężczyzną. I jest bardzo bogaty. Tak mi mówi. Sprzedał mnóstwo swoich wspaniałych rysunków lwów i odłożył wszystkie pieniądze. Ale dziś rano spakował wielki plecak. Potem wziął mnie na ręce i się pożegnał! Powiedział jeszcze:

– Dziękuję! Dziękuję ci, Timba. Byłeś i jesteś moim NAJLEPSZYM przyjacielem.

Siedziałem w oknie i patrzyłem, jak odjeżdża mikrobusem, który zabrał go spod domu, podczas gdy Angie płakała i płakała.

Teraz dochodzi południe. Słońce jest wysoko na niebie, a Angie stoi w ogródku, trzymając Vatiego i mnie na rękach. Zastanawiam się, czemu tak się wpatruje w niebo.

Nagle sztywnieje.

– No i stało się! – mówi i wskazuje wzbijający się w niebo lśniący samolot.

Z jej oczu nadal płyną łzy. Zlizuję jedną z jej policzka.

– Nie martw się, Timba – zwraca się do mnie. – To łzy radości. Cieszę się szczęściem Leroya i jestem z niego taka dumna. Ale będziemy za nim tęsknić, prawda, chłopaki?

Patrzymy na lśniący samolot, aż staje się maleńkim punktem ciągnącym za sobą białą smugę.

Wtedy Angie wreszcie wyjaśnia nam, co się dzieje.

– W tym samolocie jest Leroy. Leci do Afryki, do Timbavati, żeby pracować

z białymi lwami.

Po wyjeździe Leroya Angie była wyraźnie przygaszona. Ożywiła się tylko wtedy, gdy siadaliśmy we trójkę i oglądaliśmy na jej laptopie zdjęcia od Leroya. Widzieliśmy go, jak zbiega po schodach wielkiego samolotu i gramoli się do ciężarówki z innymi młodymi ludźmi.

– Nawiązuje przyjaźnie. Nareszcie! – cieszyła się Angie. – Odnalazł pokrewne dusze.

Ale oczy Leroya były pełne tęsknoty za domem, kiedy rozmawiał z Angie.

– Brakuje mi ciebie, Angie. I Timby. I Vatiego.

Białe lwy wywarły na nas ogromne wrażenie. Są takie wspaniałe, władcze i potężne, a jednocześnie wyluzowane. Vati i ja byliśmy dumni z przynależności do światowej rodziny kotowatych. Białe lwy przybyły na Ziemię, żeby zaprowadzać zmiany. To zupełnie tak jak my. I mieliśmy jeszcze jedno zadanie do wykonania. Chodziło o Angie.

– Jest samotna – powiedziałem, kiedy razem z Vatim patrzyliśmy na żarzące się resztki ognia. – Musimy coś zrobić.

Pomyślałem o podróży, którą odbyłem przed laty. Czy jestem za stary, żeby spróbować zrobić to jeszcze raz? – zastanawiałem się. Pokonać lasy i lśniąca rzekę? I jak Vati by sobie z tym poradził?

Natychmiast przejrzał moje myśli.

– Wybij to sobie z głowy, Timba.

– Muszę sprowadzić Grahama – odparłem. – Zrobię wszystko, co konieczne.

– Nie, Timba!

Zignorowałem go. Wstałem, przeciągnąłem się, dojadłem resztki swojej kolacji i wyszedłem przez kocie drzwiczki do skąpanego w księżycowym blasku ogródka. Zwróciłem się pyszczkiem ku południu, szukając na niebie jasnej gwiazdy z lwiej łapy. Mój ogon drgnął. Zobaczyłem gwiazdę. Fala tęsknoty zalała moje serce. Pragnąłem zobaczyć mój dawny dom. Pragnąłem zobaczyć Poppy i jabłonkę. Ale najbardziej pragnąłem, żeby Angie znów była szczęśliwa.

Musiałem sprowadzić Grahama.

Przypomniałem sobie labirynt ulic, łąkę z bykami i pełen magii las.

Ruszyłem ulicą, kierując się na południe.

Vati popędził za mną. Zagroził mi drogę, a jego zielone oczy groźnie błyszczały. Nie zamierzał mnie puścić.

Usiadłem. Czuję, jak mój wściekły ogon bije o asfalt. Mojemu braciszкови wydawało się, że zdoła mnie zatrzymać. Cóż, musiałem wyprowadzić go z błędu. Położyłem uszy do tyłu, zjeżyłem futro i syknąłem na Vatiego. Ku mojemu zdziwieniu, natychmiast odpowiedział tym samym i przez dłuższą chwilę syczeliśmy na siebie nawzajem. Postanowiłem go obejść, ale nagle przeobraził się w demona. Wygięty w pałąk, górował nade mną, jego wyszczerzone zęby

połyskiwały w blasku księżyca, futro na grzbiecie mieniło się w pomarańczowym świetle latarni.

Zawahałem się. Nie bałem się Vatiego. Właściwie to byłem z niego dumny. Nie miał pazurów, a mimo to był na tyle pewny siebie, by rzucić mi wyzwanie. Wierzył w swoją siłę. I nie miał oporów, aby z niej skorzystać. Zanim się spostrzegłem, oberwałem od niego łapą.

Ale zamiast mu oddać, siedziałem i patrzyłem na niego, dopóki się nie uspokoił.

– Nie pozwolę, żebyś wyruszył w drogę, Timba – powiedział. – Istnieje lepszy sposób.

Ciągle zafiksowany na mojej podróży, patrzyłem na niego w milczeniu, myśląc o tym, że mógłbym się wymknąć, kiedy zaśnie.

– Istnieje lepszy sposób, Timba – powtórzył. – To, że jesteś w ciele fizycznym, nie znaczy, że musisz wszystko załatwiać fizycznie. Po co masz ruszać w tak długą podróż, skoro możesz wykorzystać swoją kocia moc?

Gapiłem się na niego. Kocia moc? Przez kilka ostatnich lat głównie wylegiwałem się na dywaniku przed kominkiem, mruczałem i jadłem. Ludzie stale mówili, że jestem za gruby.

– Chodź ze mną – powiedział mój gibki, jedwabisty i stanowczy brat.

Zaprowadził mnie z powrotem na podwórko, a potem za dom, gdzie znajduje się stary kamień, błyszczący teraz w świetle gwiazd. Usiedliśmy obok siebie, patrząc na południe.

– No dobra, mów – poprosiłem, obawiając się, że Vati zaraz wpadnie w jeden ze swoich tajemniczych transów.

– Pamiętasz złote drogi? – spytał. – Jesteśmy teraz na jednej z nich. Siadałeś tu, kiedy byliśmy rozdzieleni, i wysyłałeś mi wiadomości. Odebrałem wszystkie co do jednej, nawet jeśli nie odpowiadałem na nie. Słyszałem cię. Widziałem. I czułem cię!

Mgła opuściła mój umysł i przypomniałem sobie wspaniałego Ducha Lwa, który pomagał mi w tamtym czasie. Wspominanie było przyjemne, jak powrót do domu. Pozostałem blisko Vatiego, a nasze ciała zadrżały lekko, kiedy poczuliśmy energię złotej drogi.

– Ty mrucz – polecił Vati – a ja zajmę się przekazem. Stanowimy świetny zespół. Wyślemy Grahamowi wiadomość.

Nie wiem, ile godzin siedzieliśmy na złotej drodze, gdy nagle poczułem smutek. Smutek, pustkę i tęsknotę. Ich źródłem był Graham. Nie śpiewał. Fortepian był zamknięty. Graham się nie ruszał. Siedział zgarbiony w fotelu i gapił się w przestrzeń. Był jak skamieniały. Tak jak kiedyś Vati.

Przez dwa dni nic się nie działo. Tyle że teraz szefem był Vati, nie ja. Nie wypuszczał mnie z domu, zresztą i tak padał deszcz. Angie wychodziła i wracała,

głaskała nas i sprawdzała w laptopie, czy nie ma wieści od Leroya. Ja jadłem, spałem i tarzałem się po dywaniku.

To musiał być weekend, bo rano trzeciego dnia Angie szykowała się do pracy. W posępnym nastroju pozbierała zeszyty dzieci i wrzuciła je do torby. Siedziałem na stole i przyglądałem się jej. Byłem niespokojny. Coś wisiało w powietrzu. Czułem to przez skórę. Przeczucie było tak silne, że aż miauknąłem przeciągle.

– Co jest, Timba? – zapytała Angie, a ja miauknąłem znowu. Stałem na tylnych łapach, opierając przednie o jej klatkę piersiową. Wpatrywałem się w jej twarz. Zmienił się jej oddech i zaczęła płakać. – Ty wiesz, prawda, Timba? – powiedziała, gładząc mnie po bokach pyszczka. – Jesteś takim rozumnym kotem. Naprawdę nie mam ochoty iść dziś do pracy. Ale MUSZĘ. – Wzięła kluczyki do samochodu i wyszła.

Martwiłem się o Angie przez całe przedpołudnie, dopóki nie wyszło słońce, którego ciepłe promienie wpadały zachęcająco przez okna. Wymieniliśmy spojrzenia z Vatem. Znalismy zarośnięty ogród, gdzie mogliśmy szaleć i polować na myszy, nawet jeśli kończyło się na tym, że to ja łapałem je dla nas obu. Oddaliliśmy się boczną uliczką, przeszliśmy pod zepsutą furtką i spędziliśmy popołudnie w wysokim gąszczu, bawiąc się kłosami traw i konikami polnymi.

Ale nie byłem zrelaksowany. Czułem, że coś się święci, i jakaś część mnie cały czas nasłuchiwała. Zarejestrowałem ciężkie kroki. Po mieście chodziły setki ludzi, ale mój wyczulony umysł skupił się na tych konkretnych krokach. Dziwne.

– Powinniśmy wracać do domu – powiedziałem i ruszyliśmy w drogę powrotną.

Obaj czuliśmy, że coś się tam zmieniło, i byliśmy wystraszeni. Biegliśmy, strzygąc wąsami i trzymając się nisko przy ziemi. Vati pierwszy, ja za nim.

Na rogu ulicy Vati odwrócił się i spojrzał na mnie z lękiem w oczach.

– Zostań tu – rzekł. – Podkradnę się do furtki i sprawdzę, o co chodzi.

Patrzyłem przestraszony, jak przemyka chodnikiem do naszego ogródka. Widziałem, jak zerka zza słupka na nasz dom i sztywnieje z przerażenia. Wrócił biegiem, cały najeżony.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Na progu siedzi mężczyzna – syknął Vati.

– To jego czułem – powiedziałem, przypominając sobie kroki.

– Co robimy? – Nagle Vati znów był jak wystraszony kociak, czekający na moją decyzję, co dalej.

Myślałem o mężczyźnie na progu domu Angie. To mógł być tylko... Mój ogon sam się podniósł.

– Chodź – powiedziałem i Vati potruchtał za mną. Biegiem pewnie chodnikiem, z ogonem powiewającym jak chorągiew radości. Moje oczy

błyszczały jak dwa słońca, a moje serce biło szybko, niecierpliwie.

Zatrzymałem się na chwilę przy furtce; chciałem zrobić wielkie wejście. Z rozwianym, lśniącym w słońcu futrem biegłem coraz szybciej, miaucząc i mrucząc do mężczyzny na progu. Czułem się jak najpotężniejszy kot we wszechświecie.

Miałem rację.

To był Graham. Obok niego leżał bukiet czerwonych róż.

– Nie, Timba – powiedział, kiedy pacnąłem łapą szeleszczący papier. – Nie porwij papieru. To kwiaty dla Angie... mojej Angie – dodał, a potem zadał mi pytanie: – Myślisz, że ona przyjmie mnie z powrotem?

Miauknąłem potakująco.

Nie mogłem się doczekać powrotu Angie. Siedzieliśmy z Vatim na kolanach Grahama, dotrzymując mu towarzystwa i dodając otuchy. Wreszcie usłyszeliśmy szybkie, lekkie kroki Angie na chodniku. Nagle poczułem niepokój. A co, jeśli Angie wpadnie w szal i każe Grahamowi się wynosić? Była na niego zła od tylu lat.

Graham podniósł się, ściskając w ręce bukiet. Wyglądał na stosownie skruszony, ale była to tylko maska. Wiedziałem już, że miłość jest silniejsza od złości. Widziałem to na twarzy Angie. Kiedy zobaczyła Grahama, przystanęła z niedowierzaniem. Jej torba spadła na ziemię, wysypały się z niej książki. Na jej usta wypłynął uśmiech i popędziła do Grahama, niemal zgniatając róże, gdy rzuciła się mu na szyję. Graham był zadowolony. Zauważyłem nawet, że w kącie jego oka błysnęła łza.

– Angie... – wyszeptał.

Mrucząc, ocieraliśmy się z Vatim o ich nogi, kiedy Angie wpatrywała się w twarz Grahama.

– Czy to znaczy to, co myślę? – zapytała.

– Angie... – powtórzył Graham i zamilkł, szukając odpowiednich słów. Miauknąłem, żeby dodać mu odwagi. – Czy przyjmiesz mnie z powrotem? – spytał wreszcie. – Popełniłem straszny błąd, rozstając się z tobą. Ogromnie tego żałuję. Czy moglibyśmy zacząć wszystko od nowa? Proszę...

Gdyby koty potrafiły płakać, rozplakałbym się ze szczęścia, kiedy uśmiech dosięgnął oczu Angie i wydała okrzyk radości.

– Dziękuję ci, wszechświecie!

– Czy to znaczy „tak”? – zapytał Graham.

– Tak! Milion razy tak!

Wiedziałem, że wkrótce wrócimy do dawnego domu.

Vati i ja wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Daliśmy radę!

Nie poszliśmy za Angie i Grahamem do domu. Siedzieliśmy dumnie na progu, strzegąc miłosnego gniazdko.

Dwa czarne koty kontra reszta świata.

Od Autorki

W tej książce są wzmianki o liniach geomantycznych, energii Ziemi i złotych drogach. Wierzę, że kulę ziemską oplata sieć linii energetycznych, łączących się w miejscach mocy takich jak kamienne kręgi, kościoły i święte źródła. Zgłębiałam tę tematykę przez lata z pomocą świętej pamięci Hamisha Millera, który nauczył mnie radiestezji, oraz studiując prace Alfreda Watkina, Kathleen Maltwood i Johna Mitchella.

Białe lwy z Timbavati istnieją naprawdę, a inspiracją były dla mnie książki *Mystery of the White Lions* Lindy Tucker i *The White Lions of Timbavati* Chrisa McBride'a. Jestem też wdzięczna za wszystkie informacje mojej wspaniałej przyjaciółce Rose Shuttleworth, która przemierzyła Afrykę, żeby zobaczyć białe lwy.

Podziękowania

Dziękuję mojej fantastycznej agentce Judith Murdoch, mojej cierplivej redaktorce Jo Dickinson i wszystkim z wydawnictwa Simon&Schuster UK. Chciałabym również podziękować Anne Pennington za stworzenie mojej strony internetowej, mojej wspaniałej grupie pisarskiej za wsparcie i mojemu mężowi Tedowi za jego życzliwość.

